

ANDRZEJ STRUG

---

**Dzieje jednego  
pocisku**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ANDRZEJ STRUG

## *Dzieje jednego pocisku*

...Długo ten owoc dojrzewał...

Wlokły się lata, gubiąc życie i trawiąc dusze w ludziach. Biła we wroga Idea i Nienawiść, wielu ludzi poświęcenie i cierpliwe w męce czekanie. W tajemnicy, jak na dnie morza, układały się warstwami odmęty drobnych prac i niedostrzegalnych żywotów.

Aż przyszedł dzień, kiedy wylały się chęci poza chcenie. Zachciała chęć stać się czym. Uderzył głową o mur zapalczywy człowiek — spróbował jego mocy gołą pięścią. To była pierwsza krew.

Do wszystkiego ma robotnik narzędzie: jest narzędzie na żelazo i na kamień, i na wszelką inną rzecz. Jest młot i kilof, jest kosa i siekiera.

Ale nową i niesłychaną była ta praca, co, jak mur, stanęła przed wiecznym robotnikiem. Trzeba było burzyć, trza było zabijać...

Budowało się burzące, zabójcze narzędzie w wielu namysłach, w zajadłych sporach. Ważył je zimny rozum i wezbrana namiętność. Wezwane były do głosu polityka i żądza zemsty, rozważa i wściekłość, stara, doświadczona mądrość i nowe szaleństwo.

Wodziły się ze sobą: wiara w znajome dziś i wiara w niepewne jutro.

Aż któregoś dnia potoczył się po bruku pocisk dynamitowy.

Praca, Rewolucja, Walka

Była to puszka z lanego żelaza z pokrywą, wkręconą na śrubie. Wyglądała na pół funta kakao lub kilo zagranicznych konfitur. Ważyła około dziesięciu funtów i mieściła się z łatwością w kieszeni, którą obciążała niemiłosiernie. Zawartość jej była niezmiernie skomplikowana, wygląd nadzwyczaj zwyczajny, a przeznaczenie wiadome.

Gdzież się podziewa, czy też całkiem się już zapodział ten majster, który ją kiedyś zrobił?

Był to nieznanzy światu naukowemu chemik, osobnik ponury, ongiś tulający się w nędzy po laboratoriach uniwersyteckich całej Europy. Nie szukał on kariery ani sławy, jeno prawdy — czyli wyrazu chemicznego dla pewnego nadzwyczajnego związku, który był bezbarwny, jako ciało gazowe, bezwonny, niewidzialny, a jednak znany powszechnie, omawiany w pismach specjalnych, badany, ważony, chwytny, szpiegowany i prześladowany przez wielu doktorów Szulców i tyłuż Mullerów, a pomimo to ocalał i tkwił w tajemnicy w swoim chemicznym państwie i wyraz jego wiadomy był na razie tylko Temu, który policzył gwiazdy niebieskie i wody oceanów.

Z uporem maniaka, w odcięciu od żywego świata, siedział polski chemik na dalekiej obczyźnie, otoczony rurkami, baniami szklanymi, destylatorniami, oddychając smrodem chemikali, żywiąc się nędznie i żyjąc jedynie gorączką pogoni za bezwonnym, bezbarwnym, niewidzialnym swoim ideałem, dziwacząc z roku na rok i zaciekając się coraz bardziej w swojej manii. Nie wiedział najzupełniej, co się dzieje w świecie, a już najmniej był ciekawy tego, co się tam odbywa w jego dalekiej ojczyźnie. Od ostatecznego oblędu uratowała go jednak rewolucja.

Niepodobieństwem byłoby wyjaśnić, jak się to stało.

Drogą zawyłych i niedocieczonych związków, przeobrażeń i procesów dyfuzji, absorpcji, zgęszczania, skraplania i krystalizacji, przez wysokie jakieś ciśnienia, przez tajemnicze pokrewieństwa rozproszonych pierwiastków i wreszcie przez wpływ niewiadomego ciała, które oznaczymy znakiem X, ułożyła się w mózgu maniaka hipoteza — że to, co się w kra-

ju właśnie zaczęło tak burzliwie i krwawo, nie powinno mu być obojętne. Po niedługim czasie chemik przystąpił do ścisłej, jakościowej i ilościowej analizy nowego związku, który w życiu potocznym nazywają zwykle tęsknotą za krajem ojczystym, a którego składowe części są luźne, rozmaite i częstokroć niespodziewane. Związek ten miał snąć wielką wagę gatunkową, gdyż ciążył duszy chemika, gnębił go i nie dawał mu spokoju. Analiza była trudną dla umysłu, zepsutego przez metody eksperymentalne, przez różne rurki, retorty, wagi i odczynniki; po pracowitych badaniach na dnie zostawał osad uparty i nierozpuszczalny, któremu już nic poradzić nie mogło.

W tym właśnie czasie przebiegał Europę jako agent rewolucji pewien towarzysz, poszukujący człowieka nauki, który by zechciał oddać swoją wiedzę, a z nią i życie na usługę rewolucji. Niezliczone były jego konferencje, najrozmaitsze były jego sposoby przekonywania, oszukiwania i terroryzowania ludzi, których potrzebował. Ale ponieważ tutaj chodziło nie o oddanie mieszkania na potrzeby partii, nie o zapomogę pieniężną, ani o pożyczanie paszportu, ale o usługę, która niejako zakładała stryczek na szyję, więc, pomimo, że ów towarzysz był genialnym agitatore, nie znalazł w szerokiej Europie wśród wielu uświadomionych społecznie mężów nauki ani jednego, który by zechciał okazać rewolucji tę fachową usługę. Agitator nie ustąpił jednak i wziął się do nawiedzania nieznanych sobie chemików, których adresy zbierał, gdzie tylko mógł.

Jeden w Getyndze wyrzucił go za drzwi, był to bowiem konsekwentny i uświadomiony narodowy demokrat. Drugi w Bernie zgodził się natychmiast na propozycję, obiecał wszystko, zobowiązał się najsolennie, a załatwiło się to tak błyskawicznie szybko, że agitator domyślił się ku końcowi konferencji, że go tu wzięto za wariata i chciano go się pozbyć jak najprędzej i w najprostszy sposób. Trzeci — było to w Paryżu — usłyszawszy propozycję, wygłoszoną w sposób zupełnie naturalny przez nieznanego napastnika, oniemiał, struchlał i w strachu śmiertelnym zapomniał o trzymanym w ręku flaconie z kwasem azotowym (konferencja odbywała w laboratorium). W rezultacie uczony oparzył sobie boleśnie nogi i leczył się w przeciagu sześciu tygodni, a tymczasem niestrudzony agitator natrafił nareszcie na to, czego mu było potrzeba.

Towarzysze z kolonii zagranicznej dali mu adres pewnego chemika, ale z góry uprzedzili, że mowy o tym nie ma, ażeby ten maniak, który już prawie zapomniał gadać po polsku, mógł się na cośkolwiek przydać. Agitator wybrał się tam bez nadziei, ale i bez sceptycyzmu, wierny swojej metodzie zawadzania o wszystko po drodze.

I chemik zgodził się na wszystko, jak gdyby tylko czekał na zaproszenie. Jak się to stało? Jak tacy ludzie ze sobą gadali i jakim cudem się dogadali? W jaki sposób chemik mógł tak z miejsca puścić się na awantury, o jakich nie miał pojęcia i które nie przywodziły mu się nigdy nawet we śnie? Mniejsza o to — w tych czasach stawały się rzeczy dziwniejsze.

Pewnego dnia uczony zakończył ostatnią walkę z bezwonnym i bezbarwnym swoim wrogiem i odłożył dalszą kampanię na czas nieograniczony. Zdjął swój biały chałat i fartuch, spakował swój majątek, czyli roczniki specjalnych czasopism w paru językach oraz swoje jedyne ogłoszone dzieło, zajmujące w druku pół stronicy hieroglifów chemicznych, i wyjechał do kraju, który podówczas był tygłem tajemniczych procesów duchowych i materialnych, którym za łącznik niejako służył powszechnie znany w piekielnej chemii życia odczynnik — stanu płynnego, a czerwonego zabarwienia. Energia więzi społecznej wyładowywała się gwałtownie, między anodem a katodem przebiegały wartkie prądy — a pośrodku zostawały trupy i trupy.

Cóż miał tam do czynienia maniak nauki, dusza, prześmiardła w laboratoryjnym zamknięciu? Logicznie biorąc — nic. Ale na szczęście dla postępu świata w życiu społecznym zachodzą, z rzadka co prawda, okresy, kiedy logika wycofuje się z mózgów i spogląda z daleka na to, co ludzie ze sobą wyrabiają.

Tedy po jakimś czasie nasz chemik zamieszkał na dalekim przedmieściu Warszawy, w domku, wynajętym przez partię i na dobro tejże partii, a na zło caratu; zaczął fabrykować domowymi środkami przyrządy, mające za zadanie dopomóc w pewnej mierze do wywalczenia niepodległości ojczyzny i do zbliżenia proletariatu polskiego do jego osta-

tecznych celów.

Pragnienie tej niepodległości było w naszym uczonej mętne. Świadomość tych ostatecznych celów prawie żadna — a jednak... A jednak pracował gorliwie i wydajnie, nie szcędząc siebie ani tych, którym na spożycie przeznaczone były jego piekielne wyroby. Opinię miał bardzo solidną.

— Nareszcie mamy prawdziwego chemika!

— Zna się na rzeczy. A przy tym jest to bądź co bądź chlubą dla partii, że taki uczony...

— Prawdziwy uczony...

— Znany bardzo szeroko...

— Wszędzie znany...

Z rzadką, co jakie dwa tygodnie, do domku na przedmieściu wchodziła ubogo ubrana panienska. Ponieważ chemik o tych wizytach był wczasu uprzedzany, przeto wkładał kołnierzyk, czesał się i zarzucał roztrzęsione łóżko dziurawą derką, przewietrzył mieszkanie, wymiatał niedopałki papierosów, porozrzucane na podłodze, zamykał szczelnie drzwi od pracowni i czekał niecierpliwie.

Powitanie było zawsze serdeczne. Chemik kłaniał się niezgrabnie i uśmiechał się dziwnie, jak obłąkany, szczerząc dziurawe zęby, a panienska podnosiła nań duże, smutne oczy, w które zdziczały samotnik nigdy nie śmiał spojrzeć, chyba ukradkiem.

— Cóż tam słyhać na świecie, bo ja tu taki odcięty?...

Właściwie nie obchodziło go nic tak dalece ze świata, gdyż przez całe życie był również od wszystkiego odcięty, ale należało o czymś mówić, należało jakkolwiek rozpocząć.

Rozmowy z „Kamą” były dla chemika rozkoszą niewysłowioną, jej głos, niezależnie od tego, co mówiła, wprowadzał w nieopisane wibracje cząsteczki, składające materię jego mózgu i bodaj że serca. Odludek, dla którego do niedawna wszystko było obce poza ciasną sferą pewnych związków węgla, utonął w smutnych oczach nieznanym dziewczyny bez pamięci i bez żadnej świadomości co do istoty tego przeobrażenia. Kobiety nie istniały dla niego nigdy, a i teraz nie było kobiety w tych nadzwyczajnych uniesieniach... Był to bowiem po prostu jakiś cud czyli reakcja chemiczna, przekraczająca wszelkie prawa i hipotezy, znane nauce.

Rozmowy obracały się przeważnie koło spraw politycznych i partyjnych. Kama ze zdumieniem spostrzegła za pierwszej swojej bytności w laboratorium, że tajemniczy preparator, dla którego żywiła cześć niezmierną, nie miał pojęcia o najprostszych i obowiązkowych dla każdego szeregowca wiadomościach z zakresu zagadnień ruchu.

Nie mówiąc już o konstytuancie w Warszawie, o taktyce bojowej, która dzieliła podówczas partię na dwa obozy, i tym podobnych spornych a zawiłych kwestiach — towarzysząca Kama odkryła, że żywił on jeszcze złudzenia co do narodowej demokracji i nie czuł należytej nienawiści do esdeków.

Kama przynosiła do laboratorium żelazne powłoki do bomb i potrzebne chemikalia, tudzież dynamit, a wносиła gotowe wyroby. Była ona jedyną istotą, mającą bezpośredni dostęp do laboratorium, przez nią załatwiano korespondencję, przez nią chemik otrzymywał instrukcje i obstalunki oraz pieniądze na życie. Miała sobie tedy za najświętszy obowiązek uświadomić i wykształcić ignoranta-samotnika w mądrości społecznej. Była z tego dumna i przynosiła mu za każdym razem paczkę bieżącej bibuły, nad którą chemik mordował się po nocach z gorliwością i żądzą zrozumienia tych trudnych spraw. Pomimo to, zabiegi towarzyszącej Kamy szły na marne. Chemik czytał i czytał wydawnictwa partyjne, słuchał z nabożeństwem objaśnień Kamy, ale mózg jego, zaczadziały w wyziewach kuchni chemicznej, nie mógł żadną miarą ogarnąć zjawisk, które przewalały się przed nim jak gdyby na wzburzonych falach, nieujęte, nieposkromione, urągające teoriom, przewidywaniom, obawom i nadziejom.

Niejednokrotnie, jękając się i wtrącając słowa cudzoziemskie, prosił o wyjaśnienia, ale nauczycielka nie mogła żadną miarą dociec, o co mu właściwie idzie. Wreszcie wykrywało się, że towarzysz nie wie czegoś najważniejszego, bez czego nie ma mowy o świadomym poglądzie na rzeczy i na wypadki. Kama była cierpliwą i taktowną, ale chemik sprawiał

jej takie niespodzianki, że zapomniała o wszelkiej oględności i pedagogice i dawała upust swojemu zdumieniu:

— Ach! Ach! więc wy nie wiedzieliście o tym!... Towarzyszu, na miłość boską, jakże tak można?... Cóż wy robicie w takim razie między nami?...

— Wiecie, co robię, towarzyszek Kama — odpowiadał smutnym głosem winowajca.

— Ale cóż was do tego skłoniło? Przecież wy zupełnie nie jesteście socjalistą! Jak was wykryją, to was przecie powieszają. I za cóż wy będziecie się poświęcali, kiedy nie wiecie...

Biedny chemik nie potrafił na to odpowiedzieć, nie przypuszczał nigdy, że socjalizm jest aż tak trudny. Obiecował poprawę, mozolił się, martwił się, ale od prawdy był zawsze daleko. Za to swoje robił porządnie. Wyroby, pochodzące z jego pracowni, były niezawodne. Niedługo jednak funkcjonował.

Pewnego wieczora, zaledwo Kama zdołała wynieść to, co było zamówione i gotowe, gdy wpadła policja z wojskiem, z saperami. Z wielkimi ostrożnościami zbierano butelki, retorty, różne chemikalia, pudełka z żelatyną, misterne puszcзки, obłożone watą, a zawierające piorunian rtęci, „kluski” dynamitowe, tygielki i inne graty piekielnej kuchni.

Chemika potłuczono z lekka kolbami, związano go porządnie i pod eskortą całej rotacji wojska odstawiono do Cytadeli.

Kiedy go bito, krzywił się i mrużył oczy z bólu, ale w duszy nie miał nic innego prócz wielkiej, największej w życiu radości.

Albowiem towarzyszek Kama ocalała. Następnie cieszył się i z tego, że ocalała zamówiona bomba, która była potrzebna do jakiegoś nadzwyczajnego zamachu i *ad hoc* w sposób specjalny była przyrządzana.

Potem martwił się, że nie zdążył skreślić i oddać Kamie swego nowego wynalazku, dotyczącego zapalu<sup>1</sup>, bezpiecznego, a zarazem niezawodnego. Był to wynalazek, którym się szczycił, opowiadał o nim towarzyszek szczegółowo, a ona pilnie słuchała, ale wiedział, że z tego nic nie dojdzie do ludzi, gdyż chemia była to dziedzina jeszcze bardziej obca dla Kamy, niż dla niego socjalizm i polityka. Wynalazek ten niezawodnie mógł się przydać rewolucji, ale bezpośrednią intencją jego było uchronienie Kamy od niebezpieczeństwa podczas przenoszenia i przewożenia pocisków.

— To już zginęło na zawsze — myślał sobie chemik w celi X pawilonu, rozcierając ramiona, pokrajane przez postronki, i poplując krwią po kolbach.

Tu ze zdziwieniem pełnym ciekawości spostrzegł, że wkracza w jakiś dziwny okres życia, że każda jego myśl wydaje mu się nową i niesłychaną, a całe jego proste życie niezrozumiałą zagadką, która zresztą niebawem...

O co już mniejsza, bo nie opowiadamy tu dziejów chemika.

Była to ciężka puszka z lanego żelaza. Na podróże i przygody oraz dla ochrony od wpływów wilgoci i zimna wstawiona była w elegancki futerał z żółtej skóry, w jakim mieszczą się słoiki z pachnidłami czy tam kosmetykami w neseserach podróżnych, używanych przez damy światowe.

Kama, wyszedłszy z laboratorium, przystanąła o kilkanaście kroków za domkiem i spojrzała bacznie na prawo i na lewo wzdłuż mrocznej ulicy; sznury żółtych płomyków gazowych biegnęły w obie strony. Było ponuro i pusto na przedmieściu i nigdzie nie było widać niebezpieczeństwa. Dopiero w parę minut potem wyminięło ją kilka dorożek, jedna za drugą, pędzących co siły w szkapach. Z dorożek sterczały ku górze bagnety. Gdzieś na gwałt wieziono żołnierzy. Za chwilę zatętnił na bruku oddział konnej policji. Kama drgnęła całym ciałem. Turkot i tętent urwały się jakoś za blisko, gdzieś strasznie za blisko.

Stała wpatrzona w jeden punkt. Szepnęła „tak” i poszła w swoją stronę. Szła długo, długo, mijając zabudowania kolejowe, przeszła koło wielkiej, jasno oświetlonej stacji, pełnej wrzawy i ruchu. Zatrzymała się przed stacją po drugiej stronie placu i z jakimś wyczekiwaniem wpatrywała się w zgęszony tłum ludzki. Czekwała — ale wszystko było zajęte sobą i niemiłosiernie zwyczajne.

<sup>1</sup>zapal — tu: zapalnik. [przypis edytorski]

Porwała się z miejsca i szybko zaczęła powracać — niosło ją bezmyślne wzruszenie. Był w niej bolący dotkliwie niepokój, jak gdyby wyrzut i obłąkana żądza zatracenia.

Mijała czarne parkany, długi druciany płot, za którym ciągnęły się szeregi wagonów towarowych, i śpieszyła się bardzo, resztką ostrożności podtrzymując na rzemyku pod okrywką swój ciężki pakunek. Nagle ryknął jej tuż nad samym uchem sygnał parowozu.

To osadziło ją na miejscu.

Spojrzała na zegarek i szepnęła „jeszcze zdążę”. Wydobyła chustkę i długo, starannie ocierała sobie twarz. Bo lzy zalały jej już nie tylko twarz i woalkę, ale i przód żakietu. Gdy wsiadała do dorożki przed stacją, te panińskie lzy już zamarły i perliły się na szarym korcie<sup>2</sup> żakietu.

— Proszę jechać wolno, ostrożnie...

Lekko, posuwicie poniosły ją gumy<sup>3</sup> ku miastu.

Przesuwały się ulice Pragi szerokie, ponure. Minał huczny, zatłoczony most. Ulice, ulice pełne ludzi, blasku, zgiełku. Wszystko to wydawało się dzisiaj Kamie odmiennym, a przede wszystkim niezrozumiałym. Było to coś w tym rodzaju, jak gdyby wjechała w obcy świat, zaludniony przez twory o niepojętych, tajemniczych przeznaczeniach, między istoty niechybnie skazane na coś strasznego, a nieświadome tego i rojące się po ulicach, jak we śnie. Ich potrzeby nie były potrzebami, ich radości i smutki nie były sobą, ich głosy dźwięczały martwo, ich ruchy były kłamane, a wszystko, co czynili — niepotrzebne, zarówno jak oni sami, jak ich istnienie, jak całe miasto, kraj, świat...

To bliski oddech czyjejś niechybnej śmierci zatrzał na moment jej żywy, człowieczy mózg. Wszyscy pomrą — myślała, patrząc na rojące się tłumy ludzkie. Ta prosta myśl, wiadoma wszystkiemu, co żyje, układała się w jej duszy, jak niezmierny ciężar.

Po co wszyscy żyją? Pytanie to wydobywało się z niej przeraźliwym, obłąkanym krzykiem.

Kiedy składała pocisk na przechowanie w zwykłym miejscu u pewnego nerwowca inteligenta, ten, jak zwykle, podziwiał jej niezachwiany spokój. Prosił ją, żeby spoczęła, zapraszał na herbatę i kunsztownie zagajał rozmowę, która zawsze i niezmiennie prowadziła do tego, żeby się od niej dowiedzieć jak najwięcej, co czuje, jak czuje, jak ona przeżywa takie podróże z tak delikatnym ładunkiem.

Był to jegomość niezwykle ciekawy procesów psychologicznych, zachodzących w duszach bojowców, ocierających się codziennie o śmierć.

— Jako lekarza i psychiatrę niezmiernie mnie interesują te wasze właściwości duchowe. W takich sytuacjach, szanowna towarzyszeko, zjawiska psychologiczne nabierają jaskrawości i wyrazistości niezwyklej. Cóż, kiedy z wami nigdy nie można się dogadać. Wasi ludzie ukrywają się i maskują przede mną, drwią z moich badań i wykręcają się dowcipami. A nauka mogłaby niejedno z was wyciągnąć...

Kama знаła tę jego manię i z uśmiechem znosiła indagacje, odpowiadając byle co, mistyfikując psychologa i niewiele sobie robiąc z całej nauki.

— Cóż, na długo zostawiacie mi to sympatyczne pudeleczko? — pytał doktor przy pożegnaniu.

— O, towarzysz jest za ciekawy. Zresztą ja sama nie wiem. Jak każą, przyjdę — kiedy każą...

— ...Albowiem nie wiecie ani dnia ani godziny... — z odcieniem pewnej głębokości wypowiedział doktor.

— Dnia, jak dnia, ale co do godziny, to jak zawsze między ósmą a dziewiątą wieczorem. A gdyby wypadło inaczej, to tegoż dnia rano o ósmej otrzymacie kartkę przez posłańca, oznaczającą godzinę.

— Żeby tylko nie przez tych posłańców...

<sup>2</sup>kort — tu: tkanina wełniana. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>gumy — dorożki, pełniące rolę dzisiejszych taksówek, dzieliły się na dwie kategorie w zależności od budowy ich kół: starsze miały koła z metalu, więc tocząc się po bruku hałasowały i trzęsły, a nowsze i bardziej luksusowe jeździły na kołach z gumy. Opony pneumatyczne wynaleziono w 1846 r., a do masowej produkcji weszły w końcu XIX w. [przypis edytorski]

— Teraz mamy już własnych.

Kiedy Kama sobie poszła, doktor natychmiast zamknął się w swoim gabinecie, szczerle i pedantycznie zasłonił okna i postawił na biurku powierzony mu depozyt.

Niewinnie i skromnie stał sobie pocisk w pięknym *étui*. Nikt by nigdy nie przypuścił, aniby komu do głowy przyszło...

Doktor wyciągnął się na kanapie i, zapaliwszy papierosa, zaczął przeżuwać powszednie marzenie swego życia, myślał o swoim dziele, poświęconym psychologii jednostek i mas podczas ruchów rewolucyjnych. Ale myślenie rwało się i utykało. Teorie wytyczne wydawały mu się nieco nieogłędne. Systemat nieuporządkowany, a wiele zbadanych zjawisk bujało sobie niesforne, nie dając się nagiąć do żadnej teorii. Doktor, jak każdy twórca, miał swoje złe i dobre godziny. Dzisiaj mu się myślenie nie kleiło. Jako psycholog, znał samego siebie, używając się ustawicznie do rozmaitych badań, a więc niebawem spostrzegł przyczynę niezwykłego zaćmienia inteligencji. Długo wpatrywał się w przedmiot, leżący na biurku.

Mały ten pakunczek wywierał na psychiatrę dziwnie mocny i w tajemniczości swojej niedocieczony wpływ.

Doktor nie był tchórzem. Rzec tę sprawdził niejednokrotnie z całą surowością chłodnego badacza. Śmierci się nie bał i był tego pewnym. Kiedyś chodził śmiało i z brawurą po górach, przeszłego roku miał pojedynek z dobrym strzelcem i w przeddzień, jak i w dzień spotkania był nie tylko zupełnie przytomny, ale nawet w dobrym, bynajmniej nie dorabianym humorze — wreszcie oddawał rewolucji bardzo ryzykowne usługi...

A jednak, ilekroć przynoszono mu do domu ot coś takiego, zaczynały się dlań godziny niezmiernego podniecenia, dochodzące do aktów zupełnie niepoczytalnych. W tych okresach czasu psychiatra nie o wiele się różnił od swoich pacjentów, których codziennie odwiedzał w szpitalu Bonifratrów — zwłaszcza noce bywały pełne okropnością.

I kiedy pytał, na jak długo mu przyniesiono pocisk — pytał zarazem, jak długo będzie się musiał dręczyć. Był świadomy siebie i z góry wiedział, co go czeka. Nie zdarzyło się jednak nigdy, żeby odmówił swojego mieszkania, nawet żeby się wymawiał, a bodaj, żeby się choć skrzywił. Brał i już.

W sferach partyjnych miał opinię zupełnie pewnego człowieka, co w czasie rewolucji, a zwłaszcza w sferach, mających do czynienia ze sprawami bojowymi, było mianem zaszczytnym. Kto tam może być pewnym siebie? Komu to życie niemiłe?

Doktor był rewolucjonistą z przekonań, ale te przekonania nie zaprzętały go nigdy zanadto. Były w nim, był pewien ich istnienia i na tym koniec. Nie bawił się w dociekania programowe, było mu wszystko jedno, co się pisze w literaturze partyjnej, gdyż takich rzeczy nie czytywał i było mu właściwie wszystko jedno, do czego zmierza rewolucja.

To, co się wówczas działo w kraju, a do czego i on na swój sposób przykładał ręki, interesowało go jako niezwykle, wstrząsające widowisko, pełne niespodzianek, zagadek, dreszczów. Zbliżył się do tych zjawisk z własnej, świadomej woli, ale i w swoich własnych celach. Był pożytecznym dla rewolucji, ale nie było w tym jego zasługi. I z tego zdawał sobie sprawę. W morzu świadomości, po którym pływał doktor, były jednak mielizny i skały podwodne.

Taka drobna rzecz, jak pocisk dynamitowy...

Sporo ich już widział doktor, jako stały przechowywacz tych rzeczy, a jednak za każdym razem działo się to samo.

Zdawałoby się, że już można się było przyzwyczaić.

Tymczasem...

Nie był to zwyczajny, ordynarny strach. Po ulicach, jak psy, węszą szpicle, chodzą patrole, ludzie u niego bywają niebezpieczni — o każdej chwili może wpaść policja... Ratusz, kolby, badania, Grün ze swoimi sposobami, X pawilon, sąd wojenny — osiem, piętnaście lat katongi — może stryżek! Nie, było to zupełnie co innego. Wiedział, co mu grozi, i jako człowiek konsekwentny znosił pogodnie to przeświadczenie. Wiedział to naprzód, że, w razie czegoś takiego, zachowa się przyzwoicie.

Co więcej, miał już na wszelki wypadek przygotowane różne swoje kwestie, zainteresowanie i ciekawostki natury psychologicznej, które w tych nieszczęśliwych okolicznościach miały mu słodzić dole, a zarazem rozszerzać zakres jego doświadczeń.

Strach, Nieśmiertelność

Nie był to również strach przed przypadkowym wybuchem, albowiem doktor wiedział, że będzie to tylko ułamek sekundy, po którym nastąpi jakieś bezbrzeżne nic. I dość mu było wiedzieć, żeby spokojnie przebywać w jednym pokoju z niebezpiecznym przedmiotem.

Cóż więc to było?

Zerwał się z kanapy i, skradając się po cichu, jak gdyby w pokoju był ktoś, kogo by nie chciał obudzić, stanął nad biurkiem. Futerał był nowy i mocno pachniał skórą. Rzemyk spuszczał się z biurka i dotykał podłogi. Ostrożnie owinął go doktor dookoła pudełka, wyrównał i stał, patrząc.

Martwy przedmiot nic sobie nie robił z jego przenikliwych oczu, ani z przesubtelnych myśli, ani z bezpośrednich pytań. Stał, gdzie go postawiono, i będzie stał do końca świata, jeżeli go nie ruszą. Gdy go kto ciśnie o ziemię, rozerwie wszystko dookoła z jednakową energią — czy to będą carscy siepacze, czy bojownicy rewolucji, czy przechodnie na ulicy, ludzie starzy, młodzi, źli, dobrzy, głupi czy mądrzy, potrzebni czy niepotrzebni. Będą leciały z okien szyby, będzie ogólne przerażenie.

Pocisk zniknie w chaosie gwałtownych reakcji chemicznych, zostanie dym, zjadliwy zapach i czerepy powłoki zewnętrznej, utkwione w okrwawionych ciałach stójkowych, generałów, żołdatów, bojowców, koni dorożkarskich i przypadkowych przechodniów.

Błąkały się myśli psychologa i stawały się coraz mniej rozumne, coraz bardziej niezwykłe. Rodziły się, wzmagaly się i dochodziły do nieprzepartej potęgi wariackie zachcenia.

Jakieś niedostrzegalne, cienkie, jak włos, nic dzieliło go od wykonania tuż zaraz pewnych pomysłów, jakie rodzą się w malignie. Obca siła popychała go, podnosiła mu rękę, kazała dotykać się strasznego przedmiotu. Chichotał nad nim szyderczy śmiech kogoś niewiadomego, który stał się obecny w pokoju. Przychodziły mu do głowy zupełnie poważne i umotywowane myśli, pełne niesłuchanej mądrości, która olśniła go nagle i kazała mu wyznać: to jest prawda! To jest nareszcie ostateczna prawda! Tą prawdą było ni mniej ni więcej tylko to, żeby chwycić pocisk i grzmotnąć nim o podłogę. Tak należało uczynić, nie zwlekając.

Gdy wziął pocisk do ręki, wydał mu się on strasznie ciężki. To go zdziwiło. Gdy ważył w rękę bombę, nagle bulknęło w niej coś tak złowrogo, że doktor, zlany zimnym potem, znieruchomiał i przestał oddychać.

W tej chwili stał się znowu trzeźwym, przytomnym i świadomym człowiekiem, który zrozumiał, że oto przed sekundą jeszcze był obłąkanym. Pierwszym zwiastunem otrzeźwienia był strach, nieublagany, miazdzący, prawdziwy strach.

Ręce drżały, latały, włosy zjeżyły się na głowie. W niezmiernym wysiłku, jak gdyby przenosił ciężary, postawił pudełko na biurku — o wiele mocniej, niż należało. Oblały go strugi zimnego potu. Upadł na kanapę.

Długo nie było wokoło niego nic — ani przed nim, ani za nim nic się nie działo, ani też miało kiedyś być.

Czas przestał płynąć, a świat istnieć. Nie czuł siebie samego. Było to rozkoszne i straszliwe.

Nie spał jednak — czuwał.

Było to czuwanie martwego przedmiotu. Zdawało mu się, że jest kamieniem, sprzętem, pyłem kosmicznym. Mogły koło niego przechodzić wieki i tysiąclecia ludzkie. Nie nudziła mu się jego cierpliwość.

Za oknem zaczęła się turkot wozów, gwar ludzki, blade światło weszło do pokoju przez zapuszczone firanki. Doktor wstawał, gasił lampę, chował pocisk w zwykle miejsce, do najniższej szuflady biurka, którą starannie zamykał na klucz. Obchodził się z bombą ostrożnie, jak należało, ale bez żadnych nadzwyczajnych wrażeń. Potem mył się i wychodził na miasto. Pił kawę i odczytywał „Kuriera” w mleczarni Nadświdrzańskiej i jechał tramwajem do swojego szpitala. Był uważnym, spostrzegawczym, zwyczajnym.

Jeden ze starych wariatów, człowiek bardzo przywiązany do doktora, powitał go i tego dnia uprzejmymi słowami: „Kiedyż pan doktor nareszcie zamieszka z nami na stałe?”. Diagnozy jego były rozumne i przenikliwe, postępowanie z chorymi, jak zwykle, taktowne i pełne rzadkiego u lekarzy szpitalnych ciepła. Stały ordynator spoglądał tego dnia ukradkiem a bacznie na młodszego kolegę. Doświadczonym okiem szpiegował jego ruchy i spojrzenia, a zwłaszcza pewien lekki, jak cień, uśmiezek, który co chwila w porę



i nie w porę zjawiał się na jego obliczu. Stary lekarz potrząsał głową w smutnym jakimś przeświadczeniu. Lubił bowiem bardzo swego asystenta.

O swojej godzinie pojechał doktor na obiad. Ale zaledwie przelknął zupę, zerwał się nagle i, ku zdziwieniu stołowników i pani Mijałkowskiej, wydającej obiady gospodarskie, wypadł z pokoju. W niezmiernym podnieceniu popędzał dorożkarza i zadyszany wbiegał na swoje trzecie piętro. Ostrożnie otwierał drzwi i zaglądał do gabinetu. Gabinet był taki, jak zawsze, wszystko stało na swoim miejscu. Drżącą ręką otwierał biurko, przerażał go brzęk kluczyków. Zajrzał i uspokoił się natychmiast.

Siadł i w zeszycie swoim zapisał w kilku zdaniach spostrzeżenia tego dnia.

Był świadomym tego, jakim jest teraz i jakim był w nocy i przed chwilą. Po czym wracał na obiad, myśląc: „po co ja właściwie brałem dorożkę, kiedy to tak blisko?”.

Bywało rozmaicie, bywało gorzej. Pamięta ciche noce i sen spokojny. Nagle podrzuca go coś na łóżku. Zapala gwałtownie świecę i nadśluchuje. Podkrada się ostrożnie pod zamknięte drzwi gabinetu i nagle otwiera drzwi szeroko. Odważnie podnosi świecę — nic. Cóż spodziewał się tam zastać? Nie wiadomo. Podejrzliwie zagląda do kątów, ale przeraża go własny cień, przesuwany się po ścianach. Potem chodzi po swoich trzech pokojach ze świecą w ręku. Potem gasi świecę, otwiera okno i wygląda na ulicę. Przynosi ostrożnie pocisk i stawia go na oknie. Czeką. Wreszcie kroki, głosy... Jacyś pijani wracają do domu, wyśpiewując pijackimi głosami. Z daleka słychać dorożkę — i to nic. Czeką cierpliwie. Wreszcie zbliżają się środkiem ulicy trzy cienie. Włoką się powoli, słychać częste ziewanie, szerokie, mocne. Kroki twarde, ciężkie. Polyskują bagnety.

Doktor nie ma żadnych zamiarów. Wybucho w nim rozpasane szyderstwo. Jest z czegoś niezmiernie zadowolony, nie posiada się z radości.

Tymczasem tamci powoli, spokojnie przechodzą.

Czasami zabierał ze sobą pakunek, nosił go do szpitala, na obiady, poruszał się z nim swobodnie, zapominał o nim chwilami, a było mu z nim dobrze i spokojnie.

Pocisk w żółtym futerale gościł u niego dziesięć dni. Ku końcowi doktor miał oczy zupełnie obłąkane, a okresy zwykłej przytomności umysłu (przy ludziach) sąsiadowały w nim z paroksyzmami zupełnie chorobliwymi, które w swoich spostrzeżeniach notował, z całą ścisłością nazywając je po imieniu, według terminologii naukowej.

Pewnego dnia, ku wieczorowi, doktor przewiesił sobie futerał z bombą przez ramię i chodził po mieście przez kilka godzin. Łaził tam i z powrotem po Marszałkowskiej, wchodził do cukierni, stawał przed wystawami sklepów. Gapił się, jak patrole rewidowały przechodniów, zaglądał wzywająco w oczy policjantom, ale nikt go nie zaczepiał.

Doktor na coś czekał, spodziewał się jakiegoś nadzwyczajnego spotkania — a ponieważ nic się nie stawało, więc wrócił do domu.

Zdążył w sam czas. Zaledwo się rozebrał, zaledwo zamknął do biurka fatalne puzderko, zadzwoniono trzy razy. W progu stała nieznajoma, wspaniale ubrana dama.

Z wielkim zdziwieniem, a z większą jeszcze elegancją zaprosił damę do gabinetu i podsunął jej fotel. Dama nie siadała, ale za to zaczęła się śmiać. Zdziwienie jego wciąż wzrastało, aż nareszcie poznał towarzyszkę Kamę.

— No — no... no — no...

Widział przed sobą osobę z wyższego świata, w przepysznym żakiecie karakułowym, w bajecznym kapeluszu, szeleszczącą, powiewną, pachnącą, ubrylantowaną i uśmiechniętą zalotnie.

— Moje uszanowanie pani hrabinie!

— Drogi szambelanie, czynię krok nader ryzykowny, wchodząc późnym wieczorem do kawalerskiego mieszkania. Ale ufam pełnemu dyskrecji honorowi szambelana. Sprawa jest poważna.

— Jestem na usługi hrabiny.

— Przyszłam osobiście odebrać klejnoty koronne, które najjaśniejsza pani powierzyła mi przez osobę zaufaną, choć pochodzenia niskiego. Było to w tych dniach.

— Stanie się zadość rozkazowi najjaśniejszej pani. Ale hrabina zechce może spocząć. Dostrzegam ślady zmęczenia.

— Ani chwili dłużej nie mogę pozostać. Królowa czeka na klejnoty. Królowa czekać nie może — a również ten, który ma być obdarzony — ten tym bardziej.

— Ktoś to bardzo szczęśliwy.

— Łaska królowej jest nieograniczona. Zresztą człowiek ten zasłużył od dawna i nie godzi się kazać mu jeszcze czekać...

— A zatem dzisiaj...

— Nie wiadomo. Tajemnica dworu...

Doktor widział jednak nadzwyczajną błądź na twarzy Kamy i jej oczy, połyskujące niezwykle zza woalki. Była nie sobą. Była nadzwyczajnie piękna.

I ten jej dialog, zaimprovizowany tak ni stąd, ni zowąd.

Ocknął się w nim lekarz.

— Musicie przez chwilę odpocząć. Wszystko to bardzo dobrze, ale dla samego powodzenia...

— Nie wiem, o co wam chodzi, widzicie, śpieszy mi się... Dajcie mi tylko szklankę wody...

Po chwili doktor wrócił ze szklanką wody, którą postawił na bocznym stoliku.

— Szklankę wody, owszem, ale ta wasza woda warszawska... trzeba koniecznie coś dla smaku...

— Dajcie no pokój! Nie wierzę ja, doktorze, w wasze proszki.

— Proszki, proszki... — mrucał doktor, krzątając się w swojej apteczce.

— Jeżeli wy każecie ludziom wierzyć w owe pigułki, którymi trujecie waszego chorego, co mu na imię carat, to i wy uwierzcie w mój proszek. Ja, towarzyszeko, nie mam ambicji uzdrawiania chorób społecznych za pomocą bomb, choćby w futerałach z jasnej skóry, ale na ludzkich przypadłościach się znam, od tego jestem. Jak to w ewangelii? Pijcie, rączyny się wam trzęsą.

— Wypiję, jeżeli nie zanadto obrzydliwe... Tyle wam ustąpię dla świętego spokoju.

— Bez smaku...

Wypiła duszkiem, ale postawiła szklankę za mocno, gdyż szkło dźwiewło i rozsypało się po biurku.

— To na szczęście...

— Tak się mówi, w każdym razie przepraszam.

Pocisk szybko znikł gdzieś pod żakietem, czy gdzie indziej. Może w mufce, myślał doktor, który na moment ukrywania wyszedł z pokoju.

— No, do widzenia.

— Do widzenia, doktorze, do widzenia.

Wyszła z szelestem, strojna, pachnąca jak na bal.

Doktor stanął w oknie ciemnego pokoju i ostrożnie wyjrzał przez szparę między roletą a ramą okienną.

Usłyszał głuchy dźwięk zatraskanych<sup>4</sup> drzwiczek od karety. Dwa tęgie, ciemnej maści konie porwały się z miejsca. Na koźle furman i lokaj w sutych kołnierzach futrzanych i w cylindrach.

Pojechali.

Psychiatra zaczął się na gwałt ubierać. Chciał jechać natychmiast na plac Teatralny, bo wydawało mu się, że to ma być przed gmachem Teatru Wielkiego.

Przedstawienie się już zaczęło, widać wiedzą, że przyjedzie na drugi albo trzeci akt. Co to dziś grają? A może przed zamkiem, jak będzie wracał. Ale po co taka toaleta<sup>5</sup>?

Po chwili wrócił ze schodów. Już go odpadła ciekawość.

To, co miało niebawem nastąpić, wydało mu się zupełnie zwyczajnym. Przeczytam jutro w „Kurierze Porannym”, powiedział sobie z całym rozsądkiem.

Natomiast w momencie, który przeżył przed chwilą, spostrzegł coś niezmiernie ciekawego, co potwierdziło pewną jego własną, a nową teorię. Zasiadł przy biurku i gwałtownie maczał pióro w kałamarzu, chcąc schwycić na gorącym uczynku przesubtelny moment wrażenia. Panował tam jakiś wielki, przeogromny wstyd, nielogiczny i niczym nieumotywowany, a wyraźny i niezbity. Wstyd ten już się gdzieś zupełnie podział, bez śladu. Wszelako zjawisko to należało utrwalic.

Toteż utrwał je doktor w urywanych zdaniach, gdzie nie było podmiotu ani orzeczenia, za to bez liku wykrzykników, znaków zapytania i podkreśleń. Wkrótce jednak

<sup>4</sup>zatraskanych — dziś popr.: zatraskiwanych. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>toaleta (daw.) — dziś popr.: toaleta. [przypis edytorski]

zerwał się i głośno zawołał, obróciwszy się ku drzwiom, którymi wyszła Kama: „Śmierci nie ma, rozumiecie? Nie-ma!”

Tu przekonał się dopiero, że to ta właśnie sprawa, której nieistnienia dowiódł sobie w tak *niezbity* sposób (późno, ale gruntownie!), zaprzętała jego myśli, wodziła go po manowcach, dręczyła podczas pobytu w jego sąsiedztwie śmiercionośnego narzędzia. Że to *ona*, kusicielka, kazała mu bez potrzeby igrać z niebezpieczeństwem i wyprawiać różne głupstwa. Tymczasem rzecz ta jest fikcją!

— Śmierci nie ma! — napisał raz jeszcze wielkimi literami i tu stało się coś dziwnego.

Usłyszał nagle stłumiony, głuchy huk, od którego zadźwięczały szyby i zadrzało światło lampy. Znikło wszystko, potem stała się mroczną pustą ulica, pośrodku w błocie, zabita i sponiewierana, w dymiących łachmanach kosztownych sukien leżała Kama. Obok jej oderwana głowa ze zmiażdżoną twarzą. Wokoło porozwłózione resztki człowieka, który przed chwilą żył i tu z nim był przed chwilą.

Doktor rozszlochał się w strasznym, spazmatycznym, nerwowym płaczu i zaczął się tarzać i przewracać po kanapie. Uczuł wielkie osłabienie. Uczuł pustkę w głowie. Po kolei, jedno za drugim, wszystko przestawało istnieć. Zasnął twardo — po męczarniach ostatnich dni.

Na biurku jasno paliła się lampa, oświetlając kilkanaście porozrzucanych, gorączkowo zapisanych kartek, a po pokoju błędził jeszcze subtelny zapach perfum, który zostawiła po sobie towarzysząca Kama.

Tulił się pocisk do panińskiego ciała, ciężki, dolegał. Przejmowało dreszczem jego martwe dotknięcie. Szło od niego zimno, jak gdyby się już zaczynało jego dzieło śmiertelne. Drgało ze wstrętu żywe, gorące ciało pod mrozącą dłonią śmierci, poczuła dusza zimno nicości.

Rwały naprzód konie, lekko bujała się karetka na gumowych obręczach. Do półmroku wnętrza zaglądały blaski i kształty świata, który przemykał się, zwyczajny i codzienny, a tak już teraz obcy. Głuchym odgłosem, jakby z daleka, przychodził gwar ulicy. Już ją coś dzieliło od świata, już ją coś oddalało od życia.

Zamknęły się już wszystkie troski, urwały się wszystkie myśli, zamiary, obawy, nadzieje. Pozostało jedno jedyne na całym świecie. To ten jej czyn. W nieogarnionej pustyni stoi z nim sam na sam i wpija się w niego myślą ze śmiertelnym ukochaniem. Wszystkie upragnienia, wszystkie siły duszy i cała władza rozumu jęły się jednego prostego zadania. Wyzwały się z pamięci żmudne przygotowania, przeciwnieństwa, niebezpieczne trudności. Wydało się wszystko łatwym i z ulgą odetchnęła dusza, jakby się już wszystko dokonało.

Pozostaje jeszcze jedno — ostatnie, szybkie, najłatwiejsze. Ku temu niosły ją konie tegim klusem, i uśmiechnęło jej się słonecznie szczęście tryumfu, zwycięstwa. W tej ostatniej chwili miły jej był ten wytworny strój, ten zbytek, którego nie zaznała nigdy w życiu. Miała poczucie swojej piękności, ogarnęła ją duma czynu, który zamierzyła. Wytryskały, jak rzuty płomienia, myśli piękne, czyste. Prawdziwe życie przestawało istnieć, milkło. Nie żałowała niczego, co pozostaje. W tej chwili rozkochała się bezgranicznie, z rozkosznym samolubstwem w swoim czynie, w swoim nowym świecie, w sobie.

Zimny, żelazny ciężar pocisku czuła na sobie, jak dotknięcie niezaznanej, palącej rozkoszy.

Ponuro patrzy na Wisłę, a przez Wisłę na szeroki kraj pusty zamek królewski. Nic już nie mówi duszy jego ogromny kształt. — Kiedyż ono było, owo kiedyś?...

Nie spływają zeń, jak ze starych ruin, westchnienia dalekiej przeszłości. Martwy, urzędowy, spługawiony wiekową nieustającą przemocą, która tam założyła sobie koszary. Zapomniał mieszkaniec stolicy, kto tam ongiś siadywał i czyje tam było prawo. Musiał zapomnieć, bo zbyt ciężko byłoby pamiętać. Mniejsza o królów, można wytrzymać bez królów, nie o to Polakowi idzie...

Kiedy okiem pamięci spogląda na ongiś królewski zamek, staje mu w oczach natrętne widmo. Jak upiór zza grobu sięga nieobeschłym jeszcze ze zgnilizny piszczalem po żywego

człowieka. A człowiek chce żyć. Człowiek lubi żyć spokojnie. Nauczył się Polak odpędzać upartą, wyłażącą zewsząd zmorę. Już potrafi Polak nie pamiętać, nie dostrzegać, wymijać. Już może nareszcie nie wdychać. Dużo, dużo umie już Polak. Niechże tak będzie...

Stare drzewa na tarasie zamkowym pamiętają te lepsze czasy. Zaglądają, jak i dawniej, do górnych okien, obojętne na to, co się tam dzieje teraz, co się tam działo wówczas. Te same stoją mury, te same są malowidła na plafonach. Uśmiechają się malowane twarze muz i bogiń, zawsze świeża jest ich nagość i gotowe do pocałunków usta. Nie zwiędły wieńce i girlandy. Wiszą na swoich miejscach stare portrety. Zawsze dumne ich spojrzenie, jak gdyby nie wiedziały, że na urągowisko zostawiono je na ścianach. Stare sprzęty, od wieków gromadzone bogactwa, zżarte przez czas i z roku na rok cenniejsze gobeliny, pociemniałe obrazy słynnych mistrzów, na wagę złota niegdyś cenione weneckie drobiazgi na kominkach, rzeczy zdobyczne po dawnych zwycięstwach, z za świata zwiezione...

Zachowało się, wszystko się zachowało. Przeżyły wszystko martwe sprzęty i wymarło wszystko, co żyło. Dawno już odbijają tylko pustkę olbrzymie zwierciadła. Kiedy? Kiedy słyszały te ściany po raz ostatni mowę polską?

Salony. Salon Biały. Salon Błękitny. Izba Tronowa. Tu na wspaniałych uroczystościach przyjmowano posłów cudzoziemskich, kiedy za pan brat był jeszcze naród z narodami ziemi, kiedy w tej sali na polskim tronie siedział polski król...

Mniejsza o króla...

Kiedy wolny był naród!

Korytarze, wielkie przedpokoje, szerokie schody. Na każdym stopniu z obu stron stał hajduk obok hajduka, patrząc posępnymi oczami niewolnika na mijający go przepych. Świetne rycerstwo, precudne damy, tonące w bogactwie i barwach swoich szat. Hetmani, wojewodowie, trzęsący królem i królestwem, dostojnicy państwa, purpuraci kościoła... Grzmi włoska kapela, brzmi wokoło mowa polska — są wszyscy u siebie, bawią się, bo ich na to stać.

Bawili się Polacy potem, bawią się teraz, będą się bawili przez wieki. Ale już od stu lat nie zaznała Polska, co to zabawa. Kiedyś było życie i żywa była kiedyś siła... Wiecznej wam odpoczywanie!

Labirynt komnat, przejść, pięt, zakątków. Tędy wprowadzano kochanki ostatniego króla — tu rozkoszował się kobietami pierwszych rodów, wybranej z tysiąca urody. Tutaj szybko schodziły mu chwile. Błądzą po zamku westchnienia, szelesty, łkania, śmiechy szydercze. To złudzenie. Nic nie ma, oprócz pustki...

Długi, szeroki, dywanami zasłany korytarz. Tutaj w polskim mundurze na straży stał Kordian. Ogarnęła go noc zamkowa, pełna snów, żalów, przywidzeń, pomsty, pełna bezsilnych pokus. Poczul wroga, poczul broń w ręku i poszedł długim korytarzem, po miękkich kobiercach. Długa była jego droga, czepiały się go myśli-widma, grobowa niemoc podcięła mu nogi, chwiał się, wahał się — choć jeszcze z bronią w ręku, a już syn niewoli. Szedł, błędził, szeptał do widma i widmo szeptało do niego. Aż porwała go za włosy zgroza i powaliła na ziemię na progu carskiej sypialni. Obudził się car i żył.

Nie ma z tego nic. Pełno wokoło pustki. Głębią milczenia odzywa się z każdego kąta. Było, przeszło. Ale mieszkają i tutaj ludzie. Puste, bezludne są całe skrzydła, całe piętra, obok wre żywa krzątająca.

Pełno prac, zabiegów, kłopotów. Roją się ludzie, jak mrówki, po podwórzach, po pokojach. Są tu wszyscy u siebie — ci obcy...

Za tym korytarzem idą szerokie schody i prowadzą do innego skrzydła. Przedpokoje, komnaty z kordegardą, gdzie drzemie gromada żołnierzy. Drzwi — przede drzwiami na straży żołnierzyna wpija wystraszone oczy w każdego, kto go mija.

Tutaj, o tej wieczornej porze chodził po swoim gabinecie i rozmyślał człowiek w generalskim mundurze. Pies psów carskich, sługa sług, niewolnik, bijący czołem w przedpokojach ministra, a w Polsce pan samowładny i prokonsul, opiekun, dozorca i kat, generał

Wolność, Zabawa, Naród

i gubernator<sup>6</sup>. Mieszka na zamku królewskim, jak król, i ma władzę, jakiej nie miał żaden król polski.

Chodził po wielkim swoim gabinecie i nudził się. Już od dawna jest znudzony wszystkim. I zbytkiem, który go otacza, i strachem, który wzbudza w kraju, poddanym jego władzy. Nudzą go dobre obiady i dobre wina, nudzą go zaszczyty, nudzi go uległość podwładnych, nudzi go kariera, nudzą go wyroki śmierci, które potwierdza codziennie w oznaczonych na pracę godzinach.

Nudzi go nade wszystko jego gabinet, w którym przesiaduje całymi dniami, gdzie jada, sypia, pracuje, przyjmuje wizyty i który stał się dlań od pewnego czasu całym światem. Już od kilku miesięcy nie ruszył się generał z zamku. Od paru tygodni nie opuszcza swojego gabinetu. Jest zapracowany — opowiadają w świecie urzędniczym Warszawy. Chory — mówią wojskowi, którzy go nie widzieli na placach przeglądów. Boi się — mówi opinia Warszawy.

Generał stanął u okna i patrzył z nienawiścią w czarną przestrzeń. W dole śniła się białawo zamarznięta rzeka, a po drugiej stronie połyskiwały roje światełek Pragi. Ponury był to widok. Generał wiedział, że tam, jak i gdzie indziej wokoło, boją się go i nienawdzą. Był czas, że go to bawiło, potem uważał to za normalne, potem zaczęło go to nudzić, a teraz...

Generał drgnął i odskoczył od okna ze stłumionym okrzykiem. Nie. To nagi konar drzewa ukazał się niespodzianie tuż za szybą. Jak gdyby czyjeś czarne ramię sięgało do niego z ciemności. Nerwy! Wiedział przecie, że tam w dole po tarasie we dnie i w nocy patrolują żołnierze. Niepodobieństwo!

Powtarzał sobie ustawicznie: niepodobieństwo! a jednak od pół roku miotał się w niepokoju wśród obaw, przywidzeń, śmiesznośtek, panował nad sobą przy ludziach, ale nieraz nie mógł utrzymać na wodzy szalejących nerwów i wybuchał.

Nie był to strach. Generał był żołnierzem i wierzył w to, że zawsze gotów jest zginąć w obronie ojczyzny. Wybierał się nawet na wojnę. Ale na wojnie nie był. Wstydział się tego, że nigdy w życiu nie był na żadnej wojnie i w oczach podwładnych sobie dowódców, którzy odbyli kampanię japońską, czytał coś w rodzaju lekceważenia. Gryzł się tym i truł w duszy, ale nowej wojny nie było. Za to wybuchła rewolucja. Zaczęli ginąć generałowie, ministrowie, figury wysokie, najwyższe. Teraz nikt już nie może pomyśleć, że nie znam, co to prawdziwe bojowe niebezpieczeństwo! Jestem na wojnie, wystawiony na najpierwszy cel skrytobójców!

Istotnie miał szczerzy zamiar być męznym bojowym generałem. Kiedy go przeznaczono do Polski, wiedział, że łatwo tam zginąć.

Objął rządy z zapalem.

W powitalnych przemówieniach swoich do gubernatorów, do oficerów, do urzędników zalecał męstwo w walce z anarchią.

— Nikomu z was nie wolno się oszczędzać! Nie wolno! Kto nie czuje w sobie gotowości polec na zaszczytnym placu boju, ten niechaj ustąpi zawczasu! Nasze burzliwe czasy wymagają ofiarności i męstwa! Policzy waszą śmierć wdzięczna Rosja i zapamięta ją car!...

Było to lekkomyślne. Rychło zaprzestał pokazywać się na ulicach miasta. Wszelkie sprawy ściągał do siebie, do zamku. Nie objeżdżał prowincji, nie odbywał przeglądów wojsk powierzonego mu okręgu, nie składał wizyt. Był trzeźwym, świadomym siebie człowiekiem i nie mógł zapomnieć o naukach, dawanych podwładnym. Nie był zaślepionym w sobie despota i wiedział, co może o nim myśleć jego zawsze uniżone otoczenie. Cierpiał, wstydział się, ale nie mógł się przezwyciężyć. Nie był to strach — to był wstręt do tego rodzaju śmierci. Krótki huk, wstrząśnienie, popłoch wokoło, a on leży rozerwany na strzępy, osobno noga, osobno ręce, osobno głowa... Kałuża krwi... a w całym kraju radość i uciecha. Śmierć to ponura i jak gdyby poniżająca. Nie — to nie byłyby śmierć bojowa. Z melancholią marzył o huku armat, o tętniących masach koni, o szeroko rozwiniętych szeregach wojsk. To jest śmierć! Polec przed frontem armii, w oczach towarzyszy broni od kuli nieprzyjacielskiej...

<sup>6</sup>*gubernator* — w latach 1905–1914 funkcję generał-gubernatora Warszawy pełnił Geоргий Антонович Скалон (ros. Георгий Антонович Скалон, 1847–1914). [przypis edytorski]

Ale ponieważ nie zanosiło się na żadną wojnę, więc generał nie wyjeżdżał z zamku ani na krok. Codziennie, po kilka razy na dzień, telefonowano do jego kancelarii: pułkownik żandarmski X zabity na miejscu, oficer policyjny J. ciężko raniony, rewirowy N. cyrkułu na miejscu, sześciu policjantów, dwu agentów ochrony. A dalej telegramy z prowincji: gubernator radomski, policmajster lubelski, zabranie kasy w gubernii X, napad na pocztę, napad na biuro policji...

Powódź takich codziennych wiadomości wyłobila w nim głęboką świadomość o potężnej rewolucji. Czynił w imieniu cara i czyniono w jego imieniu wszystko, co tylko było w jego siłach, żeby złamać wroga. Kraj był ściśnięty w kleszczach stanu wojennego, więzienia były pełne, wieszano bez litości, po ulicach chodziły patrole wojskowe, mrowie szpiclów obciążało budżet, a jednak w biały dzień działy się rzeczy niesłychane. Uzbrowione bandy grasowały po kraju, nikt z dygnitarzy nie był pewny życia. Robotnicy po fabrykach rządili się, jak chcieli, pisma rewolucyjne wychodziły codziennie i były sprzedawane zupełnie otwarcie na ulicach miasta. Ruszyli się nawet śpiący od wieków chłopcy polscy i urządzili olbrzymi strajk rolny. Generał nie był konstytucjonalistą, ale liczył, że gdy się zbierze Duma, będzie zawsze łżej. Tymczasem w przeddzień wyborów w Warszawie genialnym podstępem wydostano z więzienia dziesięciu ludzi, skazanych na śmierć, i wystawiono na szyderstwo wszystkie władze krajowe i samą kwintesencję władzy, czyli jego samego. To już było za mocne.

Generał stawał się maniakiem. Pilnowano go, jak króla. Ludzie bliscy oszczędzali mu przykrości — nie pozwalali mu nigdzie wyruszać, a on pozwalał, żeby mu nie pozwalali i „dla dobra służby” siedział, jak mysz pod miotłą, w swoich apartamentach.

Miewał jednak w tym swoim bezpieczeństwie momenty niesłychanie przykre. Dokuczało mu poczucie swojego poniżenia i śmieszności. Zrywał się tedy i nakazywał przegład całej załogi na Mokotowskim polu. Ale, gdy wszystko już było gotowe, gdy dwie dywizje wojska czekały nań, generał truchlał, bladł i kładł częste znaki krzyża, poczym kładł się do łóżka i przegład nie dochodził do skutku. Potem chorował istotnie w ciągu kilku dni. Chorował ze wstydu. Nie wstydził się tylko jednego jedyne go człowieka na świecie. Był to jego kamerdyner — Polak. Temu jednemu się zwierzał, przed nim jednym wyrzekł zupełnie otwarcie.

— To wszystko minie, jaśnie panie! Przejdzie, tylko patrzeć! Polacy nigdy nie wytrzymają długo! Tyle razy były u nas rewolucje i, Bogu dziękować, jakoś idzie — a tu przecie nie to, co rok sześćdziesiąty trzeci, kiedy w powstaniu była szlachta, księża i co porządniejszego. Przecież to sama hołota, kanalia i Żydy.

— A jak ty radzisz, powiadaj, co myślisz, przejechać tak raz i z powrotem od Zamku do Belwederu — pokazać się? Co?

Kamerdyner wymyślał wielkorządcy z brutalną poufałością, jak niania dziecku.

— Co to, jaśnie pan ma źle w głowie? Komu się pokazywać? Na co? Czy to ta Warszawa warta, żeby ona jaśnie pana oglądała na swoje oczy? Takie parszywe, niewierne miasto? Też ochota! Patrzącej oni jeszcze dobrze, zanim będą warci oglądać jaśnie pana namiestnika! Pożalują oni, pożalują! Ja Polaków znam, ja sam Polak z rodu!

— Przecież, jeżeli wyjadę niespodziewanie? Zanim się ktoś spodziewe, zanim się zdąży zmówić, już powrócę!...

— Ohoho... Niby to po ulicach nie stoi wszędzie ich tajna policja. Taki Żydek z papierosami, taki dorożkarz, taki posłaniec, taka... z przeproszeniem jaśnie pana, łajdaczka, co się szlaje po ulicy — to wszystko ich szpicle. Bo to nie nabrali pieniędzy w Mazowiecku? I tu przed samym zamkiem kręcą się jakieś figury...

— Widziałeś?...

— Mam ja na to oko. Choćby wczoraj, stoję przed bramą — widzę, po drugiej stronie trzy razy jeden przeszedł. A głównie przyjeżdżają tramwajami. Wciąż ludzie wysiadają przed zamkiem, z miasta, z Pragi. Wysiada taki i odchodzi wolno, wolniusieńko, wraca się, jakby czegoś szukał i znowu odjeżdża. Po co on odjeżdżał, kiedy dopiero co przyjechał? A potem znów wraca. Oczami łypie ku bramie... Coś oni knują. Oni o każdej godzinie mają wszystko w pogotowiu.

— Głupi jesteś. Takiej siły oni nie mogą mieć.

— Takiej, jak my, nie mają, ale mają swoje złodziejskie sposoby. A na to co poradzi największa siła?

Było to największą troską generała. „Sposoby”. Czuł się wobec nich bezradnym.

Cios może paść nie wiadomo skąd — każdej chwili. Pomimo dozoru i rygoru w zamku i tu może do niego trafić wróg swoim nieobliczalnym sprytem.

Tedy znienacka, w dzień czy wieczorem, otaczano plac zamkowy wojskiem i rewidowano wszystkich, zabierano każdego, kto wydawał się podejrzanym. Żołnierze szli na tę robotę, jak na wesele. Bezcelnie obmacywali kobiety i z całą prostotą okradali rewidowanych ludzi z portmonetek i zegarków. Nie przynosiło to jednak żadnego istotnego pożytku. Generał siedział po dawnemu w swojej rezydencji.

Potem poszły czasy najgorsze. Raporty wszystkich dowódców korpusów zaczęły donosić o spiskach żołnierskich, o buntach, po koszarach, po obozach. Wykryto związek między ruchami żołnierskimi a polskimi organizacjami rewolucyjnymi. Tu — już jakby ziemia zapadła się pod nogami. Ci żołnierze pilnowali jego osoby. Przecież na ich łasce i nielasce był każdy moment jego życia. W twardym, niezłomnym umyśle generała zaczęło się dręczące wahanie. Mądrość całego życia, etyczne podstawy całej jego niezachwianej w wierności kariery podlegały niebezpiecznym wstrząśnieniom. Czyżby to już był koniec? Czyżby mylił się on i ci, co rządili Rosją? Czyż mają słuszność żywioły anarchiczne, te buntownicze gazety, przepowiadające zgon samowładztwa?

Znał rosyjskiego żołnierza. Znał jego ciemną, martwą duszę. Wiedział, że na wrzask komendy żołnierz ten idzie w ogień, idzie, na ojca, na matkę, jak ślepa maszyna. Przykręcał śrubę dyscypliny i w powierzonym mu okręgu nie było do niedawna słyhać o buntach i niepokojach soldackich. Tutaj żołnierza otaczał zewsząd wrogi, obcy naród. Przeciwno temu odwiecznemu wrogowi, Polakowi, szcuzto żołdata w cerkwi, w koszarach, w szkołach pod oficerskich, w broszurkach patriotycznych. A jednak żołdat bratał się z polskim buntownikiem i skrytobójcą...

W cóż w takim razie można jeszcze było wierzyć?

Generał zaczął się upijać. Pił samotnie, wieczorami. Pokrzepiał się, jak mógł — mógł przynajmniej spać twardo do rana. Inaczej nie mógłby zasnąć — bo do szaleństwa doprowadzała go myśl, że ginie Rosja.

Ze strachem patrzył teraz w oczy żołnierzy, stojących na warcie w zamku. A widząc struchlałe, bezmyślne spojrzenia soldackie, wlepione w niego, jeszcze nie wierzył.

— Przekłuje mnie tym oto kazionnym<sup>7</sup> bagnetem — myślał.

A ponieważ na takie niebezpieczeństwo nie było żadnej rady, przeto przestał wychodzić ze swego gabinetu i przylegających dwu pokoi. Wzmocnił za to działalność raportową i władze centralne na mocy dokumentów miały zupełnie dokładne pojęcie o jego gorliwości. Raz struchlał, otrzymawszy oficjalne zawiadomienie z Petersburga, że jakiś wielki książę z wielką księżną wybierają się za granicę i mają przejeżdżać przez Warszawę.

To jedno mogło go zmusić do opuszczenia swojej fortecy. Ale genialny dyrektor kancelarii przynosił mu natychmiast gotowy tekst telegramu, oświadczający, że osoba jego jest nieustannie tropiona przez rewolucjonistów, że wobec tego nawet tak krótki moment, jak powitanie na dworcu Ich Cesarskich Wysokości, może sprowadzić na Ich Ces. Wysokości nieszczęście w postaci zdradzieckiego zamachu, wymierzonego przeciwko warszawskiemu generał-gubernatorowi. Że polskie żywioły anarchistyczne nie zawahają się poświęcić osób Ich Ces. Wysokości. Że wobec tego uważa swój najświętszy obowiązek...

Wobec tego W. Książę jechał na Wierzbolów<sup>8</sup>, albo wcale nie jechał, a generał zostawał w spokoju.

Miewał jednak napady buntów, piekielnej nudy, wstydu. Wyjeżdżał na miasto! Wyjeżdżał. Stała gotowa opancerzona karetka z cesarskich wozowni, konwój kawalerii, która swymi ciałami i kadłubami kazionnych koni miała go osłaniać od kul, przywdziewał „protège-corps invulnérable<sup>9</sup>”, wyrabiany na użytek biurokracji rosyjskiej przez francuskich blagierów. Wyjeżdżał, ale po pół roku nie wyjechał za bramę. W ostatniej chwili chwycił go jakiś skurcz, jakiś spazm... Był to strach.

<sup>7</sup>kazionny (ros. казённый) — państwowy, służbowy. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Wierzbolów (lit. Virbalis) — miasto w pld.-zach. części Litwy, na linii kolei do Królewca (Kaliningradu), wówczas przy granicy rosyjsko-pruskiej, dziś litewsko-rosyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>protège-corps invulnérable (z fr. protèger: chronić, corps: ciało, invulnérable: odporny) — tu: kamizelka kuloodporna. [przypis edytorski]

A czas upływał. Jeszcze wciąż wznosiły się ku górze nadzieje. Jeszcze na miejsce jednego powieszono stawało do walki dziesięciu. Masy ludowe falowały i drgał coraz mocniej zrąb podmurowania państwa. W tajnym albumie generała zgromadziły się już dziesiątki fotografii skazańców rewolucjonistów, którym potwierdził wyroki i którzy już poszli na tamten świat. Z rzadka, w pewnych złych chwilach, rozglądał się po tych młodych twarzach.

Były tam oczy, patrzące na niego wyzywająco, jak na wroga, albo też bezmyślnie, obojętnie, w niektórych zastygło osłupienie strachu, w wielu widać już było wyraźnie patrzenie w niezglębioną czelusć śmierci. Generał nie poczuwał się do litości ani żadnych wzruszeń natury ludzkiej, gdyż, podpisując wyroki, spełniał tylko swój obowiązek, a zresztą i rewolucjoniści nie byli dla niego inni, niż on dla nich.

Wśród tej galerii skazańców miał jedną młodą twarz, którą zazwyczaj pomijał przy przeglądaniu. Zbyt drażniące, zbyt mocne było jego spoglądanie prosto w oczy. Zbyt długo trzeba było pamiętać potem pewne, nieopisane przykre wrażenie. Do tych oczu, patrzących zza świata, niepodobna się było przyzwyczaić. Na pierwsze wejrzenie chłopak ten spodobał mu się i to do tego stopnia, że gotów był nawet go ułaskawić. Ale ciążyło na nim zbyt wiele dowiedzionych przestępstw, generał zaś lubił być sprawiedliwym. Chłopak zginął i zaczął mścić się po śmierci.

Kiedy po jakimś czasie generał wydobyl jego fotografię, spojrzaly nań stamtąd jakby oczy upiora. Jasne, przenikliwe, nieublagane — wiedzące już wszystko i mówiące wszystko. Szarpnęło nim po raz pierwszy w życiu okropne powątpiewanie. Zali dobre jest to, co czyni? Zali to jest konieczne? Z oczu powieszonoego biła prawda, owa wiekuista nieomylność — która panuje tam, gdzieś, kędy poszedł skazany chłopiec. Z trudem powrócił potem generał do równowagi i przez jakiś czas nie wieszano nikogo. Ale któregoś dnia wrócił przecież do siebie i do pełnienia obowiązków. Siłą logiki i pracą woli, wymuszonym szyderstwem i zapijaniem sprawy zwyciężył tajemniczą moc swego wroga zza świata. A kiedy już było wszystko po dawnemu, wydobyl album i z drwiącym uśmiechem spytał widma:

— No i co?

— Zginiesz! — odpowiedziały natychmiast oczy.

Była w tym spojrzeniu znowu przenikliwa, nieodparta prawda. I zamarł drwiący uśmiech na pobludłej twarzy generała — zobaczył bowiem jakby własną śmierć, swój własny grób. Widział swój pogrzeb uroczysty, idący ulicami Warszawy. Gromady gapiów, szpalery wojsk. Odtąd nie otwierał już albumu i przestał gromadzić fotografie skazanych.

A tego wieczora miał się stać właśnie epokowy wypadek w ostatnich miesiącach jego życia: miał naprawdę wyjechać. W najgłębszej tajemnicy czyniły się przygotowania. Wszyscy agenci byli ściągnięci, obstawione były ulice. Cały szwadron huzarów miał być wezwany w ostatniej chwili. Generał gotował się do tego występu z całym bohaterstwem. Miał być na pewnym bazarze dobroczynnym, zorganizowanym przez polskie sfery arystokratyczne. Miał się pokazać. O to mu głównie chodziło. Zarazem strasznie chciał zobaczyć ruch uliczny, ludzi, życie. Miał to nieprzeparte zachcenie więźnia, który dałby pół życia za moment, spędzony na wolności, między ludźmi. Wszystko było gotowe, oberpolicmajster i naczelnik ochrony ręczyli mu za bezpieczeństwo, a zwłaszcza zapewniali, że nikt oprócz nich dwu nie wie o istotnym celu przygotowań.

Około dziewiątej przygalopował zaalarmowany oddział huzarów. Karetą stała gotowa i dwaj adiutanci z minami, sadzącymi się na oznaki męstwa. Generał już w futrze schodził ze schodów, czyniąc pod mikołajewskim płaszczem nieznaczne znaki krzyża. Serce mu było mocno, coraz mocniej, jeszcze mocniej. Zachwiał się i upadł.

Wezwany lekarz skonstatował symptomy nerwicy serca.

Odbyło się konsylium, zalecono wypoczynek, i generał zaczął rozmyślać nad tym, w jaki sposób zredagować podanie o dwumiesięczny urlop.



Orkiestra grała hucznie ostatni swój kawałek. Znać w nim było radość muzykantów, że nareszcie będą mogli pójść do domu. Był to hałaśliwy jakiś marsz. Jeszcze przed chwilą w umyśle Kamy tlał płomynek nadziei, przed chwilą jeszcze, wbrew wszelkim oczywistościom, nie wyobrażała sobie, żeby szary realizm życia mógł zdeptać i wyszydzić wszystko, co było tak niesłychane.

Od dwu godzin żyła w ekstazie, wśród cudów, ponad bytem. Krążyła wśród tłumu, była przytomną, uśmiechała się, widziała i słyszała wszystko wokoło siebie. Od dwu godzin doznawała upajającej rozkoszy spoglądania zza świata na rzeczy ludzkie. Dziwnymi stawały się rzeczy najzwyczajniejsze. Inne, nikomu niewiadome, jej jednej tylko dostępne było znaczenie pewnych słów, dźwięków, barw, kształtów. W jednej chwili odmieniła się wewnętrzna postać wszelkiej rzeczy. Oczarowana weszła w rozbawiony, świąteczny tłum i wraz z nim bawiła się swoją tajemnicą.

Było jej wesoło, lekko, łatwo.

Mijał szybko czas wśród gwaru i pustoty karnawałowego bazaru. Krążyła po kramach, kupowała z wyborem rzeczy, które jej były mile, dawała hojne naddatki. Lokaj, postępujący za nią, miał już pełne ręce sprawunków.

— Proszę jasnie pani — odniosę do karety, bo już nie mam gdzie podziąć!...

— Co to jest? Dlaczego jeszcze?...

— Milcz! Nie patrz tak na mnie. Lada chwila.

Upuścił kilka paczek i, podnosząc je, szeptał:

— Jak wejdzie, staniesz u wejścia przy kramie z książkami. Nie ruszaj się. Oglądaj książki. Jak będzie czas, powiem ci. Pilnuj się w ostatniej chwili! Przed resursą mnóstwo szpicłów. Przyjedzie na pewno! Bij pod nogi o pięć kroków z całej siły...

Dwu elegantów otarło się o nią, patrząc beczelnie i wesoło. Lokaj zamilkł i odszedł.

Nie zdążyła go zapytać o jedną rzecz. Było to coś straszliwie ważnego. Kiedy poszedł, myśli jej układały się w formę zapytań. Mijały tylko, przerzucała je, szukając czegoś najważniejszego. Śpieszyła się. Każda chwila była policzona, a musiała znaleźć swoje najważniejsze pytanie — musiała na nie odpowiedzieć...

— Boże daj, żeby zdążyć — Boże daj!...

— Co się ze mną stanie za godzinę? Nikt tego nie wie! Nikt żywy!...

— Po co człowiek żyje? Po co ten tłum? Po co ten bazar?

— Co ja mam uczynić. Dlaczego ja nie wiem, co mam zrobić, ani gdzie jestem?

— Jaki będzie ten jutrzejszy dzień? Dziwny dzień, już beze mnie!...

— Dlaczego nie pożegnałam się z matką? Dlaczego ja o tym myślę? Czy ona zrozumie mój list?

— Dlaczego ja nie mogę myśleć? Dlaczego mi się chce krzyczeć, wołać, sama nie wiem co?

— Czemu zagrali teraz to, co u nas w domu, kiedy byłam całkiem mała... To coś z Mozarta!...

Umysł zapadał jakby w drzemanie. Śnił jej się tłum, muzyka, jaskrawe światła, od których bolały oczy. Już gdzieś kiedyś widziała to samo, gdzieś kiedyś śniła się jej ubrana dywanami altana, w której siedziały trzy wystrojone panie. Błogością i szczęściem zdjęła ją odkrycie, że to sen i w tejże chwili ocknęła się. Zdjęła ją zgroza. Jak długo trwał jej osłupienie? Czy już nie przepadło wszystko? Gwałtownie odwróciła się ku wyjściu — szukała wszędzie rozszerzonymi ze strachu oczami. Czy nie za późno? Ach, co za szczęście!

Człowiek w liberii, nakazujące oczy, cichy, spokojny głos:

— Oglądaj. Kupuj, kupuj ciągle, nie myśl — kupuj, rozmawiaj z paniami, nie myśl!...

W uszach szum i daleki jęk.

Poczuła władzę nad sobą, lekkość i siłę w poruszeniach.

Cokolwiek miało nastąpić, było to logiczne, jasne i do głębi zrozumiałe. Cokolwiek miała dokonać, było to dobre, pożądane, łatwe. Uśmiechnęła się do swojego szczęścia. Przez dalekie, rytmiczne jęczenie, którego miała pełną głowę, słyszała jednak wyraźnie, co mówiły do niej rozbawione, sprzedające panie i słyszała swój własny odziwniały głos, swój śmiech i swoje puste słowa. Potem, mijając wielkie drzwi głównego wejścia, spokojnym okiem zajrzała w głąb szerokich schodów, którymi miało wejść jej przeznaczenie.

Nigdy nie czuła takiej rzeźkości, wesela i siły. Przestał jej dolegać ciężar pocisku, który wisiał pod żakietem u paska na płaskim stalowym haku. Nie czuła żadnego wysiłku przy poruszaniu się z miejsca na miejsce. Płynęła, jak gdyby ponad ziemią. Już zapomniała o swoich dręczących, niepodobnych do rozwikłania myślach. Napadła ją pustota, lekceważenie wszystkiego i szczerza potrzeba wesołości.

Zewsząd zastępowały jej drogę pokusy. To kupić wielki pleciony fotel i patrzeć, jak ten potężny i złowrogi Leon, jako posłuszny lokaj, będzie musiał nieść go przez całą salę. To ukryć się gdzieś między labiryntem sklepów, zaszyć się w tłum, zginąć, uciec i śmiać się w duchu z ponurych spojrzeń Leona. Mimo woli głośno roześmiała się, może za głośno, ale nigdy nie widziała tak prześmiesznej zabawki: stoi pajac na rozkraczonych nogach, z parasolem w ręku, kiwa się na wszystkie strony, niezgrabnie, sztywno robi kilka kroków i pada niespodziewanie szybko. Jakże wesoło...

— Napij się wody! Zaraz napij się wody sodowej! Natychmiast...

Idzie posłusznie. Z rozkoszą wypija dużą szklankę przepysznej jakiejś, mrożonej lemoniady. Płaci rubla. Przyćmiewają światła. Dzwonek.

Patrzy z chciwością. Wysoko na galerii na wielkim płótnie przebiega szybko żyjący krajobraz: środkiem biegną szyny kolejowe. Z jednej strony spływają zbocza gór, z drugiej faluje i bije o brzeg żywe, cudne morze. Z daleka przyplywa fala, rozpędza się, zbiera siły, naciera i szerokim płaszczem zalewa brzeg. Wiatr od morza niesie jędrny, słony chłód, chwieją się na wietrze gałęzie drzew, mijają białe wille, pałacyki. Przemykają szybko ludzie, patrzący na pociąg. Znajomy, miły walc narzuca dziwny, rzewny urok na to wszystko. Ktoś głośno wywołuje tytuł numeru: „Droga z Nicei do Monte Carlo”. — Nigdy tam nie będę — myśli Kama i łzy napływają jej do oczu.

Skoczna, trywialna polka. Toczy się środkiem drogi pijany jegomość, oszczekują go psy, najeżdża nań rowerzysta, przewracają się obadwaj w pocieszny sposób. Wokoło śmiechy. I Kama się śmieje. Pijak idzie dalej, wpada w stado owiec i bije się z pastuchem. Znowu psy, które wydzierają mu z ubrania całe płaty. Jakiś człowiek niesie coś na głowie w dużym kubku. Pijak włazi mu pod nogi i zostaje obłany wapnem od stóp do głów. Wokoło śmiechy. I Kama śmieje się również, chociaż spostrzega, że ta błazeńska scena zaczyna się wiązać w jakiś straszliwy sposób z jej sprawą. Nagle zgaszona została cała groza i splugawiona wzniosłość tego, co ma się stać — lada chwila. Od tego błazeństwa trzeba będzie oderwać oczy i z urwanym pustym śmiechem pójść tam... Dlaczego tak głupio? To niepodobieństwo... Niepodobieństwo... żeby to mogło się stać *naprawdę*. Wie, że zrobi, co trzeba, rzuci, jak trzeba — ale to nie będzie już *to samo*. Ona już wie. Nic się nie stanie. Coś się nie uda.

Wiara odeszła. Zostało bierne, bezmyślne poddanie się. Ani odrobiny pragnienia, ani odrobiny strachu. Nie — nic z tego nie będzie.

W półmroku widziała obok siebie twarz Leona i ponury blask jego oczu, kiedy oglądał się za siebie, ku wejściu do sali. Myślała tępo: on się jeszcze spodziewa, a tymczasem to jest niepodobieństwem. Skąd wiem? Wiem, nie myślę się...

Po chwili już nic nie wiedziała. W głowie czuła zupełną pustkę. Znikło wszystko, tylko z oddala poprzez mętny zmrok dotykała jej nieublagana, nieprzerwanie idąca swoim tonem rzeczywistość, liczyła każdą ubiegającą chwilę i oznajmiała spokojnie, że trzeba będzie zacząć chcieć, zacząć działać? Kiedy? Lada moment... Tęgo już nie rozumiała.

W głowie znowu jęklive dzwonięcie. Lekkość, rzeźkość w całym ciele, które staje się, jak sprawna maszyna. Pcha ją i rozpiera czyjaś obca siła, podnosi ją nad ziemię. W duszy martwy bezwład, ponury, grobowy smutek. Tęgie są proszki doktora, nigdy nie czuła takiej siły i nigdy nie czuła się tak niezdolną do myślenia, do rozważania.

Gdzieś w innym świecie, poza wszystkim, co się działo wokoło, zaczynały się dalekie, ledwo dosłyszalne szmery, szepty. Zbliżał się szum jakby nadchodzącej ulewy. Tu przychodziło zwiastowanie tego, co się stać musiało. Już idzie okropna chwila, Kama z rozpaczą szukała w sobie woli, chęci. Rozpierzchły się wszystkie władze duszy, przed oczami tkwił, jak okrutne urągawisko, ruchomy obraz: tacza się pijak po drodze, napastowany przez psy, poniewierany przez ludzi. Przygnębiał pusty śmiech zgromadzonej gawiedzi, wybuchający co chwila. Raziała uszy skoczna melodia.

Nagle zabłysły na nowo światła, Kama gwałtownie odwróciła się ku drzwiom wchodowym. Potok publiczności tłoczył się we drzwiach. Muzyka uderzyła marsza. Panie,

sprzedające po kramach, zaczęły nakładać okrycia. Bazar był skończony.

Na dworze padał deszcz. Długo musiała czekać, zanim zajeżdżała jej karetą. Błędnym wzrokiem rozglądała się po tłumie, szukając nie wiadomo czego. Nie rozumiała nic. Wiedziała jedno, że żyje, że będzie żyła jutro i może jeszcze przez długie lata. To ją przerażało i wydawało się niepodobieństwem. Nie mogła tego ogarnąć żadną miarą. Mokre parasole, błoto, zgłębienie zajeżdżających powozów, zwyczajność tego wszystkiego przygnębiała ją, jak potworny, męczący, a nie dający się ogarnąć sen.

Ktoś ujął ją mocno pod ramię i podsadził do karety. Kłapnęły głucho drzwiczki. Ruszyli. Znowu przez okna zaglądał do niej świat obojętny, prawdziwy, nie wiedzący o niej nic a nic.

Niedawno żegnała go z rozkoszą, z dumą, świadomością swojej wyższości nad wszystkim, co jest. Jechała, jak królowa, dla której niczym jest prawo świata... Teraz wraca, jak wygnanka, jak żebraczka. Musi poddać się brutalnej władzy jutrzejszego dnia. Musi w ciągu tej nocy zimowej pogodzić się z dawną dołą, ukorzyć się przed głupimi drobiazgami życia, przywiązać się na nowo do swojego dreptania po świecie, spotykać ludzi, którzy już byli poznawali, jak cienie. Trzeba będzie przypomnieć sobie ich twarze, ich imiona, ich potrzeby... Poznała z przerażeniem, jak straszną rzeczą jest pożegnać życie i pozostać. Wiedziała, że już nic ją nie zajmie i nie przywiąże do siebie naprawdę. Obudziła się, jak inny, drugi człowiek. Tamten umarł; znikł. Jakże teraz będzie w niej żył ten drugi człowiek?

Karetą zatrzymała się. Do środka wszedł Leon. Już się gdzieś podziela jego liberia. Był w palcie i kapeluszu. Siadł, nic nie mówiąc. Pojechali dalej.

— Dlaczego się tak stało? — porywczo i ostro zapytała Kama.

— Dlatego, że nie przyjechał.

— Dlaczego nie przyjechał?

— Dlatego, że nie przyjechał.

Karetą dudniła głucho, deszcz siekł w szyby i przez krople deszczu świat wyglądał mętnie, poczwarnie.

— Słuchajcie, Leon...

— Słucham.

Odwróciła się do niego, patrząc mu z bliska prosto w same oczy.

— Słuchajcie dobrze i nie oszukujcie mnie. Ja jestem kobieta, ale ze mną nie trzeba było robić prób ani komedii. Jeżeli przebranie, ta bomba i to chodzenie po bazarze i to głupie kupowanie... Rozumiecie? Jeżeli to wszystko było jeszcze jedną pedagogiczną próbą — to wiedzcie, żeście mnie przeczyli. Ja już nic nie zrobię! Nie chcę żyć. Nie mogę. Rozumiecie?! Już jestem nauczona, wytresowana, sprawna, doświadczona! Już mi można powierzyć ważną, trudną rzecz. A ja nie zrobię już żadnej, nawet najgłupszej. Rozumiecie? Człowiek nie jest maszyną, którą można kręcić za korbę. Coś się we mnie popsło. Ot i dosyć! Ja was błagałam, żeby nie było prób, komedii, oszukiwania! Mówiłam wam, że ze mną prób nie potrzeba i przysięgałam, że zrobię dobrze. Raz, ale dobrze — a teraz...

— Nikt was nie oszukiwał. To nie była żadna próba. To była robota!

— Dlaczegoż nie przyjechał?

— Bo nie przyjechał. Już wam to raz mówiłem.

— Nie wierzę.

— Dobrze.

— Dlaczegożby mu się śpieszyło na ten głupi bazar, kiedy nigdzie nie wyjeżdżał od pół roku?

— Taki miał gust. Przecie i jemu coś wolno.

— Skąd dowiedzieliście się o tym? Jaką macie pewność?

— Nic wam do tego.

— Puśćcie mnie! Niech stanie, ja wysiadam!

— Nie.

— Człowieku — nie, nie człowieku! Nadczłowieku, siepaczu, naczelniku, pogromco!... Zrozumcież, o co mi idzie! Ja nie mogę żyć! Ani godziny dłużej. Ja chcę dziś zrobić moją robotę. Ja wiem, gdzie i jak. To będzie dobra rzecz. Niech nie ginę bez zasługi. Dowiedcie się jutro i sami powiecie, że dobrze było zrobione! A jutro o tej porze będzie

ze mnie szmata, a nie człowiek, nędzarka. Ja nie chcę! Powiedziałam, że mnie starczy na jeden raz. Chcę dotrzymać słowa. Żegnajcie!

Leon oderwał jej ręce od klamki drzwiczek. Mocno, jak w obcęgach, trzymał jej dłonie w jednej ręce, a drugą szukał pod żakietem. Szarpnął, oderwał jeden guzik, odczepił pocisk od paska i puścił jej ręce. Kama chwyciła za puszkę, ujęła mocno i ciągnęła ku sobie. W tejże chwili dostała potężny cios pięścią po ręce. Ramię jej zmartwiało, puściła. Leon schował pocisk do kieszeni paltota. Jechali w milczeniu.

Kama nie poznawała ulic. Napadły ją obłąkane myśli. Na razie stało się, jak gdyby zapomniała o wszystkim, co było. Nie wiedziała, ani kim jest, ani gdzie jest. Pamiętała, że ją ktoś boleśnie uderzył. Kto? Za co? Czuli się winną. Co ja zrobiłam? Pytała, jak dziecko, które płacze, bo mu się przyśniło, że je obito. Jakiś tuman zgęszczał się koło niej, przyćmiewając wszystko, wszystko czyniąc możliwym i nieprawdopodobnym. Czuli tuż przy sobie obecność kogoś strasznego. To jakiś człowiek, którego się boi, przed którym truchleje, jak pies przed zagniewanym panem. W głowie huczało ciągle, a miejsca, którymi jechali, stawały się coraz bardziej fantastyczne. Otwierały się jakieś niezmierzone przestrzenie, morza światła, morza ciemności...

Wreszcie oprzytomniała.

— Boże, Boże, i cóż się ze mną stanie? — westchnęła, nie zauważając, że mówi głośno.

— Odpoczniecie przez tydzień, wypłaczenie się, wyspicie, nawyrzekacie, a za tydzień, we środę o 12-ej w południe, spotkamy się na Instytutowej. Będziemy planowali dalej. Musi się udać. Obmyślimy jakiś diabelski figiel. Ten łotr musi wyjechać. Ja go zmuszę! Wykurzę go z zamku, ale tego nie dosyć, musi przyjść tam, gdzie ja na niego będę czekał...

— I ja!...

— Wy?... Towarzyszko Kamo, wy będziecie nam pomagali, będziemy układali rzecz razem, ale w ostatniej decydującej chwili was tam nie będzie.

— Będę!

— Nie. Powiedzieliście mi tu przed chwilą kilka słówek, które zapamiętałem...

— Nie wolno takich rzeczy pamiętać! To było może głupstwo...

— Nie. To była prawda. Są ludzie, którzy scalają się na jeden raz i wy chyba jesteście właśnie taka. Mówiliście mi to nieraz, ale ja nie wierzę w gadanie. Wierzę w to, co jest. Teraz dopiero wiem. Jesteście zatracona dziewczyna. Chcecie pięknie zginąć. Nie potraficie żyć do ostatniej chwili. Za wcześniej umieracie, towarzyszko. Na tym bazarze chodziliście jakby po polach elizejskich już na tamtym świecie. Nie potraficie do ostatka żyć intensywnie i trzymać w pogotowiu wszystkie władze duszy. Prawdziwy bojownik żyje jednakowo przytomnie aż do ostatniej sekundy, kiedy go rozerwie bomba. A jak go schwycą za ręce i prowadzą... Cóż wy, Kamo, czynilibyście, gdyby was tak dopadli szpicle na tym kiermaszu? Powiedzieć?

— Wy byście mnie odbili. Tam musieli być jacyś nasi ludzie, o których raczyliście mi nie powiedzieć.

— Mylicie się. Nikogo nie było, prócz nas dwojga, ale nie o to chodzi. Ja bym was nie odbijał. Co dalej?...

— Upuściłabym bombę i rozerwałoby i mnie, i szpicłów! Oto co!

— I kilkadziesiąt niewinnych osób. Ślicznie! Walka bojowa z publicznością kiermaszową. My po to egzystujemy! Zdaliście egzamin. Teraz dowiedliście sami sobie, że nie nadajecie się do pewnych robót. Dosyć.

— Nieprawda. Zupełnie inaczej postąpiłabym. Ja mówiłam ironicznie...

— Być może. Ale ja poległam nie tylko na tym, co i jak mówicie. Ja wiem, że właśnie postąpilibyście tak, a nie inaczej. A wiem to dopiero teraz.

— To jest wpieranie. To jest szpiclowanie cudzej duszy. Niegodziwość!

— Owszem. Takie właśnie szpiclowanie jest moim obowiązkiem. Ja jestem szpicel rewolucji i jej kat.

— Szpiclujcie wroga — nie wolno wam katować swoich.

— Ja wiem, co mi wolno.

— Włazicie mi w duszę.

— Z butami — tak się to mówi. Nie jestem grzeczny, słodki. Ja zbyt szanuję ludzi...

Leon urwał. Deszcz siekł w szyby. Na placu Aleksandra otoczył ich oddział kłusujących huzarów. Przez kilka minut jechali, zagarnięci przez chmarę jeźdźców. Już daleko w ciemnych Alejach Leon roześmiał się dziwnie.

— Bo ja szanuję człowieka. I was niezmiernie szanuję. Dlatego mówię, co myślę i jak trzeba. Leon — drewniany człowiek, Leon — maszyna. Ej, towarzyszeko...

Kama ze zdumieniem słuchała. Nigdy Leon nie mówił takich rzeczy. Głos mu się zmienił, drgał i zarywał się ze wzruszenia. Już czuła w oczach łzy. Poznała niezmierny ciężar, jaki dźwigał w duszy ten zimny, nieczuły człowiek, który wyprawiał ludzi na śmierć spokojnie, pedantycznie.

Pod wpływem tego zdumienia oprzytomniała, zapomniała o wszystkich swoich nieszczęściach. To znowu, słuchając, sądziła, że śni. Ten głos pełen rzewności, to serdeczne mówienie. Leon? Leon...

— Byliście przy tym, jak wyprawialiśmy na robotę Michała? Wyprawialiśmy go na tamten świat. Wiadomo było, że stamtąd niepodobna wyjść cało. Wy żegnaliście go z tą piękną waszą serdecznością, jak siostra, jak kochająca. Ja robiłem mu przykrości, plugałem drobiazgami, głupimi żartami te ostatnie chwile. Jak wychodził, trzasnął drzwiami, mruczając „bydlę”. Słyszeliście to słowo?

— Słyszałam.

— I pomyśleliście sobie to samo. Wy myślicie tylko o tym, że ginie kochany, swój człowiek. A ja — ja myślałem o tym, żeby ten człowiek nie zginął na darmo. Ja zawsze myślę tylko o tym, żeby się udało. Wyście Michała rozrzewniali, czarowali. To straszne niebezpieczeństwo! Ja widziałem, co się z nim dzieje. Trzeba go było otrzeźwić, potrząsnąć, postawić na ziemi, otoczyć głupstwami, przerywać tok jego myśli, które już opuszczały ziemię, wreszcie zirytować go, żeby kłął i złościł się, żeby po trosze zapomniał, że zaraz zginie, żeby to pomieszać ze zwyczajnością, z prozą życia, z błotem, ze śmieciem... Żeby się zdumiał, że ktoś może być w ostatniej chwili takim cynicznym chamem, kiedy wyprawia się na śmierć kogo innego, a samemu się pozostaje. I poszedł, urażony głęboko. O — urażony... Czy to można wyrazić, co on czuł wówczas? A ja muszę umieć to znieść, muszę pozostać w swojej roli... Choć wiem... Bo wiem, że nie spotkam Michała tam gdzieś pomiędzy gwiazdami i nie powiem mu, co to było... Wy tam między sobą mówicie: Leon nie ma nerwów, Leon nie ma serca, Leona nie można polubić, to tylko maszynista, nakręcający nas, jak automaty — on w nas nigdy nie widzi człowieka...

Kama milczała, bo tak, tymi samymi nawet słowami mówiono o nim zazwyczaj.

— ...O, gdybym ja taki był... Taki mocny! Takich ludzi nie ma w Polsce. Na nasze czasy, na naszą piekielną, targającą człowiekiem walkę, trzeba, żeby bojowiec nie myślał nic innego, tylko to, czego chce od niego „robota” — jak my to nazywamy po naszymu. My — narzędzia, maszyny do ciskania bomb, szpiegi, podkradające się chyłkiem pod wroga, rycerze nocy... Tak o nas mówią — a zresztą... Czyż wszystko jest piękne, romantyczne w naszej walce? Czy wszystko już okupi i zmaże stryżek, który nas nie minie, czy katorga? Czy nie ma strasznych, obrzydliwych konieczności, przed którymi wzdrygnie się normalny, uczciwy człowiek? A nam się cofnąć nie wolno! Czasami taką rzecz zrobi tylko człowiek jakiś osobliwy i takiego trzeba między sobą znosić, używać go, póki nie zdradzi, kiedy mu założą stryk na szyję, lub póki mu się w łeb nie strzeli... Co ty znasz, co ty wiesz, dziewczyno...

Kareta toczyła się z wolna. Jechali wciąż nie wiadomo dokąd, przez obcy jakiś kraj. Coś nieznanego otoczyło nagle Kamę. Jak gdyby dopiero teraz poznała, co czyniła i na co się to ona ważyła. Rzeczy, przeżywane zwyczajnie, powszednio, z dnia na dzień, ukazały się nagle w swojej istotnej prawdzie. Było to niespodziewane. Wiedziała, że szła na śmierć — ale dopiero teraz poznała, co to jest iść na śmierć i co to jest zadawać śmierć. Brała udział w różnych złowrogich, krwią cuchnących sprawach, nosiła i woziła pociski i broń, robiła wywiady, naprowadzała rycerzy-skrytobójców na upatrzoną ofiarę. Nigdy nie przeszło jej przez głowę, żeby się wzdrygnąć, żeby się cofnąć, żeby powątpiewać. Teraz, słysząc, co mówił ten niezłomny i niedostępny dla ludzkich wzruszeń człowiek, wzdrygnęła się, jak gdyby się zbudziła ze snu, poczuła się opasaną przez oślizgłe zwoje zimnego gada. Ponuro, strasznie, jak czarne cienie na tle purpurowej łuny ukazały się jej znane i ukochane postacie towarzyszków walki. W mroku nocy, przy dalekim odbłasku jakiegoś pożaru, krząta się gromada czarnych ludzi. Pochylone są ku ziemi te kształty. Czołgają się po

Spowiedź, Społecznik,  
Śmierć bohaterska

ziemi i skradają się ku czemuś po nocy. Tam między nimi jest i ona. Chodzi wśród nich blada śmierć i wyciąga chude piszczele: jedną ręką wskazuje na coś, drugą miarowym ruchem z wolna, a raz po raz obala czarne ludzkie postacie. Stoi nad nimi cisza — groźna, napięta, zacząjona. Przeczuwa dusza czyjś straszliwy, strasznie bliski gromowy głos.

Z dreszczem trwogi odwracała się Kama od poczwarniej wizji. A Leon mówił:

— Ciasno duszy. Miserne nasze środki — mizerny nasz cel. Tyle zabiegów, trudów, niebezpieczeństw i tyle ofiar — na co? Mówi się — dla przyszłości, wierzy się w przyszłą wielką wojnę... Ale na teraz? Dla nas, którzy tymczasem przy tej robocie wyginiemy? Dla nas zostanie celem największym „jego wysokoprewoschoditelstwo”<sup>10</sup>, nędzny czynownik<sup>11</sup>. Dla nas zostanie niszczenie drobnych posiepaków policyjnych. Na to pójdą wszystkie nasze prace. Za to my głowę oddamy. Bądźże rycerzem i miej tu znamię chwaly na czole! Noś w sercu radosny, mężny zapal!... Ponura nasza walka, ciężki trud — ta nasza krwawa robota — a nasza śmierć? Na polu bitwy umiera rycerz, grzmią mu armaty, tętnią konie — widzi, kiedy się dźwignie z kałuży własnej krwi, olbrzymi obraz ścierających się mas i z tym obrazem w duszy odejdzie... A my? Sponiewierają nas w brudnym cyrkule<sup>12</sup>, będzie nam pluć w oczy byle szpicel. Potem czekaj. Będą cię kusić, będą w tobie hodować podłość — czynić będą wszystko, żebyś sam sobie obrzydł... Mówi się, że prowokator — to prowokator, że to tylko podły człowiek. Ejże nie... Niejeden z tych, co zdradzili, zginąłby bez wahania jako rycerz w pięknym, łatwym boju rycerskim. A u nas trudno. U nas ponuro. Szczęśliwy, kto jest ślepy i tego nie widzi. Młodość, młodość... Ale spala się młoda dusza w jednym czynie, w pierwszej próbie. W naszych piekielnych warunkach więdną dusze — kwiaty. Uciekają od nas, marnieją, giną. Zostają twardzi, bezwzględni, świadomi. A różny bywa ten człowiek twardy, wytrzymały. Ponuro się nosi, świata nie widzi, w śmierć swoją patrzy. Temu trzeba wybaczyć, takiego trzeba zrozumieć, bo mówię ci, dziewczyno, na takich nieludziach stoi cała nasza „robota”. Jestem ja, jest jeszcze kilku, których nie znasz: my podjęliśmy cały ciężar — my wytrzymujemy wszystko i wytrzymamy wszystko aż do samego końca. W tym, co nas czeka, nic nas zdziwić nie może. Żadna klęska, żadna krzywda — żadna okropność! My nie marzymy ani o pięknie, ani o sławie, jak ty i wielu, wielu jeszcze wśród nas, bo my wiemy, że u nas nie ma miejsca na to, co się nazywa „pięknem”. Głęboko i na długo zakopana jest ta nasza prawda — ta prawda o naszej sprawie, o naszej męce, o tym krwawym wyrzeczeniu się wszystkiego, co szanuje w sobie każdy żywy człowiek, co chroni, czego broni do ostatka i czego nie odda nigdy i nikomu! A my oddajemy... Łatwo dać życie — ale duszę oddać?...

Kama słuchała, wpatrzona osłupiałym wzrokiem w Leona. Nie mogła oderwać od niego oczu. Kiedy kareta mijała ciemniejsze strony, Leon zniknął, a głos jego zdawał się wówczas wychodzić z głębi mroku, z jakiejś ponurej pieczary. Truchlała, bo w takich chwilach zdawało jej się, że jest gdzieś w niepojętym miejscu, w niepojętym świecie i słyszy głos jakiejś potwornej nadludzkiej i nieludzkiej istoty.

Za mocne były wrażenia tego dnia. Kama co chwila traciła i odzyskiwała siebie, usypiała — przenosząc się gdzieś, gdzieś, i wracała, budziła się jak ze snu. Przemknęła się w niej krótka, błyskawiczna myśl i uleciała natychmiast. Ale ten moment był tak mocny, że, ogłuszona, przez długi czas nie mogła zrozumieć ani słowa z tego, co do niej mówił Leon. Wydało jej się, że ta chwila — to „teraz” jest czymś wyrwanym już z innego, z „tamtego” świata.

Odbłyło się już wszystko, tak, jak być miało. Już nie żyje jej rozszarpane ciało. Poszła gdzieś w zaświaty dusza, popłynęła w niezmierzone dalekości, między gwiazdy. A teraz zabłądziła gdzieś w mrok, w ciasny jakiś zaułek tajemniczej krainy — tej samej, która czeka na każdego od urodzenia, tej samej, w którą nie wierzą tam na ziemi trzeźwi ludzie. Wieczność! Nieśmiertelność!

Czy to znaczy być i pozostać już na zawsze w czarnym jakimś kącie, w nieopisanym strachu — przed dręczącą jakąś zagadką?...

<sup>10</sup>jego wysokoprewoschoditelstwo (ros. ego высокопревосходительство) — tytuł, którym zwracano się w carskiej Rosji do urzędników (wojskowych lub cywilnych) pierwszej i drugiej rangi. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>czynownik (ros. чиновник) — urzędnik. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>cyrkul (daw.; z łac. *circulum*: koło, okrąg) — komisariat policji (w zaborze rosyjskim; w innym znaczeniu także: administracyjna jednostka terytorialna, odpowiednik powiatu). [przypis edytorski]

Zbyt mocne były wrażenia tego dnia. I gdyby ów najgorszy moment trwał choć o ćwierć sekundy dłużej, zerwałby się cienki włos, na którym wisiał tuż nad głową Kamy miążdzący ciężar obłędu. Pomieszałyby się prawda z przywidzeniem, otwarłaby się przed nią czeluść, pełna poczwarowości. Jeszcze chwila, a zaroiliby się wokoło od czarów i cudów, usta belkotałyby bez sensu, siląc się na ujęcie i wypowiedzenie rzeczy niewypowiedzianych, nie mających ani kształtu, ani bytu.

Światło wypełniło znowu wnętrze karety — ukazał się znajomy profil Leona. Wróciła cała prawda istniejącego świata, odżyła w całej świeżości pamięć minionego dnia. Ale ogromne było zmęczenie Kamy. Ból sprawiło jej słuchanie, myślenie.

— I cóż — mówił Leon — po nas przyjdą te nowe czasy. Tego się spodziewamy. Przyjdzie wielka walka, przyjdzie zwycięstwo. Niechże im będzie na zdrowie, tym jutrzejszym pokoleniom! Jakies ogromne zdarzenia, wielkie czyny przywalą te nasze śmieszne walki. Wypłyną wielkie imiona i pies z kulawą nogą nigdy nie wspomni jednej i drugiej, i trzeciej setki pseudonimów, którzy oddali życie — i więcej, niż życie! — Nasza sława!... Sława naszych walk, naszych prac? Kto o nas zapyta? Kto nam wynagrodzi mękę? Kiedy, jaki psycholog odgrzebie naszą prawdę? Jaki poeta wyśpiewa *nasze* piękno? Niechże idzie od nas precz, kto marzy o sławie! Samotne nasze bohaterstwo i bez nagrody. Kto zniesie taki los — ten nasz, kto świadomie go dźwignie, ten wytrzyma do końca. Takich ludzi potrzeba na ten czas, a wielu ich jest? Ha — ha...

Zimna zgroza wpełzła jej aż do głębi duszy. Coś dostrzegła, coś odgadła. Rozsunęła się przed nią jakby jeszcze jedna zasłona. Chciała wołać na Leona, żeby przestał. Bała się czegoś. Chciała zapomnieć o tym, co usłyszała.

Nagle spostrzegła w sobie jakby blask płomienia. Znowu gorąca stała się jej żądza życia. Podniosła się w niej jakaś duma i poznała w jednej chwili, że jest już innym człowiekiem. Lepszym? Gorszym? Nie wiedziała.

Poczuła w sobie siłę. Dramat, który przeżyła tego dnia, a który jeszcze tak niedawno złamał ją jakby na zawsze, na całe życie — teraz wydawał jej się drobną przygodą. Zachciała żyć, walczyć. O tym, co ją czekało — cokolwiek bądź by to było — myślała z radością.

— Ty jesteś poezja, młodość, jest w tobie lot. Rzeźnią i mordownią byłaby cała ta nasza robota, gdyby nie takie, jak ty, kobieta... Ot, do czego nam potrzebne kobiety — nie tylko do tego, że kobieta może się łatwiej prześliznąć, że na nią mniej zważają szpicle na ulicy! Chciałoby się was oszczędzić, chciałoby się wam wyszukać samego piękna... Mało go w naszym życiu. Po coś przystała do nas, do „rzeźników”? Nie lepiej by ci było zapalać ludzi na wiecach, sercem dzielić się z masami, które łakną i pragną tego serca i tak mało go mają od tej całej partii...

Kama przerwała mu wzburzona:

— Dosyć! Już wiem wszystko! Nie macie prawa mnie wypędzać! Nie macie prawa mnie żałować!

— Chcesz zginąć?

— Chcę żyć i chcę zginąć!

— Dobrze, obiecuję ci — zginiesz! Ale zginiesz z pożytkiem! Ale przedtem dokonasz, zarobisz na tę śmierć, żeby po tobie został czyn prawdziwy. Czyn... Pylek to będzie drobiny — wiedz i to, ale z miliardów takich pyłków tworzy się kurzawa dziejów. Kamo, dzisiaj zrobiłaś pierwszy twój wielki krok — to był twój chrzest. Czekają cię rzeczy trudniejsze. Będziesz mnie słuchała?

— Będę!

Słuchała go zawsze, ale teraz zaprzedała mu się całą duszą. Będzie ją mógł poprowadzić, dokąd zechce. Czowała jakby łańcuch na szyi i czuła go z radością. Była dumna z tej swojej pokory. Znowu poczuła w sobie zmianę. Na lepsze? Na gorsze? Poczuła, że chce służyć wiernie, jak pies, długo, jak najdłużej i że gotowa jest zginąć natychmiast, jak będzie potrzeba — jak rozkaże Leon. Znalazł się ktoś, co będzie za nią myślał, za nią stanowiął. Poczuła się bezpieczną, nareszcie spokojną.

— Kamo — o tym wszystkim ani słowa. Nikomu! Po co mówiłem? Po trosze czułem potrzebę ulżenia sobie i w tym jest moje przestępstwo, które zaprawdę jest wielkie. A głównie chciałem ciebie podeprzeć w złej godzinie i przygotować do rzeczy dalszych. I tego też chciałem, żebyś mi wierzyła. Mnie polubić nie można, ale — ufaj mi!

— Nie wiem, co znaczy lubić, nie lubić. Uczynię wszystko na wasze jedno słowo.

— Bez przesady, towarzyszek! Powracając do rzeczy praktycznych... — tu głos Leona stał się zwyczajny, suchy, ostry — muszę ci z całą powagą i surowością zwrócić uwagę na jedną rzecz. Szarpałeś się tu ze mną i chciałeś wysiadać. To źle. Ale szarpałeś się ze mną, kiedy trzymałem w ręku bombę. Otóż można wariować, mówić nonsensy i tracić głowę, ale nam nie wolno nigdy w żadnej okoliczności zapominać o tym, że bomba raz tylko upada! Uderzyłem cię i nie przepraszam. Bolało?

— Jeszcze boli. To dobrze. Zaslżyłam.

Kareta stanęła. W drzwiczkach pokazał się furman, zlany deszczem, w lśniącym cylindrze, z wielkimi guzami. Jedną ręką trzymał lejce, a drugą zdjął cylinder.

— Jaśnie państwo zechcą kazać mi gdzieś do diabła raz dojechać, bo jeżeli tak będzie dłużej, to was zawiozę prosto do cyrkułu.

— Ależ to Kamil! — zdziwiła się Kama.

— Ja, do usług jaśnie pani, ale nie jestem żadnym dorożkarzem, tylko skończyłem uniwersytet, więc proszę się choć trochę miarkować. Zmokłem, jak pies, te przekłete konie rwą, że mi już ręce pomdlały.

— Dobrze, dobrze. Jedź prosto na Teodorę! Potem odstawimy konie i pójdziemy na kolację.

— Co, Kamuś, kłapa? Uda się na przyszły raz. Jeszcze sobie pożyjemy. Nie martwcie się, jaśnie pani towarzyszek.

— Dziękuję wam, Kamil. Dobrzy jesteście.

— Za co to?

— No, za wożenie, za czekanie na deszczu...

Dziękowała mu z całej duszy, bo w nim uśmiechnęło się do niej coś żywego, poczciwego, zwyczajnego.

---

Na jednym z rogów ulicy Wólczańskiej w mieście Łodzi jest restauracja braci Jerke. Bracia żyją z tkaczy od Drajera, którzy tam spuszczały swoje krwawo zapracowane pieniądze, bawią się, jedzą, piją, kłócą się i politykują. Trzy brudne salki zapełniają się natychmiast, jak tylko gwizdek fabryczny rozpuści ludzi na fajerant. Knajpa ma obrót tylko wieczorami w dzień powszedni (w niedzielę od rana do nocy). Nikt tam „porządniejszy nie zabłądzi — robotnicy są tu u siebie, znają się wszyscy i zakład ma charakter domu rodzinnego. Obcego poznają tu zaraz i nieradzi widują, choćby to był też brat-weber<sup>13</sup> z sąsiedniej fabryki „Hocht i Wertel”, którą tylko mur dzielił od Drajera.

Czasy były gorące. Nie można było zaufać pierwszemu lepszemu, toteż trudno powiedzieć, żeby obcych Niemile tu widziano, bo właściwie, jeżeli się okazało, że nie znał ich żaden z braci Jerke, ani starszy esdek, ani młodszy pepeesowiec, ani żaden ze stałych gości, radzono im, żeby się wynosili, a jeżeli się opierali, wystawiano ich za drzwi. Tak samo robiono gdzie indziej, bo wszędzie ludzie chcieli być wolni od zarazy szpiclowskiej. Gospodarze nie protestowali, gdyż zbyt zależni byli od stałych klientów i źle na tym nie wychodzili. Były to zresztą czasy, kiedy w mieście Łodzi robotnicy rządzący nie tylko po knajpach, ale i po fabrykach.

Znosiła to długo firma Drajer. Stary Drajer, który sam był kiedyś prostym tkaczem i przez trzydzieści lat trzymał żelazną ręką swoich robotników, który przez sześćdziesiąt lat nie opuszczał Łodzi i przez sześćdziesiąt lat nie nauczył się po polsku, chorował ze wściekłości, patrząc na bezczelne rozpanoszenie się anarchii, która czy to przez usta delegatów PPS, czy SD, stawiała mu niemożliwe żądania, zaprowadzała swoje socjalistyczne porządki, sądziła jego dyrektorów, wymyślała mu, przewracała wszystko do góry nogami — przez całe dwanaście miesięcy owego pierwszego roku rewolucji.

Stary przeżył jakoś strajki polityczne, za które zapłacił całą dniówkę, przeżył szkody i straty, przeżył wiece odbywane w godzinach pracy na jego koszt i w jego własnej fabryce, ale, zobaczywszy raz na własne oczy, jak kilkuset wałkoniów obradowało, rozsiadłszy się

---

<sup>13</sup>weber (z niem. Weber) — tkacz; tu: robotnik z fabryki tekstylnej. [przypis edytorski]



na drogocennych frankach, ułożonych w stosy, dostrzegłszy, że palą papierosy w tak niebezpiecznym miejscu, rozplakał się i dostał ataku sercowego.

Gdy na dobitkę wiecownicy, spostrzegłszy go we drzwiach, zaczęły ryczeć i gwizdać, stary zwał się na ziemię i skonał, zaniósłszy aż na tamten świat uszy pełne tego gwizdania.

Młody Drajer, który po polsku mówił jak Polak, zmienił dyrektorów i majstrów, sterroryzowanych przez robotników, i zaczął kampanię na śmierć i życie. Robotnicy ogłosili strajk. Drajer ogłosił lokaut<sup>14</sup>. Walka trwała już od sześciu tygodni, a bracia Jerke robili kolosalne interesy, szynkując od rana do nocy, przeważnie na kredyt.

Były to jednak czasy, kiedy bracia Jerke — i nie oni jedni, wierzyli jeszcze w zwycięstwo proletariatu i w jego wypłacalność. Wierzyli w to i sami robociarze. Toteż wesoło było w knajpie. Nikt się nie martwił zatargiem, bezrobociem. Kobiety jęczały tam po domach, jak zawsze w takich razach, ale mężczyźni byli pewni wygranej i tego lonu<sup>15</sup>, który im wypłaci Drajer za przeprośnowany czas. Tego domagały się partie, a ponieważ partie były potęgą, a u Drajera i podczas lokautu tym potężniejsze, że działały zgodnie — więc dlaczego nie miało być wesoło? Ludzie odpoczywali, wysypiali się za wszystkie czasy i bawili się, jak umieli, czyli pili! I Niemcy, i Polacy, i ci z „Polskiej Partii”, i ci z SD krzepili się na duchu, odgrązali się i napelniali gwarem ubikacje<sup>16</sup> swojego klubu. Wszystkie stoliki były zajęte, a pośrodku ludzie pili i rozmawiali stojący w zwartej ciżbie. Było dymno, jak w wędzarni, odór piwska buchał zewsząd, a za błyszczącą, cynkową ladą przydowali Fryc i Moryc, nalewając i nalewając i, jak zawsze, nie dolewając.

Dla obcego, który by wszedł i zobaczył koło siebie obu braci, byłoby to dziwowsko niezwykajne. Zdziwiłby się jeszcze bardziej, dowiedziawszy się, że obaj są rodzonymi braćmi. Ale wszyscy tu znali ich od dawna i nikt się niczemu nie dziwił, choć każdy, bywający u nich, umiał na pamięć „zagadkę”, którą ułożył nie wiadomo kto i kiedy:

Jeden łysy, z zyzem w oku  
I z bojowym brzuchem,  
Drugi chudy, krzywy w kroku,  
Ale z wielkim uchem.  
Pierwszy w brzuchu Polskę chowa,  
Drugi — Niemców wślawia,  
Jeden brzuchem, drugi uchem  
Proletariat zbawia.  
Jedna muter ich rodzila  
Po niejednym fątrze,  
Jeden w prawo, drugi w lewo,  
Jak gdyby w teatrze.

Właściwie byli oni obadwaj ludźmi „na lewo”, jak się to mówi w języku partyjnym. Były to dwie pokraki, pełne komizmu. Fryc, pepeesowiec, było to olbrzymie, chorobliwie rozdęte cielsko. W nagiej czasce tkwiły mu wielkie gały, z których jedna patrzyła ku Widzewu, a druga na Bałuty. Moryc — członek SD, chociaż starszy, ze wzrostu wyglądałby na lat dwanaście, gdyby nie poorana zmarszczkami twarz i straszne wąsiska, jak u karalucha. Urodził się krzywy i, kiedy stał, musiał jedną nogę odstawić daleko w bok. Kiedy chodził po ulicy, musiał robić tak samo, i ludzie przewracali się przez niego, klnąc go i wyśmiewając. Toteż Moryc nie wychodził prawie nigdy i był istotną podporą zakładu. Prócz tego miał jeszcze uszy niesłychane, grube, mięsiste, wiszące, jak u psa. Zdawało się, że samo życie postarało się spłodzić coś aż tak brzydkiego, żeby cała Łódź zastanowiła się nad zwyrodnieniem fizycznym, zagrażającym całemu proletariatu — jeżeli tak dłużej będzie trwało...

<sup>14</sup>lokaut (z ang. *lockout*) — zamknięcie fabryki przez właściciela w celu niedopuszczenia do strajku pracowników lub dla ochrony wyposażenia zakładu przed zniszczeniem. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>lon — tu: wypłata nadzwyczajna, rekompensata za czas poświęcony na strajk (*Słownik etymologiczny* A. Brücknera wskazuje pochodzenie wyrazu *lon*, oznaczającego również 'urzędnika', od prasłowa *Lohn*, które stanowi źródłosłów m.in. ang. *loan* 'pożyczka', niem. *Lehn* 'lenno' i *leihen* 'lichwa'). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>ubikacja (z łac.) — tu daw.: pomieszczenie, salka. [przypis edytorski]

Bracia byli to ludzie rozsądni, zapobiegliwi, sprytni. Zaprzeczyłby temu Lombroso<sup>17</sup>, ale doprawdy we środku<sup>18</sup> wszystko u nich było porządne i, jeżeli nie uczciwe, to poczciwe. Żyli ze swojego szynku, a szynk utrzymywał się z proletariatu — byli więc szczerymi przyjaciółmi swoich klientów. Obchodziła ich dola i niedola. Wraz nimi nie-nawidzili starego i młodego Drajera, kapitalizmu, burżuazji i carskich rządów, szanowali partie rewolucyjne — tylko jeden wołał PPS, a drugi SD. Dlaczego? Kto wie, może nawet z przekonania. Byli ludźmi godnymi zaufania i niejedna drażliwa sprawa robociarska przeszła przez ich ręce. Kochali się bardzo, a jeżeli się kłócili, to nigdy o rzeczy drobne, ale o sprawy wyższego porządku.

Choć obadwaj<sup>19</sup> byli Niemcami, jednak Fryc był Polakiem, Moryc był Niemcem. Moryc gardził Polską i uważał Łódź za odwieczne niemieckie miasto, i marzył o przyłączeniu Łodzi i Polski do wielkiego Vaterlandu. Fryc nazywał Niemców „szwabami” i „kartoflarzami”, choć sam nędznie wysławiał się po polsku. Na tym tle powstawały między braćmi ożywione dyskusje publiczne czyli kłótnie, które były ulubioną rozrywką gości. Tematy bywały najrozmaitsze — najczęściej chodziło o jaką sprawę aktualną. Jeden mówił od Polskiej Partii, drugi od SD, a ponieważ obadwaj mieli ostre języki, więc przedstawienia takie bywały nieraz bardziej zajmujące od prawdziwych dyskusji, toczonych przez inteligentów partyjnych, chociaż Fryc i Moryc, jako zwyczajni szynkarze, nigdy nie wymyślali sobie tak grubiańsko i uczenie, jak oficjalni polemści, przemawiający w imieniu partii.

Pewnego wieczora, gdy bracia perorowali za szynkwasem, kłócąc się, do restauracji wpadła z wraskiem jakaś dziewczyna, oznajmiając, że na Wólczańskiej wojsko rewiduje wszystkie knajpy i że za kwadrans czasu dojdzie do rogu. Zakotłowało się wszystko i goście zaczęli się pchać do wyjścia, szybko płacąc, albo i nie płacąc w tym zamieszaniu. Zostało tylko kilku bardziej pijanych, którzy za nic nie chcieli uciekać, uważając to za hańbę. Tych powyrzucał, jak mógł, mały Moryc, wrzeszcząc i wymyślając, po czym posztykował<sup>20</sup> za ladę i stanął spokojnie, oczekując rewizji.

Spojrząwszy jednak na brata, zdumiał się:

— *Gott der gerechte*<sup>21</sup>! Co ci jest, Fryc?

Fryc stał z rękami, wzniesionymi do góry, a pełnego rozpaczy zeza wbił w sufit.

— Czego ty wyprawiasz komedie, głupi wariacie? Nie przestraszaj mnie!

Szarpany przez brata Fryc oprzytomniał i wyznał, szcękając zębami, że tam u niego na górze pod łóżkiem leży „paczka”, zostawiona przez jednego faceta, że po tę paczkę mieli dzisiaj przyjść, ale nie przyszli, że wobec tego knajpę skonfiskują, a ich obu powieszają.

— Co za paczka?

— Nie pytaj się, Moryc...

Młodszy brat stracił zupełnie głowę.

— Mów, co tam jest, ty gruba świnię!...

— Nie irytuj się, Moryc... O, już idą!... — wrzasnął Fryc, usłyszawszy głuchy, ciężki tupot licznych kroków na ulicy, i jak wariat wypadł ze sklepu, a Moryc, klnąc i złorzeczając, wdrapywał się po ciemnych schodach na górkę. Szybko zapalił świecę i szukał. Pod łóżkiem na ziemi między pantoflami Fryca, a niecką z kiszki, przyniesionymi wieczorem przez rzeźnika, stało piękne pudełko z jasnej skóry z długim rzemykiem. Ponieważ pod łóżkiem nie było nic więcej prócz śmieci, Moryc porwał za pudełko, ale, zważywszy jego ciężar, zbladł, a wielkie uszy napłynęły mu krwią i zaczęły go palić. Już przeczuwał coś straszego.

Tymczasem po schodkach już się łomotali żołdaci. Moryc szybko rozgarnął kiszki, wsadził pudełko na samo dno, przykrył i, porwawszy nieckę oburącz, dźwignął ją. W progu spotkał policję.

— Co to, panie Jerke, do wszystkich diabłów — krzyczał rewirowy. — Nikogo w sklepie! Gdzie brat? Gdzie goście? No... no... Co to pan tam masz?

<sup>17</sup> *Cesare Lombroso*, wł. *Ezechia Marco Lombroso* (1835–1909) — włoski psychiatra, antropolog fizyczny i kryminolog, zwolennik antropometrii, w swoich pracach kryminologicznych wymieniał takie cechy fizyczne „urodzonego przestępcy”, jak m.in. nadmierne owłosienie, ciemny odcień skóry, nieprawidłowości w kształcie czaszki, zeza, duże uszy, mięsiste usta czy leworęczność. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *we środku* — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *obadwaj* — dziś popr.: obydwaj. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *posztykować* — dziś: pokuśtykać, tj. pójść niezdarne, utykając. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *Gott der gerechte* (niem.) — sprawiedliwy Boże. [przypis edytorski]

— *Blutwürstchen*<sup>22</sup> — Herr Naczelnik, świeże, jeszcze gorące. Piwka zaraz utoczę. Właśnie nabilem świeży antalek.

— Pilnuj no się pan. Oficer jest na dole. Trzymaj się pan, bo za byle co wali po mordzie.

W restauracji było pełno żołnierzy. Jeden pił wprost z butelki, inny jadł coś żarłocznie, biorąc z lady.

Moryc postawił niekę z kiszkami na stole i badał sytuację. Oficer stał na ulicy i wymyślał komuś ostatnimi słowy. Kogoś tam poniewierali żołdaci. Po lamentującym głosie poznał brata i wyleciał na ulicę.

— Kto ty? Po coś uciekał?

— To jest mój brat, panie pułkowniku, on nie uciekał, on łapał gościa, co nie zapłacił i uciekał. To nie on uciekał, to gość uciekał, a on gonił!

— Wy jego brat?

Przez chwilę oficer przyglądał się bacznie obu postaciom i wreszcie roześmiał się, splunął, jeszcze raz spojrzął i zaklął z ukontentowaniem.

— No... no...

— Powiadajcie zaraz, gdzie bomby? Gdzie rewolwery? Bo wam cały „kabak”<sup>23</sup> przewrócą do góry nogami!

Moryc zaczął błaznować, chcąc jeszcze rozśmieszyć oficera. Wystawiał na pokaz swoją krzywą nogą, przysięgał się na swoje uszy, ale dostrzegłszy przez okno, jak żołdaci wybierają z niecki kiszki, zawrzasnął z zupełnie niepodrabianą rozpaczą.

— Co to?

— Panie naczelniku — moje kiszki! Wszystko mi pozjadają! Jakaż to jest rewizja?

Oficer krzyknął na żołdatów, zabrał ich ze sobą i skończyło się na strachu.

Ponieważ wiadomo było, że już tego dnia nikt się u nich nie pokaże, bracia zamknęli sklep. Nic nie mówił Moryc i milczał Fryc. Ale jak tylko znaleźli się na górze, mały Moryc rzucił się na brata i zaczął go łomotać po tłustych pyskach, podskakując ku niemu za każdym razem. Brat schylił się pokornie, żeby mu ułatwić tę operację i jęczał z cicha.

Do późnej nocy wymyślał Moryc bratu.

Jak śmiał przyjąć do domu choć na jedną minutę taką straszną rzecz? Jak on się ważył narażać na zgubę zakład, który ich fater stworzył swoją siedemdziesięcioletnią pracą? Ot, do czego go doprowadziła PPS. Potem wymyślał mu za to, że jest obrzydliwym tchórzem, który ucieka w największym niebezpieczeństwie i zostawia na pastwę rodzzonego brata. Potem kazał mu zabrać bombę i zanieść, gdzie mu się podoba, bo on takiego świństwa w domu nie zniesie. Potem znowu porwał się na niego z pięściami, kopał go krzywą nogą... Na zakończenie cisnął mu w samo czoło butem, który ściągnął właśnie, układając się do snu, i zaczął mówić pacierz.

— *Vater unser, der Du bist im Himmel...*<sup>24</sup>

Skończywszy modlitwy, odezwał się do brata ciepłym, łagodnym głosem.

— Fryc, co ty nic nie mówisz? Może ciebie co boli? Bardzo cię sprali żołdacy?

Fryc płakał. Zalźawionym, smutnym okiem spojrzął na brata. Drugie oko przez lzy patrzyło na bombę, stojącą na stole i przywiązaną dla bezpieczeństwa za rzemyk do kółka, wbitego w ścianę.

— Fryc, przynieś z dołu dwie butelki piwa, z tych, co dla rewirowego. Napijemy się, Fryc! Fryc, bracie rodzony, ja się już nie gniewam.

Długo w noc rozmawiali bracia, gdyż spać nie mogli po domowych wzruszeniach. Niepokoili ich także bomba, która stała sobie spokojnie i niewinnie, ale wiadomo, co to jest bomba. Kto się może spodzianć, kiedy jej przyjdzie do głowy wybuchnąć?

— Fryc, ty znasz bojowców? Mów, Fryc, co ty wiesz: taka rzecz, czy ona ona lubi zimno? Czy ona lubi ciepło? Czy ona lubi mokro, czy sucho? Gdzie ją podzianć, żeby ona stała spokojnie?

<sup>22</sup>*Blutwürstchen* (z niem. *Blutwurst*: krwawa kiszka) — kiszka, potrawa z krwi wieprzowej z dodatkami (np. podrobami lub kaszą) formowana w kształt kielbasy poprzez upakowanie w jelitach zwierzęcych; kaszanka. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*kabak* (ros. *кабак*) — karczma, spelunka. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Vater unser, der Du bist im Himmel* (niem.: Ojciec nasz, któryś jest w niebie) — początek codziennej modlitwy chrześcijańskiej. [przypis edytorski]

— Ja nic nie wiem, Moryc, ale ja myślę, niech ona stoi tam, gdzie jest. Co ona lubi, to ja nie wiem. Ale ja wiem, że ona nie lubi żadnego ruszania.

— A jak to ja ją niosłem w ciężkiej niecce w tych kiszkach? Jak ja z nią szedłem po ciemnych schodkach? Ja — Moryc Jerke — z moją słabą nogą? Co, Fryc? To jest cud, że ty masz jeszcze brata! Idź, Fryc, przynieś jeszcze dwie butelki porteru, bo ja jeszcze jestem bardzo zdenerwowany.

Przy porterze Moryc roześmiał się wesoło:

— Fryc, bracie rodzony! Nie jest złe, bo i złe... jest czasem dobre — jak się to mówi takie przysłowie?

— Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło.

— Przyda nam się ta bomba! Ja mam plan!

— Co ty wyrabiasz, Moryc? — przestraszył się brat, myśląc, że Moryc, który rzadko pijał, już jest nietrzeźwy. — Ty się połóż i śpij. Nie myśl o tej rzeczy — jutro rano już tego u nas nie będzie.

— Głupiś, Fryc! Ja mam plan!

— Co ty chcesz?

— To moja rzecz.

W godzinę potem Fryc schodził po raz trzeci, ale kiedy był na dole, straszne łomotanie do drzwi wytrąciło mu z ręki świecę. W jednej chwili znalazł się z powrotem i nieprzytomnym okiem spojrzął na brata — drugie patrzyło na bombę.

— Rewizja!

— Może jakie pijaki...

— Od razu łupią na całego... to policja!

— Idź, Fryc, i otwieraj i nic się nie bój. Zapal zaraz gaz, bo żołdacy wszystko rozkradną.

Kiedy Fryc drżącymi rękami odsuwał rygle, bito już we wszystkie okiennice, aż się cały drewniak zatrząsał.

Zaledwie się otworzyły drzwi, cała salka bufetowa zapełniła się ludźmi. Było ich ze dwudziestu drabów. Fryc zauważył brauningi i okute łódzkie lagi, ale nie mógł znaleźć ani jednej znajomej twarzy. Spozrzegł jednak od razu, że to nie bandyci.

— Co to? Co to? — Hola, towarzysze! Na co robić taki hałas...

— Słuchajcie, Jerke, do was mówimy, który wy Jerke, nasz, czy esdecki?

— Ja wasz, tylko nie wolno takiej napaści robić po nocy na porządny zakład. Jak Boga kocham, będę się skarżył przed samym centralnym komitetem łódzkim...

— Żeby ciebie prędzej nie osądzili!

— Mów od razu! Coście zrobili z naszą bombą?...

— Z jaką bombą?...

— Gdzie ona jest?

— Złodziejskie gniazdo!...

— Zbojkotujemy was i pójdziecie na dziady!...

— Za taką rzecz i w łeb się strzela po cichu!...

— Albo się puszcza kluskę przez okno!...

Wśród tego gwaru, z czego Fryc jeszcze nic nie mógł wyrozumieć, widział, jak część towarzyszy rzuciła się po schodkach na górę.

— Ja nic nie wiem, ja nic nie rozumiem. Wyście chyba powariowali. To wam powiem, towarzysze, że tu o godzinie dziewiątej była rewizja i trzęśli cały dom...

— Wiemy o rewizji!...

— Gdzieście wynieśli bombę?...

— Gdzie ona jest teraz?

— Gadasz, czy nie? Złodzieju!

— Najgorszy złodziej z Bałut jeszcze by takiej rzeczy nie ukradł.

— Dawaj tu twojego esdeka!

— Gdzie jest brat?

Brat już schodził z góry okrakiem, a za nim spuszczała się jeden za drugim nieznajomi.

Moryc w jednej chwili opanował sytuację. Stała się cisza, wśród której Moryc wykladał, że choćby tu było i sto pięćdziesiąt bomb, to on o niczym nie wie, dlatego że chyba wariat spowiadałby się z tego nieznanym ludziom, włamującym się po nocy. Co innego, jakby był kto znajomy, albo mający dokument partyjny... A choćby przyszli wszyscy

panowie z centralnego komitetu, to on i tak nie ma nic do powiedzenia, bo o żadnej bombie nie słyszał.

— Słuchajcie, towarzyszu! Wydaliście bombę esdekom. Wasza sprawa, żeby ona tu była przed ranem. Róbcie, co chcecie, na głowie się postawcie. My tu zostaniemy, a wy nie czekajcie na pokazanie dokumentów, bo wam taką pieczęć odbijemy...

— Zachciało się waszej partii bojówki, to niech sobie sama robi bomby...

— Niedaleko zajedziecie na kradzionej broni.

— Jaki z was towarzysz, kiedyście bombę zaprzędali? Tyż pepeesowiec, zaraz widać, że z was faja...

— On niewinny, brat wydał.

— Ale on odpowiada, on brał, partia z niego za to trzy skóry zedrze...

Fryc myślał, że mu się to wszystko śni, ale Moryc od razu domyślił się, o co chodzi.

— Proszę o głos, towarzysze, kwestia formalna! Towarzysze z Polskiej Partii! Znowu, widzę, jakieś ciemne duchy narobiły plotek i zamieszania! Znowu wrogowie proletariatu oszkalowali partię SD! Żadnej prawdy w tym wszystkim nie ma! Nikt z nas nie wydał tego, o co wam idzie. Nikt nawet nie myślał tego zrobić. Towarzysze — bomba jest u nas i będzie wam wydana w porządku. Ale, towarzysze, co to jest porządek? Porządek to jest — niech tu przyjdzie ten sam towarzysz, który ją przyniósł, albo niech przyjdzie człowiek z dokumentem od partii. My was nie znamy. Wy, z przeproszeniem, zabierzecie sobie tę rzecz we dwudziestu, a jutro przyjdzie drugie dwadzieścia, albo i sto dwadzieścia towarzyszy od partii i będą nam urągać i grozić, żeśmy nieznanym wydali taką ważną rzecz...

— To jest prawda, że ona tutaj jest?

— Prawda. Kto z was jeden może ze mną pójść, to wam ją pokażę.

Poszli we dwu na górkę, a tymczasem Fryc już nalewał gościom czystej z kroplami, bo tego zażądali.

— Ale za gotóweczkę, towarzyszu?

— My tu nie przyszli robić u was komuny.

— Nie wzięli u was nikogo?

— Nie. Zawczasuśmy<sup>25</sup> ich ostrzegli. Żaden nie został.

— Trzęśli bardzo?

— Ohohoho...

— Gdzieście schowali bombę?

— Co? Na sobie miałem przez cały czas. Prali mnie, a ja nic. Patrzajcie, jak mi pyski opuchły.

— Łaska boska, że nie rozerwało.

— To nowe bomby z amerykańskim zamkiem. Taka pewna.

— Każda pewna, póki nie upadnie.

— Insza to jest taka pewna, że nią można ciskać po bruku, jak kamieniem, i ani piśnie. Taka ci najpewniejsza.

— Rzuciałem ja taką na demonstracji marcowej zeszłego roku dwa razy z całej siły, to tylko coś śmierdzącego ze siebie wypuściła i nic!...

— Teraz nie te czasy — inna robota!

— Pewność w bombie — to jest, żeby od trącenia rwało. W wacie się ją nosi.

Paru z przybyłych targowało się z Morycem o wydanie pocisku, a reszta popijała, kto wódkę, kto piwo i gadali.

— Na kogo idzie ten interes? — rzucił Fryc.

— Nie wiemy. Na kogo idzie, to idzie, a trafi w sam carat.

— Na Karnakowa? Za długo jemu partia każe żyć. Wszyscy się dziwią, że on jeszcze chodzi...

— To go nie minie.

— Wczoraj trzech powiesili.

— Dwu — bo jeden bandyta.

— Też człowiek.

— To się wie. Z biedy...

<sup>25</sup>zawczasuśmy ich ostrzegli — dziś: zawczasu ich ostrzegliśmy. [przypis edytorski]

— A bieda skąd? — ozwał się basem jeden z przybyłych, chłop gruby, tęgi, o ciężkim wejrzeniu.

— Zza morza przyszła. Też zapytał!

— Gadaj, może wiesz?

— Wiem. Z naszej głupoty.

— Prawda jest — potwierdził gruby. Głupiśmy wszyscy, a nasza partia się nazywa głupią partią socjalistyczną.

— Oho!...

— Za to głupstwo ty głowy nadstawiasz?

— Diabli komu do mojej głowy...

— To po co między nami siedzisz?

— Czekam, aż zmądrzejecie. Ganiają za Karnakowem, celują w Karnakowa, przeklinają Karnakowa, a to jest jedno głupstwo. Powariowali wszyscy w Łodzi z tym Karnakowem. Byle ciołek wykpiwa, pyta: cóż wasza bojówka? Karnakow się wam opłacił? Wiele dał?

— Ojej, chcieliby oni, żeby im kto uprzątnął, a oni do gotowego.

— Szajbler! Silberstein! Gromany. Gajery! Poznański! Heinzel! Szylle! Bielszowski! Krusze-Ender! Kunitzer!<sup>26</sup> Czy to ich brak? Mamy bomby, mamy broń — a oni żyją, tyją i to co zawsze robią? Pozawracali nam głowy inteligenci, delikatne panny, komitety! Strajki, organizacje, bibuła, gadanie, gadanie — a on ścierwo jeden z drugim w pałacu siedzi i kpi z nas! I zawsze będzie bogaty i zawsze będzie naszą krew pił!

— To jest terror ekonomiczny.

— Oj, strachu wam napędzili. Już was powyuczali. Wynaleźli długie słowo i zapchali wam gębę. A co ono znaczy? Nic! Jak świat światem robotnik będzie chciał głowy takiego Gajera i to jest jego prawo.

— Coś ty się wściekł? To my Gajera bronimy?

— My gajerowscy?

— Tak my bronim Gajera, jak ty Karnakowa. Ale my mamy świadomość, a ty nie...

— Świadomość to iść z tą bombą pod Gajera! Jak dziesięć lat temu wysadzili Kunitzera<sup>27</sup>!

— Tym burżuazja nie zniszczysz. Znać, że bibuły nie czytasz.

— Dostyc ja się tego naczytał. Ja czytam to, czego ten masowy człowiek chce, a że on tego chce, to wy sami wiecie. I wy tego chcecie, tylko się boicie inteligentów. Kto tego nie czuje, ten nie robotnik!

— Tego nigdzie towarzysze nie robią na całym świecie. Jakby było dobre, toby robili.

— Robią! — krzyknął gruby.

— Gdzie?

— Robią w Ameryce, gdzie właśnie jest największa wolność. Tam policaja, co broni burżuazji, nie tknie świadomy towarzysz, a do tego milionera strzela... Niejeden zginął taki, co jego lokaj większą pensję bierze, niż szajblerowski dyrektor.

— To prawda. I o tym czytałem, ale to są anarchiści.

— Oj, bardzo ty uczony. Powiedz no jeszcze, jak się tacy ludzie nazywają.

— No, anarchiści...

— To znaczy wilkołaki, z rogami na głowie, na trzech nogach, z ogonami?... To znaczy, nie robotnicy, nie tacy, co jak my, na kapitał pracują? Głupie, głupie wy ludzie, grzeczne, wyuczone... Przyjdzie inteligent wyszczekany na masówkę, nakręci katarynkę i tralala i tralala... A tysiąc robociarzy, którzy wiedzą, czego chcą, tańczą, jak te małpy, i głosują, jak barany! Więc potępia terror ekonomiczny!... Ile razy tak było? Wieczna głupota robociarska!...

Na poczekaniu zawiązała się zażarta dyskusja — jedna z takich, o których nie wiedzą zazwyczaj partie. Tam tajemne marzenia i najgłębsze troski robotnicze, na które nie ma formuły w programach i które lekceważy lub potępia nauka. Tam z okropności życia rodzą

<sup>26</sup> Szajbler! Silberstein! Gromany. Gajery! Poznański! Heinzel! Szylle! Bielszowski! Krusze-Ender! Kunitzer! — nazwiska znanych łódzkich fabrykantów. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> Juliusz Kunitzer (1843–1905) — łódzki przemysłowiec, zastrzelony przez działaczy PPS we wrześniu 1905 r., w odwecie za sprowadzenie wojska rosyjskiego przeciwko strajkującym robotnikom podczas powstania łódzkiego. [przypis edytorski]

się poczwarne prawdy, urabiają się niesłychane herezje, których nigdy nie obali żadne głosowanie ani wysiłki najzdolniejszego agitatora.

W tajemnicy, na dnie duszy robotniczej siedzą one uparcie, plenią się, spadają z ojca na syna, jak stara jego niedola. Te ukochania i nienawiści żyją w jego kole rodzinnym, siadają przy jego głodnym stole, one mu pomagają przy przeklętej robocie i zostają z nim one same jedne, kiedy los go wyrzuci na bruk, kiedy straci robotę, dom, zdrowie i wszelką nadzieję. Zło i dobro? Szkoda i pożytek? Robotnik i kapitał? On a partia? On a rząd? Wszystko to robotnik rozumie logicznie i na każde pytanie bystro odpowie.

Ale prócz tego kocha i nienawidzi po swojemu, osobliwie i byle komu nie odpowie, jak go ktoś o takie rzeczy zapyta.

Mówi się wiele o duszy polskiego chłopca, ale jeszcze tajemniczo się ta sprawa przedstawia.

Każdy uczciwy i rozumny ksiądz powie, że w tej słynnej nabożności chłopca są rzeczy osobliwe, że prawdziwa, istotna religia chłopska nie bardzo chodzi w parze z tym, co stoi w księgach świętych i w księżych kazaniach. Spowiada się grzeszny chłop z rzeczy dobrych, które jego sumienie gryzą, a utai prawdziwy grzech, bo on dla niego nie grzech.

I kto to wie, co się dzieje w duszy robotnika, który wyznaje socjalizm, który za ten socjalizm cierpi i ginie? Gdzie i kiedy wydobywa się na powierzchnię dostrzegalnych zjawisk ten jego istotny, wewnętrzny, prawdziwy socjalizm? Są to drobne objawy, zjawiska domowego życia, są to czasami ogromne, żywiołowe ruchy, wielkie zbrodnie, które się spycha na ciemny, nieświadomiony tłum, i wielkie czyny, którymi się chlubią partie, choć były przez nikogo nieprzewidywaną niespodzianką...

Tak to sobie gadali po nocy robotniczej, spierając się o głowy swoich panów i ciemiężców, którzy spalili o tej porze po swoich pałacach w tym mieście Łodzi.

— Towarzysze z bojówki? — spytał któregoś Fryc.

— My z gajerskiej samoobrony. Po nocy nas ze snu zerwali...

— Skąd poszła taka głupia plotka?

— Diabli tam wiedzą...

— Może kto dla kawału puścił. Są takie bezpartyjne dranie. My się zremy, a dla nich tylko zabawa...

— Jutro się to wyda.

— Kazali bombę przynieść, żeby tam nie wiem co...

— I przyniesiemy, jak drut...

— Jeszcze o tym pogadamy. Lepiej się z nami nie spierajcie, bo przecie widzicie, że wam damy rady!...

— Przecie my was, ludzie, nie znamy!

— Ale my siebie znamy.

Bracia opierali się tylko dla przyzwoitości, bo poznali, że ludzie są partyjni, przy tym obadwaj radzi byli się pozbyć z domu fatalnego depozytu.

Wreszcie Moryc uroczyście zaprowadził na górę dwu towarzyszy, zalecając jak najwięcej ostrożności, i pozwolił zabrać pocisk. Sprawa jednak nie zaraz się skończyła. Moryc, powołując się na lojalne załatwienie sprawy, zażądał „satisfakcji”. To jest:

— Honor za honor. Przechowaliśmy rzecz uczciwie. Przetrzyliśmy „obysk<sup>28</sup>”, bicie, strach i rabunek soldacki. Samych kieszek żejarli przy rewizji za trzy ruble, nie mówiąc o wódce. Za wasze obelgi też kwita. Ale do was, do Gajarów przeniosło się zeszłego roku dwu naszych drajerowskich weberów<sup>29</sup>, którzy są w Polskiej Partii Socjalistycznej i którzy są mi winni razem osiem rubli kopiejek osiemdziesiąt pięć. Obadwaj są śrubownicy: Maciej Kalka i Albin Miler, u mnie w książce uczciwie zapisani. Inny, mający w ręku taką rzecz i będąc pokrzywdzony, trzymałby ją w zastawie i powiedziałby: zapłaćcie i dopiero zabierajcie. Ale my z honorem. Wy macie w ręku wasze, ale zakład jest pokrzywdzony. Wy, jako świadomi towarzysze, musicie dać poręczenie i tych waszych kolegów nakłonić.

Honor, Interes, Robotnik

<sup>28</sup>obysk (z ros. обыск) — przeszukanie, rewizja. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>weber (z niem. Weber) — tkacz; tu: robotnik z fabryki tekstylnej. [przypis edytorski]

Jak to przyobiecacie, to będzie grzecznie. A jak mi tej soboty po fercentagu<sup>30</sup> przynieście moje pieniądze, to ja, choć esdek, pierwszy powiem, że PPS porządna partia. Mój brat Fryc, który jest wasz, może swoją część darować. To jemu wolno. Ale moja połowa w każdym razie mi się należy i tyle sądzę o waszej partii, że takiej hańby w takiej honorowej sprawie nie ścierpi.

Robociarze poręczyli, obiecali i Moryc, znający swój świat łódzki, był pewien, że w sobotę otrzyma przynajmniej swoją połowę.

Już było koło piątej rano, kiedy napastnicy, uczciwie zapłaciwszy i grzecznie się pożegnawszy, poszli sobie, unosząc odzyskaną partyjną własność. Fryc był zachwycony.

— Moryc, żebyś ty naprawdę wstąpił do partii — tobyś był na pewno w centralnym łódzkim Komitecie.

— Partia, jak partia. To jest niepewny interes. Ale, Fryc, bracie rodzony, żeby nie moja gęba, nie moje uszy, żeby nie moja krzywa noga, to bracia Jerke już by dużo znaczyli w tym mieście Łodzi. Teraz mówią „Szajblery”, a mogliby mówić „Bracia Jerke”. Ja bym robił, a ty byś przy mnie korzystał.

— Tak by było, jak mówisz, Moryc — westchnął melancholijnie młodszy brat, patrząc ze współczuciem na pokraczną postać. Sam bowiem uważał się za przystojnego mężczyznę.

---

W jednym z niezliczonych ciemnych okien koszar robotniczych na Widzewie siedziała stara Cywikowa i bezmyślnie patrzyła przed siebie. Tuż przed nią od czteropiętrowego frontu przedzalni biło morze blasku i głucho huczały maszyny. Nocna zmiana. Było już koło północy. Stara siedziała nieruchomie, tak, jak była usiadła przed pięciu godzinami. W izbie było prawie widno od odblasku. Białe, przenikliwe światło elektryczne od strony okna oblewało zgarbioną postać, podkreślało ostrymi cieniami każdą zmarszczkę i rysę na pooranej twarzy. Twarz ta nie żyła i nie myślała. Oczy zdawały się bacznie wpatrywać w jedno z okien przedzalni i czatować na kogoś wśród czarnych ludzi, snujących się po którymś piętrze.

Ale stara nie patrzyła na nic i nie widziała nic, ani ludzi, ani budowli, zagradzającej przed nią cały świat, ani przeraźliwego blasku świateł elektrycznych. Już od dawna zamarzyła w niej i wzrok, i słuch, i wszelkie ludzkie czucie.

Na zmordowany mózg spadł jak gdyby ciężki sen. Ciężko, niezgrabnie, skrzypiąco przewalały się po głowie odłamy jakichś nadzwyczajności, niebywałych nawet we śnie. Przeciągał jej ktoś przez głowę jakby szorstkie powrozy, ciężkimi ciosami młota wbijano klin w coś niezmiernie twardego, tkwiącego w jej głowie. Nie było w tym żadnego bólu. Coś się w głowie wciąż zaczynało i urywało. Zbierało się na płacz, ale łzy nie przychodziły. Coś się takiego stało — nie wiadomo co? Nie było w niej żadnej ciekawości. Wiele różności działało się w niej ustawicznie, ale już nic nie dziwiło.

Nie dziwiło jej i to, że stała się małym dzieckiem, że otoczyły ją płaskie, rozległe pola. Pasię, jak wówczas, Łaciata. Krowa targa ją za postronek i uparcie ciągnie się z przydrożnego rowu ku polu, gdzie w przepysnej, ciemnej zieleni stoi dorodna dworska koniczyna. Dziewczynina szarpie się z bydlęciami, krzyczy, płacze, wali patykiem po gnatach i boi się straszliwie, że lada chwila nadejdzie dworski polowy<sup>31</sup>, straszny Jędrzej, ze swoją sękatą lagą, ze swoim grubym głosem. Już ją raz sprął, już raz jej zajął krowę, a w domu ją zbili trzy razy tyle. To pamięta i truchleje ze strachu. Cała zaprzątnięta krową, nie może ani spojrzeć ani na gościnię, gdzie przechodzą i przejeżdżają ludzie ciekawi jacyś, nietutejsi, nadzwyczajni, co to nie siedzą w miejscu, tylko niewiadki<sup>32</sup> skąd i po co wciąż po świecie ganiają. Tylko bije od nich gęsty kurz, co włazi w oczy i zakrywa wszystko i zasypuje, jak popiołem, twardą łykowatą trawę w rowie. Woła dziewczynina z całej siły: Łaciato! Łaciato, a bodajże ty zdechła! A bodajże ty raz skisła!

Cichym szeptem wybiegają te słowa na usta starowiny. Piecze słońce. W oczach i w gardle pełno kurzu. Już nie ma sił — raz i drugi Łaciata, nie zważając na żadne bicie,

---

<sup>30</sup>fercentag (z niem. *vierzehn*: czternaście, *Tag*: dzień) — tu: wynagrodzenie wypłacane co czternaście dni; dwutygodniówka. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>polowy — tu: stróż pilnujący dworskich pól. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>niewiadki (gw.) — nie wiadomo. [przypis edytorski]



zagarnęła chciwym pyskiem po dworskiej koniczynie. Lada chwila nadejdzie Jędrzej, wy-  
lezie skądś, jak spod ziemi, i stanie nad nią nagle z kijem, z krzykiem, zabierze krowę,  
pogoni do dworu...

Gdzież się ona nieszczęśliwa podzieje? Jej dziecinne, okropne nieszczęście jest tym  
okropniejsze, że w pamięci tkwi ciężar długich, dręczących lat czyjegoś starego życia,  
pełnego nędzy, bólu, poniewierki i straszliwego przepracowania. Już raz były te wszystkie  
nieszczęścia, przeżyły się, zabrały ze sobą wszystkie siły i wszystką krew, i wszystkie łzy.  
A teraz ma się to wszystko jeszcze raz powtórzyć. Taki jest los, taka jest wola boska.

Kara boska, kara boska... Za co, sprawiedliwy Boże, karzesz dziecko nierozumne, za  
co je bijesz tak niemiłosiernie, srogi ojciec? Czemu ludzie wokoło źli, wściekli, nędzni?...  
Taki jest świat, taki już jest ten świat! Nie ma rady, na to żadnej nie ma rady, cierp,  
człowieku, a znoś. Umrzesz — będziesz wypoczywał na wieki pod tą świętą ziemią.

Wali z góry młot, wali raz po raz. Klin wciska się powolutku, rozpycha niezmierną  
jakąś twardziźnię. Trzeszczy, zмага się coś w głowie. Za chwilę rozłupie się na dwie strony  
to główne, najtwardsze nierozumienie i coś przecie człowiek będzie nareszcie wiedział...

Wodziły starą po świecie, po jakichś<sup>33</sup> odmętach czyjś cudze myśli. Ktoś jej naka-  
zuje, ktoś jej wzbrania. Ktoś z niej kpi dobrodusznie, jak bogaty z biednego, ktoś się nad  
nią użala, jak ten anioł z nieba. Dotknie się do jej głowy dobra ręka, powie anioł stróż:  
chodź, duszo, z tej grzesznej ziemi, chodź, duszo, do nieba, na wiekuisty odpoczynek. Ej,  
jeszcze nie. Obstały wkoło diabły, szydzą, klną, pomstują niezgorzej od ludzi. Jeszcze  
ci nie fajerant — jeszcze ci sporo godzin, zgarb się, trzymaj się, a przygarnij się do tej  
maszyny...

Zahuczały, zaklekotały maszyny, kręcą się duże koła, małe koła, latają bez końca rze-  
mienne pasy, ciągną się bez końca cienkie nici, wywłóczą się, skręcają się, omotują duszę,  
jak ten pająk piszczącą muchę. Idzie, idzie bez końca ten dzień roboczy... Nie daje ma-  
szyna spocząć, nie daje odetchnąć. Ani oka spuścić, ani pleców rozprostować, ani ręki  
odjąć od roboty. Ejże, patrz, ejże, pilnuj się!...

I znikło wszystko, co jeno może być. Tylko pełen świat tego huk i klekotania, tylko  
cienka nić dobywa się wciąż z przędzy ogromnej, jak chmura, i szybko mknie, leci, ginie  
gdzieś, a wysilona myśl baczy tylko, żeby nie urwała się nić...

Siedzi stara Cywikowa późno w noc i kiwa się w oknie. Utonęła bezmyślnymi oczami  
w blasku, bijącym od fabryki, a sprawne, jak maszyna, stare, spracowane palce chwytają  
przebiegające nici, regulują bieg maszyny. Resztką człowieczego rozumu spala się w niej  
na tej ostatniej trosce, żeby aby cało wypadła, żeby się nie zerwała ta jej zakłeta nić.

Kiedy odszedł Stasiak? Było to już tak dawno, że nie pamiętała. Może rok temu?  
Może dwa? Powtarza jej coś uporczywie, że to było dziś, wieczorem. Niech i tak będzie.  
Zawsze zostanie ta sama dawność, ta sama przepaść.

Kiedyż to poszedł Stasiak? A jakiż to on, ten Stasiak? Czyż on jest? Cywikowa siedzi  
już tyle godzin i nie pomyślała ani razu o tym. Jakoś nie mogła. Gdzieś się okropnie  
zapodział ten syn rodzony. Najprędzej nie było go nigdy. Co było? Różne rzeczy.

Rozgląda się dzikie wiejskie dziecko po ogromnym mieście. Zamąciło się w głowie  
dziecku, kiedy szło od rogatek za ojcem i za matką. Ostrożnie wyglądało spod ziemi  
z suteryny w podwórzu, gdzie harują miejskie dzieci. W domu głód. Tata szuka roboty  
i co dzień wraca bez niczego, co dzień wraca pijany, choruje matka z tego zmartwienia.  
Naokoło wszyscy obcy, źli, nieużywi, a domy takie ogromne, a miasto takie ogromne,  
a tyle ludzi, aż za dużo. Bała się mała wszystkiego, a najbardziej strasznych, dymiących  
kominów, które sterczały wszędzie, gdzie było spojrzeć, i podpierały niebo. Przerzały ją  
swoim ogromem i tą cudownością, że się nie przewracały, i dymem, i krwawą, czerwoną  
barwą. Kiedy na nie patrzyła, przypominały jej się najstraszniejsze miejsca z bajek o złych  
duchach i to, co o piekle opowiadał ksiądz proboszcz dla zastraszenia grzesznych ludzi  
wiejskich.

Potem służby po ludziach ubogich, ciemniaczach i katach. Złe majstrowe, wiecz-  
nie rozżarte, dzieci paskudne i dokuczliwe. Kulawy szewc, obarczony dzieciakami, człek

<sup>33</sup>jakichś (gw.) — jakichś. [przypis edytorski]

okrutny i pijak. Bała go się, jak ognia. Jak kazał, zrobiła. Ile razy rozkazał — robiła, nie był jednak dla niej przez to lepszy. Bił, jak bijał. A miała wówczas dwanaście lat. Umarła matka, uciekł gdzieś we światy ojciec, została sama, bojąc się wszystkich, słuchając każdego.

Ej, ta nić, ta nić... Wartko idzie maszyna, aż wiatr bije od rozpędzonych kół. Snuje się nić, przewleka się przez czółenka, nawija się na szpule, narasta, grubiejną wałki raz wraz, raz wraz, nie nastarczysz, człowieku, choćbyś się rozerwał we dwoje. Nie wyczerpie się nigdy tajemnicza przędza, a wyczerpie się siła ludzka. Kiedyż zawyje gwizdek, kiedyż oczy udręczone będzie można oderwać od warsztatu? Troi się w oczach, opada głowa, mdleją palce. Chwytaj nić! Pilnuj się! Staraj się! Trzymaj się! Pan majster patrzy.

Patrzy na nią pan majster. Popatrzył jeszcze i kiwnął. Poszła. Któż się kiedy oparł majstrowi? Był to gruby, mocny Niemiec. Zazdrościły jej inne, a ona się tylko bała, jak zawsze.

Puszcza starowina ręce, chwyta palcami, poprawia, reguluje, przykręca, pogląda bystro tam, gdzie biegnie cienka nić, uważa, byleby nie zerwać, byleby nie zepsuć. Czepiła się czegoś i jeszcze się czegoś trzyma w obłąkaniu. Trzyma się za tę cienką nić. Może się jej urwie lada chwila i stara zamrze na miejscu przy tej swojej robocie. Może utrzyma w sprawności swój warsztat i będzie tak przędła jeszcze przez długie lata, w szpitalu fabrycznym, w przytułku dla obłąkanych, w areszcie miejskim i wszędzie, gdzie nią los rzuci, właśnie jak przystało czynić obłąkanemu człowiekowi w tym bawełnianym królestwie, w tym mieście Łodzi.

Tysiąc postaci i tysiąc znaczeń ma stare ludzkie słowo — szczęście. Szczęśliwy, kto bodaj na moment uchwycił dla siebie choćby jeden jaki pozór — bodaj jaki mały, śmieszny promyczek z tego dalekiego słońca. Miała swoją godzinę szczęścia i stara Cywikowa. Jakże uprzykrzyła się Panu Bogu swoimi podziękowaniami — bardziej niż błaganiami o litość i zmiłowanie przez całe długie, niemiłosierne życie. Ta jej wdzięczność nie miała granic i pomiarkowania. Przyszła bowiem radość na samym schyłku żywota, przekłętogo od urodzenia. Po piekielnych, nieprzerwanych udręczeniach, po żelaznych próbach, przyszedł już w starości czas łaskawy i nie do wiary łaskawy. Doświadcza i próbuje człowieka Pan Bóg w niedocieczonej swojej dobroci i nagradza hojnie ponad wszelkie ludzkie spodziewanie.

Trudno się przyzwyczaić do dobrego. Jak kogo życie pierze od dziecka i nie daje ani chwili wytchnienia, skuli się w człowieku, zeschnie i odpadnie na zawsze wszelka nadzieja i wszelkie pojęcie o tym, że może być kiedyś inaczej. Jak kto patrzy wkoło siebie przez długie lata i nie dojrzy nic prócz nędzy i krzywdy, temu ciężko na starość wezwyczaić się do szczęścia, które przyleci nagle i odmieni wszystko od razu.

Ale zanim nadeszło to szczęście...

Jeszcze nie spłacili długu, zaciągniętego na wesele, kiedy Cywik położył się i pół roku przeleżał na piersi. Ona chodziła do roboty, póki mogła — urodziła to pierwsze dziecko u obcych, gdzie mieszkała kątem. Tu już się czepiła na dobre nędza. Jak ten wściekły pies, chwyciła się zębami i trzymała, i targała, i kawałami darła w zacieczeniu. Cywik wstawał ze słabości, chodził do roboty parę miesięcy, kładł się znowu, było mu gorzej, lepiej, umierał, ożywał. Drugie dziecko, trzecie, czwarte... Nareszcie umarł na dobre. Została wdową z czworgiem w tym mieście Łodzi. Jak żyła? Jak sobie radziła? Któż zdoła wiedzieć.

Jest to jedna z wielkich tajemnic życia, przed którymi się staje w bezradności. Podziw, zgroza i na tym koniec. Można ubolewać, pomstować, załamywać ręce, zaciskać pięści. Można podziwiać siły żywotne rasy proletariackiej — niepodobna wynaleźć, skąd ona te siły bierze. Można pogardzać tłumem, który znosi to wszystko i nie morduje bogatych, nie puszcza z dymem całej kultury. Wszystko można, tylko zrozumieć tych rzeczy nie można. Tą tajemnicą stoi świat.

Ona, jak kamień węgielny, jest wmurowana w fundamenty gmachów fabrycznych, banków, pałaców, kościołów. Na niej to wznosi się potęga państw, szczęście rodzinne, cnoty kulturalne i wszelki postęp, i wszelkie piękno. Jest twarda, jak skała. Nie ugryzie

Proroctwo, Sprawiedliwość,  
Bieda

jej żadna metoda, chodzi koło niej strapiiony filozof-społecznik, zaduma się i zacznie kwilić poeta. Oprzędły ją wokoło marzenia utopistów, religie otoczyły twardą skorupą dogmatu, oblepiły ją niezliczone warstwy zadrukowanego papieru — ale gdzieś tam, na dnie dusz czy w głębi ziemi istnieje jej nagie, jak prawda, okropne i niepojęte jądro.

Gdzieś tam w jutrzejszym dniu, czy w następnym stuleciu kryje się moment, kiedy wynurzy się ono z za widnokregu wszelkich spraw ludzkich, podniesie się i zawiśnie nad ziemią, jaśniejsze od słońca, i zaznaczy — drugi dzień stworzenia.

Padną sobie w objęcia tłumy narodów, niepojęte braterstwo odmieni postać świata i legnie wilk koło jagnięcia. Stanie świat w ogniu zniszczenia, czerwone od krwi będą płynęły rzeki i zabarwią się purpurą niezmierzone i niezgłębione morza.

Co kto woli.

Ta tajemnicza potęga kazała Cywikowej żyć, pracować, dbać o dzieci; ona pilnowała, żeby nie spoczęła ani na chwale w ciągu dnia i nie dosypiała nocy; dbała o to, żeby nigdy nie spoczęła jej głowa, i żeby nawet jej sny były pełne nieszczęścia. Ona dała jej genialne zdolności w wygrzebywaniu ze śmietników zarobku resztek i ochłapów, na które łakomi są tylko ci, co umierają z głodu. Ona wmówiła w nią, że głód jest rzeczą naturalną, że łachmany są odzieżą, że w zimie powinno się kostnieć od zimna, a latem dusić z gorąca na poddaszach pod blachą, że każdy ma ją prawo wyzyskać, skrzywdzić, obrazić, że — i tak dalej, i tak dalej... Ona wreszcie lepiej od księdza i od policjanta przestrzegala, żeby Cywikowa zachowała w tych okolicznościach uczciwość — nie wyciągała ręki po cudze, nie zazdrościła zbyt widocznie i nie skarżyła się za głośno.

Tak dokonał się cud, że wyżyła. Dzieci były wiecznie głodne, wiecznie chore. Zielone na twarzy, całe w krostach, na krzywych nogach, z naiwnym zapytaniem w zaropiałych oczach: — a i po cóż to wszystko? Dzieci żyły, póki mogły. Umierały po kolei co rok, co dwa, oplakiwała je matka i zapożyczała się na pogrzeby. Został tylko Stasiak, chorowity i niemrawy, jak reszta rodzeństwa. Do piętnastu lat był mały i mało mówił. Oddała go matka do fabryki na naukę przez jakąś protekcję, uczył się pilnie i nic nie zarabiał przez trzy lata, a jeść potrzebował, bo pracował. Stara już nie miała zdrowia, już gonila resztkami, a żyła z tego nadprzyrodzonego źródła siły, co to już czerpie z niczego i jest zaprzeczeniem fizjologii, nauki o energii i wielu jeszcze innych prawd ustalonych. Powinna była bowiem dawno już umrzeć z wyczerpania sił, a przedtem zwariować z wyczerpania cierpliwości. Higienista ma prawo z całą surowością zapytać się: jak ośmielasz się żyć wbrew nauce? Psychiatra nazwałby sprawność jej umysłu obłędem takim lub owakim, a specjalista od wymierzania dopływów i rozchodów energii, zliczywszy z jednej strony potworne prace takiej osoby, a z drugiej ilość kartofli, czarnego chleba, łez, poniżeń i krzywd, które były jej pokarmem — orzekłby, że Cywikowa jest naukowym absurdem i że Cywikowa całkiem nie istnieje.

Tak tedy pozostaną na długo jeszcze niewyjaśnione pierwiastki, składające się na pewne zjawiska, czy nędze społeczne, które...

Mniejsza jednak o to, albowiem nie wykładamy tu arkanów mistyki życia społecznego.

Była to puszka z lanego żelaza w futerał z żółtej skóry.

Cywikowa, wtajemniczona przez syna, przechowywała ją u swojej starej przyjaciółki, która, dzięki moźnej protekcji, siedziała już od dziesięciu lat na dożywocie w przytułku dla kalek z fundacji jakiejś firmy łódzkiej. Tam było bezpiecznie. Któż mógł podejrzewać o podobne rzeczy starych dziadów i schorowane babska z przytułku, lub też siostry miłosierdzia, które tam rządziły. Babina trzymała pocisk zwyczajnie w głowach łóżka pod siennikiem. Trudno to wyjaśnić, dlaczego zgodziła się ona przyjąć rzecz tak niebezpieczną. Dość, że wzięła i była z tego dumną. Tak dumną, że musiała pochwalić się tym przed sąsiadkami z lewej i z prawej strony. Nowina, szeptana po nocach, szła od baby do baby, przedostała się na oddział męski, a raczej dziadowski. Wiedziała o niej służba, kucharki — wszyscy. Ale tajemnica pozostała tajemnicą i nie wyszła poza obręb przytułku. Nie było tam uświadomionych rewolucjonistów, jeno bezzębne, zidiociałe dziadygi i rozsypujące się baby, ale za owych czasów pyłki rewolucji unosiły się w powietrzu i trafiały za

Cud, Nauka, Bieda

wiatrem tam, gdzie ich nie posiał, zarażając ludzi najnieposzlakowańszych. Epidemia ta trwała zresztą niedługo.

Cywikowa nie była socjalistką. Zbyt ją sterały nędze życia, żeby mogła uwierzyć, że biedę i krzywdę można usunąć kiedyś z tego świata. Socjalizm, który Stasiak zaczął co dzień po trosze przynosić z fabryki do domu, martwił ją tylko, bo za to brali do więzienia. Ale synowi w niczym nie przeszkadzała, a jak było trzeba, to i pomagała. Dopiero podczas rewolucji, kiedy po jakimś strajku Stasiak dostał dużą podwyżkę, kiedy cały lud Łódzki zaczął podnosić głowę i poznawać własną siłę, rzeczywiście uwierzyła synowi.

Ale tęskniła do swoich trzech lat prawdziwego szczęścia.

To szczęście zaczęło się pewnej soboty, kiedy Stasiak przyniósł do domu pierwsze swoje zarobione pieniądze. Stara rozplakała się. Całego rubla zaniósła na mszę, której wysłuchała z intencją, popłakując z radości i w szeptanych bez przerwy pacierzach wypowiadając Bogu swoje nieprzebrane dziękczynienie. Błagała o przebaczenie za wszystkie grzechy żywota, za swoje skargi i skamłania, za dumę, za pragnienie dóbr doczesnych, za zazdrość wobec ludzi sytych i za wszystko, co jej wyrzucali spowiednicy.

Stara wypoczywała — po raz pierwszy w życiu. Nie umiała tego robić i męczyło ją to, zdumiewało, a chwilami zdejmowało przerażeniem. Stasiak nie pozwolił jej szukać zarobku, więc zajęć nie miała żadnych, prócz tego, że uwarzyła strawę, obszyła Staśka i uprzętała<sup>34</sup> izbę. Nade wszystko brakowało jej kłopotów. Ciężyła jej niezmiernie wolna głowa. Wszystko miała gotowe, a pojąć tego nie mogła żadną miarą. Mogła siedzieć z założonymi rękami przez długie godziny w ciągu dnia, wysypiała się w nocy. Mogła sobie przesiadywać w kościele do woli, chodzić po kumoszkach i patrzeć na cudzą biedę. Sumienie wyrzucało jej ten dostatek i straszło jakąś karą boską. Przeczucie wróżyło rychły koniec tego dobrego, musiało przyjść jakieś nieszczęście, choroba... Za dobrze, oj, za dobrze! — wyrzekała.

Wreszcie — do wszystkiego się można przyzwyczaić. Czas płynął. Stara oglądała się już za synową, ale żadna nie była dobra dla Staśka, a sam Stasiak nie bardzo się śpieszył do sakramentu — miał bowiem co innego do roboty. Długo stara nie bardzo rozumiała, w co się Stasiak wdaje, aż któregoś dnia zabrali kilku kolegów syna. Zajrzało jej w oczy jakby dawniejsze życie?

— Co ty, Stasiak, wyrabiasz?

— To, co trzeba. Matka na to głowy nie ma, ja sam wiem.

— Wezmą cię, zamęczą, zakatują, wyprawią na Sybir...

— Matka socjalizmu nie robiła, a katowało matkę gorzej, niż w Sybirze, w tym mieście Łodzi.

— Na co wy się, głupie, porywacie?

— Na wszystko! Albo nas niech diabli biorą, albo kapitalizm! Udry na udry — tak jest teraz na całym świecie i dobrze jest!

Próbowała stara wzruszyć syna.

— I cóż się ze mną stanie? Ja już robić nie mogę. Stara jestem, zmarnowana...

— Na to idzie, żeby nikt nie był bez pomocy na starość. Na to idzie i tak będzie, a do tego czasu wszyscy cierpimy, niech i matka ścierpi. W tym mojej winy nie ma. Taki jest świat. Moją winą by było, jakbym nic nie robił, tylko dbał o siebie albo o matkę. Jakby każdy robotnik był taki dobry syn, toby się świat nigdy z miejsca nie ruszył. To trza rozumieć...

— Oj, dziecko, dziecko...

Przyszła wojna, a za nią rewolucja. Wielkie strajki, krwawe demonstracje. Podniosło się od samego dna, z namułu nędz i krzywd tajemne tworzywo, ożyły ciemne głębie i zaczęły wyrzucać na powierzchnię życia nadspodziewane wypadki, dziwne zdarzenia, wielkie czyny i wielkie zbrodnie.

<sup>34</sup>uprzętała — dziś popr. forma 3 os. lp. cz.przesz. r.ż.: uprzętnęła. [przypis edytorski]

Szczęście

Rewolucja

Dzień po dniu przynosił coraz to nowe nadzwyczajności, coraz to przedziwniej odmieniała się postać życia zbiorowego i postać duszy ludzkiej. Dziwił się sam w sobie robotnik, dziwił mu się wróg i dziwiły się partie, które niby kierowały tym wszystkim. W biały dzień na jawie zdarzały się wypadki niepodobne do wiary. Nazajutrz godził się z nimi świat, przetrawiał je, zapominał o nich i szedł dalej. Wydawało się wszystko możliwym i wszystko potrzebnym. Wniebogłosy lamentował stary świat, bali się ci, co byli mocni, ośmielili się ci, co nigdy nic nie śmieli. Poszło wszystko na wywrót, ginął ład, porządek, podeptane były prawo, obyczaj, powaga. Jedni mówili, że to koniec świata, inni, że dopiero początek. Nikt nic nie rozumiał, każdy czekał jutra. Nie wiedzieli co pisać publicyści, nie wiedzieli do czego się gotować wodzowie narodu.

Było dobrze, bo rząd tracił powagę i siłę, było źle — bo zbyt podnosiła głowę hołota. Było dobrze, bo musi się stać jakaś odmiana, było źle — bo ta odmiana mogła pójść za daleko. Dobre były demonstracje robotnicze, dobre były odezwy przeciw rządowe, dobre były zamachy — złe były strajki, drożyzna, upadek przemysłu i handlu.

Dobrze robili socjaliści, szarpiąc rząd, złe było, że rząd nie wzywa czynników miarodajnych do uspokojenia kraju. Dobrze było, że był niepokój — złe było, że nie ma spokoju.

Serca i umysły spodziewały się dobrego, oczy widziało samo zło. Tedy co było najlepszego wyjeżdżało z kraju czekać, co z tego wyniknie. — Rządcy dusz, piastuny przeszłości i władcy przyszłości wyemigrowali w wielu wagonach sypialnych.

Została w kraju anarchia, wodząca się za łby z najezdniczym rządem, a z różnych punktów dalekiej zagranicy szły ku ojczyźnie baczące spojrzenia, rychłol<sup>35</sup> Petersburg zacnie błagać o ratunek? W tajemnicy dzielono się już dostojeństwami i pracą nad odrodzeniem ojczyzny.

Rewolucja

A w mieście Łodzi zwyciężano Szajblerów i carat, rujnowano kapitał i carat, głodzono siebie i carat, gromiono lupanary i carat, rabowano monopole i carat. Raz po raz, jak niesforne dzieci, wypadały tłumy robotnicze na ulicę, wyzywając carat, i po salwach zostawały na bruku trupy — trupy — trupy. Ale nikt się nie bał śmierci, rozjadł się proletariusz i szedł na było — nie było. Szli wszyscy, szedł i Stasiak, ale nie broniła mu już matka niczego. Utonęła i ona we wzburzonym morzu, fale porwały ją, jak znikomą kropelkę, i poniosły, jak niosły wszystko. Nie bała się już, nie myślała, myślał za nią ten jakiś wicher, ten sam, który niósł owe sny na jawie obudzonego ludu.

Stasiak chodził na demonstracje, ale wracał. Strajkował, wywoził na taczkach majstrów, buntował kolegów, ale nie wyrzucali go za to z fabryki. Dostał od partii rewolwer, który stara przechowywała w jakiejś skrytce. Pewnej niedzieli, zobaczywszy kupę ludzi, zgromadzonych na podwórzu, wyszła zobaczyć; co się stało. Wszyscy słuchali jakiegoś mówcy, który coś krzyczał z wysokości. Kiedy poznała syna, duma matczyna po raz pierwszy uderzyła ją mocno w samo serce. To Stasiak, jej syn, przemawia tak uczenie i wzruszająco, a taki wielki tłum ludzi słucha go z uwagą. Jej własny, rodzony syn, którego cudem i trudem całego życia wyżywiła i wychowała. W owej chwili zrozumiała stara wiele, choć jeszcze nie wszystko, i nie miał odtąd Stasiak lepszej pomocnicy nad matkę w tych swoich sprawach.

Co chciał, to z nią ten Stasiak wyrabiał. Słuchała go, jak gdyby mu była nie matką, jeno partyjną „pomagierką”, jak swojego czasu nazywano takie popychadła. A kiedy się zbuntowała, już było właśnie za późno... Było to pewnego zwyczajnego dnia...

Tego dnia po obiedzie kazał jej Stasiak przynieść do domu „to, co wie”. Poszła, uwinęła się wnet i wróciła.

— Cóż ty się, dziecko, w nowe ubranie odziałaś?

<sup>35</sup>rychloli (daw. a. gw.) — czy prędko. [przypis edytorski]

— Idę w takie miejsce, gdzie trza wyglądać po ludzku.  
— A prędko wrócisz? Daj lepiej mnie — ja za sobą przez ulicę poniosę, a w tym domu dopiero w bramie ci oddam. Mnie, starej, nie zaczepią.

— Nie można, matko. To zabronione. Miejsca nikomu pokazywać nie wolno...

— Pilnuj że się, dziecko, a oglądaj się! Niech cię Bóg strzeże i Matka Najświętsza... Łatwo się wsypać na ulicy, oj łatwo. Prędko wrócisz?...

Stasiek odpowiedział, że prędko, ale stara dostrzegła w jego twarzy coś takiego, że zmartwiała, skamieniała i lzy jej popłynęły ciureczkiem. Słowa nie powiedziała, tylko patrzyła w syna przez lzy.

— Stasiek...

Stasiek chciał się rozzłościć. Już się namarszczył i miał głos podnieść. Chciał matce nawymyślać, a potem coś zełgać i odczepić się od starej, byle prędzej. Ale na to zabrakło mu odwagi, więc wziął, pocałował matkę w rękę, schyliwszy nisko głowę, i, trzymając ją mocno za tę spracowaną rękę, bełkotał byle co.

— To nic. Co się matce przywidziało. Wrócę wnet... Na pewno wrócę! Słyszane rzeczy, takie hece robić o głupstwo? Jak nie wrócę, to też się świat nie zawali. Bo to raz mnie mogli zabrać? Co się dziś matce stało?

I tak dalej.

Stara przygarnęła się do syna mocno, ze wszystkich sił i nie puszczała. Wydzierał się Stasiek, jak mógł, ale nie poradził.

— I cóż, będziem tak stali do samego wieczora! Niechże matka ma rozum! Muszę iść — ludzie tam na mnie czekają!

— Śmierć tam na ciebie czeka. Oj, już ja ciebie nie obaczę!

— Każdego dnia na mnie śmierć czekała i żyję. Łatwo teraz o śmierć w mieście Łodzi, a żyję. I dziś będę żył. Też komedie...

Stara uklękła przed synem i, nie puszczać go z objęć, zaniosła się od płaczu. Trzęsło nią, aż się chłopak chwiał na nogach.

— Dajże, matka, spokój, do wszystkich diabłów! Wyrócisz mnie i jeszcze nas oboje rozerwie. Dajcie mi wyjąć tę sztukę, postawię ją na stole i pogadamy, ale ino najdlużej pięć minut. Jak te pięć minut przejdzie, to się wezmę, wyrwę i pójdę, żeby tam miał po matce nawet podeptać. Tu żadnych żartów nie ma!

Uwolnił się od matki, wydobyl puszkę z futerału, który miał zawieszony na rzemyku pod paltem, i postawił ją na stole.

— Teraz gadajmy, byle prędzej. Czego matka ode mnie chce?

Stara spojrziała na syna takim wzrokiem, że Staśka odpadła cała srogość. Toteż dla opanowania się nasrożył się jeszcze bardziej. Zaczął na starą krzyczeć, co się między nimi prawie nie zdarzało.

— Też skaranie boskie! To matka tego nie rozumie, co to jest rewolucja? Czemu to ja nie mam pójść? Czemu to za mnie ma iść kto inszy? Niech matka sama pomyśli, jakie to głupstwo! Cóż to ja poświęcany? Trzeba wszystko brać na rozum!

Cywikowa siedziała skulona na ziemi i lkała, wtuliwszy twarz w dłonie. Stasiek gadał wciąż z całą surowością. Nagle stara zerwała się na równe nogi i zaczęła mówić szybko, szybko, głosem urażonym i jak gdyby z szyderstwem:

— Całe życie harowałam... Jak w tej smole piekielnej, w nędzy byłam unurzana od małego bachora. W brudzie, w pohańbieniu... Ty dziecko wyrodne, niegodne! Moją krwią cię wykarmiłam! Insze mądre ciskały dzieci i szły na świat na letkie życie — a ja głupia byłam. Głupiam była! Stasiek! Stasiek! I tybys tak od starej matki poszedł bez jednego słowa? Na tą śmierć! Tegom doczekała, żeby mnie rodzone dziecko oszukało w godziną śmierci? I tybys tak sobie poszedł, jak ta świnia? Starej matce głową byś nie kiwnął? Idź! Idź zdrów!

Ty nie mój syn. Mój syn był inny. Ciebie mi nie potrzeba.

— Matka nic nie rozumie! Same głupstwa gadacie. Jakbym wszystko zawczasu powiedział, toby się nic nie udało. U nas tak nie wolno. Coż to matka mi wymyśla w ostatniej chwili? Cóż to ja był zły syn? Jeszcze matka pożałuje...

— Oj, pożałuję ją, dziecko, pożałuję, ale kto mnie starej pożałuje? Oj, Stasiek! O, rany boskie Chrystusowe... Rozerwie cię na kawałeczki, rozsadzi cię na proch, nawet grobu

nie będziesz miał na tej ziemi...

— Z daleka się ciska, może mi nie być nic, mogę ja być tylko dla ochrony, całkiem z daleka, tam, gdzie mają nasi uciekać już po wszystkim...

— Ej, nie lżyj, oj, dziecko moje, nie kpij sobie ze starej matki. Po oczach twoich widzę, co myślisz. Nie wrócisz ty, nie... A co będzie ze mną?

— Partia o matce nie zapomni... Co ma być, to będzie. Może wrócę, może nie wrócę. Żegnaj, matka. No! Co tu wiele gadać?... Co tam! Tylu już wyginęło, to czemuż bym i ja nie miał?... A może wrócę. Co tam...

Ścisnął matkę, a ona jego z całej siły.

— Dobrze, synku, dobrze, Stasiu! Jednego ja ci, głupia, nie powiedziała, co trza było rzec od razu: dawaj to mnie i tylko mnie na samo miejsce doprowadź, pokaż tylko palcem i zaraz uciekaj, a ja zaraz cisnę, w kogo będzie trzeba. Ja potrafię! Na mnie starą żaden szpicel nie spojrz! Starych trza na taką robotę wyprawiać. Niech starzy ciskają, a młodych przecie szkoda! Dla tej partii ich szkoda! Dobrze mówię, każdy mi przyzna! Co, Stasiu?

Tu zrobiło się starej słabo, zaszumiało jej w uszach i zwisła na ręku u syna. Stasiu zadzwigał ją na łóżko, pocałował ją w rękę, spojrzal na nią i zabrał ze stołu puszkę. Na progu jeszcze przystanął, popatrzał i poszedł.

Na dole zastukał do stacji jednej znajomej, wsadził głowę we drzwi i powiedział:

— Niech no by pani wpadła na ten moment do matki. Coś ją zemgliło. Ja mam strasznie pilny interes partyjny, ani chwili czekać nie mogę. Moja dobra pani Krauzowa!... Aby chwileczkę posiedzieć, póki jej nie minie.

Kiedy widział, że kobiecina poleciała na górę po schodach, zabrał się i poszedł na miasto.

We trzy godziny później przyszła wiadomość, że Staśka wzięli w jednym domu na Piotrkowskiej, że dwóch szpiclów przytym postrzelił, że aresztowali dużo ludzi, szukając jakoby jakiegoś „składu bomb”. Tego ludzie nie wiedzieli, czyli co znaleźli, ale jedni gadali, że miał być zamach na gubernatora wojennego, inni, że na „samego” Poznańskiego, że Stasiu pójdzie pod sąd polowy itd.

Wszyscy w kamienicy żalowali matki, ale nawet najbliższa znajoma, pani Krauzowa, wzbraniała się pójść do starej z tą nowiną.

— Niech ta tę jedną noc jeszcze spokojnie prześpi. Chora jest. Spać ją ułożyłam. Będzie miała czas rano się dowiedzieć. Do czego ma się spieszyć? Oj, Boże miłosierny, cóż to się wyrabia w tym mieście Łodzi?...

Długo czekała Cywikowa na powrót syna. Aż zmęczyła się w niej dusza i zapadła w sen głęboki. Już nie zbudzi skołatanej, obłąkanej duszy ani straszna wiadomość, ani nawet, gdyby się czyniły cuda, powrót niedobrego syna.

---

Wolno, z trudem, z sapaniem włókł się pociąg osobowo-towarowy przez całą noc. Dążył od stacji do stacji z wysiłkiem, a czyniło to wrażenie, jak gdyby stał na miejscu lub miał ustać lada chwila. Wierzyło się, że porusza go maszyna parowa, ale zdawało się, że jest zaprzężony w woły. Docierał nareszcie do stacyjki, zanurzonej w ciemnościach, i rozpoczął rozpaczliwą stójkę. Przesuwano wagony, odczepiano, przyczepiano, wożono nieszczęsnych pasażerów w tył i naprzód, wekslowano, stukano, potrząsano, zgrzytano, sapano, dzwoniło, gwizdano. Nareszcie ruszało wszystko w ciemną noc, wolnusięńko, noga za nogą, do nowego przystanku.

Towarzysz Marek nie mógł spać i wił się z nudów. Wyglądał przez okno i liczył gwiazdy, palił papierosa za papierosem, przewracał się po twardej ławce, rozmawiał o niczym z dwoma Żydami, siedzącymi w przedziale, usiłował spać i ludził się, że zasypia i wiedział, że nigdy nie zaśnie. Nie miał czym zapchać tego ogromu czasu, nie miał o czym myśleć. Był przemęczony.

Przed niedawnym czasem wy dostał się trafem, a raczej wy dostano go cudem z więzienia, gdzie spokojnie od długich miesięcy czekał sobie na śmierć. Było to przed kilku tygodniami, a dotąd jeszcze nie mógł się pogodzić z tym nowym swoim życiem.

Powinien był się cieszyć, jak gdyby się po raz drugi urodził. Toteż cieszył się, ale on sam tylko wiedział, jak wyglądała ta jego radość. Był wdzięczny przyjaciółom, którzy go wydobyli — ale i ta wdzięczność w istocie swojej zakrawała na coś w rodzaju nienawiści.

Śmierć

Wydawało mu się, że go ktoś skrzywdził, że ktoś bardzo zacny, najlepszy i tak dalej wdarł się brutalnie do jego spraw najtajniejszych i stanął ze swoimi dobrymi chęciami między nim a czymś najważniejszym, niewysłowionym, co odsłoniło już przed nim część swego straszliwego oblicza. Popsuto mu wszystko i na zawsze. Było mu źle.

Gdyby teraz otworzono przed nim jego celę i powiedziano mu: wracaj — niech będzie, jak było, niech będzie, co miało być — cofnąłby się ze wstrętem. A gdy się odwrócił ku wolności, ku życiu, nie wiedział, co z tym począć. Ani tu, ani tam. Stał, jak gdyby na progu.

Już w kilka dni po uwolnieniu urwała się pierwsza, wmówiona radość, a zaczęły się napady myśli absolutnie niezrozumiałych. To się jeszcze nazywało — zdenerwowaniem. Dawali mu proszki, kazali mu jechać za granicę na odpoczynek i dla bezpieczeństwa. Proszki brał, ale za nic nie chciał wyjechać. Powoli spostrzegął, że z więzienia zabral z sobą pewien ustalony tok myślenia, pewien nałóg duchowy, który w życiu zatruwał mu wszystko, choć tam w zamknięciu i w oczekiwaniu wiadomego rozwiązania był zupełnie na swoim miejscu.

Wstydział się swoich utrapień i trzymał je w głębokiej tajemnicy. Nie rozumiał sam siebie. Nie wiedział wyraźnie, o co mu chodzi. Chciał żyć, a nie mógł. Do czegoś tęsknił. Na coś czekał, a nie widział tego nigdzie na świecie. Odmieniła mu się i cała rzeczywistość. Dziwiły go najzwyklejsze zjawiska. We wszystkim ziewała jakaś nuda. Wszystko zrobiło się małe, niepotrzebne. Nie mógł niczego wyraźnie chcieć, ani w sprawach osobistych, ani w innych. Miał kobietę, którą kochał bardzo, kochał ją i w więzieniu i myślał zawsze o niej z upojeniem. Niewiasta ta była obecnie daleko w świecie, ale wiedział od niej, że lada chwila przyjedzie do niego. Na to czekał, jak skazaniec. — Kochanka była nadal i ładna, i miła, i gorąco go kochająca, tylko w nim przekreśliło się wszystko na opak. Jakże tu żyć? Na to trzeba czasu, czas to sprawi — powtarzał sobie ustawicznie i chciał w to wierzyć.

Nie mogąc dać już sobie rady, przestał odpoczywać, a wziął się do swojej dawnej roboty. Dziwnie jakoś przeobraziła się w jego pojęciu i ta znajoma, kochana robota. I ona, jak wszystko! Ale myślał: rozruszam się. A na wpół świadomie zgadywało coś w nim, że przy tej robocie najprędzej mogą się wrócić pewne okoliczności, najrychlej może przyjść rozwiązanie wszelkich nieporozumień z tym dziwnym życiem. Robił to i owo. Teraz jechał, gdzie mu było potrzeba, a na półce wagonu stały jego dwie ciężkie walizki.

W przedziale było duszno, gorąco. Drażniło go żółte, mętne światło latarni i nieustające ani na moment szwargotanie żydowskiego towarzystwa. Myśl jego była zmęczona do ostateczności. Już niczego nie chciał dociec, już mu wszystko było jedno — nie mógł jednak odczepić się od automatycznej pracy rozmyślania, która, jak rozpędzona maszyna, szła w swoim tempie i nie dawała się zatrzymać, jak gdyby ktoś obcy rządził w jego głowie. Ktoś tam o nim rozprawiał, przerzucał jego przeszłość, grzebał w jego jutrzejszym dniu, dziwił się, wykpiwał i znacząco pokręcał głową nad pewnymi objawami. Przypominało to lekarza, który jest niezadowolony z pacjenta. Lekarz zasępił się! Bada, słucha, maca, waży rozmaite drobiazgi nic nie znaczące, klasyfikuje i jest niezadowolony. Chory czeka obojętnie. Chory wie coś takiego, o czym nie ma pojęcia lekarz. Chory pokpiwa sobie z lekarza. Chory nie spodziewa się od lekarza już niczego. Chory wszystko wie, ale cierpi.

Zaczął się jeden z tych snów, które nie mają żadnego sensu, a we wspomnieniu nie zostawiają ani pojęcia, ani obrazu. Nie pamięta się nic, wie się jednak, że przyszła we śnie zjawą o niesłychanej doniosłości, że przez głowę podczas uśpienia przeszło właśnie to, nad czym na próżno mordowała się dusza przez długie czasy. Wypowiedział się nareszcie ów tajemniczy wyraz, który służy za hasło do otwarcia zawartej bramy niepojętego. Goni potem pamięcią obudzony człowiek, pracuje, zgaduje, idzie za śladem porwanych, bezkształtnych obrazów, które zachowały się mętnie...

Marek ocknął się i natychmiast chwycił się snu, który uleciał.

— Jak to było? Co to właściwie było?

Chwytał gorączkowo i na oślep, jak się chwyta po ciemku dokuczliwego, piszczącego komara. W garści nie zostało nic, a komar jęczał, groził i wciąż gdzieś był.

Słońce jeszcze się nie ukazało, ale już był dzień. Marek wywiesił się półciałem w oknie i oddychał z ulgą rześwym, wilgotnym powietrzem, Patrzał na świat. Pociąg z wolna sunął przez las. Przechodził zwartą ścianę sosny, czerwone pnie i jeszcze ciemne gałęzie.



Czarno było w głębi lasu.

Oko sięgało w tajemnicze mroczne przestrzenie między pniami. Coś tam majaczyło jeszcze z nocy, coś się mieniło i znikało w oczach. Las ciągnął ku sobie i ludził, że wszystko wie, że wie od dawna.

Otwierały się polanki, małe mokre łączki, na których już się uścielały mgły nisko, szeroko. Tuż przed oczami ciągnęły się gęste wrzosowiska, mokre i ociążałe od rosy.

Urwał się las i pobiegło oko daleko. Szły w nieskończoność pola, łąki. Nisko nad horyzontem porozwłóczyły się pasma obłoków. Ciemna, zamroczona była ich barwa na szarym niebie. Spały jeszcze, resztką snu sadyby ludzkie, porozrzucane po płaszczyźnie. Było wszystko zwyczajne, zwyczajne.

Wolno przesuwają się jeden za drugim słupy telegraficzne, zniżają się, unoszą się ku górze, znikają gdzieś i pokazywały się znowu. Małe wzgórki z karłowatymi sosenkami, a między nimi małe dolinki. Werznął się pociąg w głęboko rozkopany pagórek i szedł tuż popod piaszczystą ścianą. Wylazły z niej wielkie głązy, które przed wielu tysiącami lat przywędrowały tutaj z daleka. Przez tysiące lat przysypywał je piasek, zagrzebywało je dzień po dniu, nie ustając ani na chwilę, pracowite życie ziemi. Aż wydobył je człowiek z wiekowego grobu, obnażył ich tajemnicę. Pracowały tłumy i cierpliwie, jak siły natury, odrabiały wiekuiste prace. Głód i niewola pognały je na to kopanie. Nieludzkie prawo ludzkie zwołało je z dalekich stron, ściągnęło na te pola z taką samą mocą, z jaką przed wiekami zwałały tutaj te głązy prawa przyrody. Przysypała już ziemia kości bezimiennych pracowników, zamula kiedys pokłady ziemskie wszystkie ich wielkie prace.

Co przetrwa? Co pozostanie?

Po co i po co?

Jak w ziewaniu, wypowiadała się w nim ta już zastarzała, trująca myśl. Dręczyła we dnie i w nocy i kładła się przede wszystkim ona pierwsza, na cokolwiek spojrzano, czymkolwiek wzruszyło się serce.

Oderwano go od studni mądrości, jemu — cieniowi — kazali wejść znowu w mrowisko ludzkie, między małe sprawy. Skazało go życie na dożywotnie ślepe błądzenie. Ale rychło skończy się to dożywocie...

Ta myśl, zamiast go uspokoić, zdjęła nudą i niesmakiem. Przeczynał z lękiem, że znowu lada moment odezwie się w nim ten już tak dawno opanowany strach przed śmiercią, powszechny, ludzki strach. Że on przywiąże go — nie na łańcuchu, a na mizernym, nędznym lyczku do obojętnych dziejów tego już na zawsze cudzego świata. Że będzie robił to, co wszyscy, a będzie czuł, jak nikt z tych, co żyją. Że co dzień będzie kłamał, jak niewolnik, że będzie się co rano budził z zapytaniem: po co mi ten dzień? — a zasypiając, będzie marzył, żeby się nie obudzić. Będzie mówił, będzie słuchał, będzie patrzył, ruszał się — jak bezduszna, nakręcona maszyna. A jednak, kiedy zachoruje, będzie się leczył i patrzył pilnie w oczy lekarzy.

Głupio.

Z wolna, łagodnie zniżala się przed nim rozkopana ściana, która przez długi czas zakrywała mu świat. Znienacka roztworzyła się szeroko, nisko w dole leżąca dolina. Z wysokiego nasypu zagarnął oczami obraz niespodziany.

Jak wizja, zawieszona gdzieś w marzeniu, było wszystko cudne, zdumiewające. Podniosła się ziemia ku niebu i zeszyły ku niej rozplamione obłoki. Nie miał końca niezmierny świat. Przestały istnieć wszelkie granice i uwierzyły oczy w prawdziwy obraz ziemi, pełen myśli tajemniczej.

W tej godzinie wypowiadało się jakieś wielkie słowo, którego nie zdoła ogarnąć człowiek. Jak głos Boga w dniach stworzenia, zawisło ono nad ziemią niepojęte, budzące wszelkie życie i władające przeznaczeniem człowieka. Czująca dusza swój rodzony związek ze wszystkim, co żyje, i tonęła z rozkoszą w niepojętym, macierzystym żywiole. Zatraciła swoje imię, przestała istnieć, a wszędzie widziała siebie. W purpurowym obłoku, w złotym obłoku, w srebrzystej wodzie rosy, w białych mgłach, przewlekających się przez gałęzie. Nie pytała o nic, bo wszędzie była odpowiedź. Nie trwożyła się, bo była jako u matki na łonie.

Przebogate barwy nieuchwytnych i wciąż gasnących kształtów jutrzeńki przeglądały się w szeroko rozlanym jeziorze. Zdawało się ono wypełniać całą dolinę. Od jednej strony snuły się z niego ku niebu mgły i szły w górę, dymiąc się i kłębiąc. Wystrzelały w niego

Praca, Żywioty

Woda

rzuty mgieł i szły pochyło ku górze, rysując zaczarowane tłumy, zwijając się w zmienne, znikające i tworzące się w oczach złudy. Szły od ziemi, żeby zawisnąć nad ziemią. Bratały się ziemskie wody z wodami przestrzeni niebieskich. Szły błędzić po niezmiernym świecie. Wszędzie będą u siebie i zawsze będą sobą: w rosie deszczu, w burzy i zamieci śnieżnej, w bryle polarnej, w zwałach lodowca, na płaszczynach Syberii, w chmurach podzwrotnikowych, w sokach rośliny, we krwi człowieka...

Za jeziorem rozrzuciona była rozległa wieś. Przepływały przez nią mgły, unosząc na sobie chaty, stogi, drzewa. Dźwigało się wszystko w górę, chwiała się ku niebu i zdawało się ruszać wraz ze śpiącymi ludźmi w jakąś senną wędrówkę. Ciemne plamy drzew i dachów wciąż ginęły i ukazywały się wśród siwych mgieł. Samotnie, wysoko stała strzeżona dzwonnica, dwa rzędy topoli szły kędyś ku jakiemuś dworowi. — Wszystko to było zwyczajne.

A jednak Marek miał wiarę, że podgląda jakąś wielką, strzeżoną tajemnicę. Chciało mu się wierzyć, że teraz, w tej chwili, na granicy dnia i nocy, zanim wyjrzy słońce, odbywa się wielkie misterium świata i że on, podkradłszy się, był jego świadkiem. Tak było przed chwilą: teraz jest już wtajemniczonym uczestnikiem... Przypomniało mu się dziecińcze przeświadczenie o tym, że inaczej wygląda świat, kiedy śpią ludzie. Pamięta tę swoją ciekawość. Wróciły się z dawno przeżytych lat pierwsze, najmłodsze wrażenia. Ta sama była ich dziewicza świeżość, ten sam czar, pełen cudowności. Patrzył oczami dziecka i bajecznym jak ongiś stał mu się cały świat. Znienacka spadło nań przypomnienie żywe i nieodparte: to co widzi teraz, już kiedyś miał przed oczami: to co czuje, już przeżywał. Kiedy to było? Było! I nie potrzebował już sobie dowodzić, że prawdą jest to, co widzi, że prawdą jest to, co czuje. Już wie, że ta chwila przechodząca, że to żyjące w nim „teraz”, jest dla niego czymś nieopisanie wielkim. Wie, że nie spotka go już nigdy nic podobnego i kazał sobie to rozważyć, zrozumieć, zapamiętać.

Mijał pola, lasy, wioski. Uderzyło mu prosto w oczy wschodzące słońce, uderzyło weń, jakby niezgłębioną radością. Beztreściwe uniesienie ogarnęło go, opasało i zdusiło, jak w rozkoszonym, bolesnym spazmie. Działy się w nim rzeczy dziwne, ale on niczemu się nie dziwił.

Gdzieś po drodze mały pastuszek pędził krowinę popod lasem. Spłoszone bydlę odbiegło od plantu w las, a chłopczyna wywijając kapeluszem i wołał coś do pociągu, śmiejąc się radośnie. Spotkały się na moment ich oczy. Pociąg poszedł dalej, a Marek poniósł ze sobą pełną duszę tego dziecięcego śmiechu.

Zapragnął ludzi — bliskiej, serdecznej rozmowy, uścisku czyjejś przyjacielskiej dłoni. Nie mieściło się w nim wzruszenie. Przelewała się w nim wyżej brzegu potrzeba czynu, wyrazu dla rozbudzonej siły, którą czuł każdym nerwem mózgu, każdym mięśniem młodego ciała.

— Ejże, ejże — odgrażał się, coś komuś obiecując i ślubując sobie. Zaroilo się w głowie od pomysłów i zachceń. Poniosło go marzenie daleko, wysoko. Kusily piękne niemożebności, ozdobiła się wszelka rzeczywistość.

Poczuł na sobie jedno spojrzenie i zatargał nim żal, wyrzut i bezbrzeżna radość. Ileż wycierpialy te ciemne oczy, jakże szukały go po świecie, ilekroć oplakały to jego młode — skazane życie... Kiedyż to było, kiedy po raz ostatni patrzył w nie i czytał, co przez nie mówiła ta jej wierna, kochająca dusza? Ciężkie było to brzemie tęsknoty, która tak nagle złożyła się na nim. Podniosła się gniewna niecierpliwosć, zerwały się obumarłe, wygłodzone żądze. Wszystko ożyło. Dobre i złe, rozumne i szalone, małe i wielkie. Ale nie wiedział jeszcze o tym Marek, że już się wykradł z zakłętego koła śmierci, że już na nowo stał się żyjącym człowiekiem.

Zasnął twardo. Dopiero po kilku stacjach obudził się, otrzeźwiał w jednej chwili i szybko spojrział na swoje walizki. Były na miejscu. Zapalił papierosa i patrzył w okno. Myślenie stało się już spokojne, zwyczajne. Myślał sobie o tych swoich sprawach, rozważał je i układał w głowie, kiedy poczuł na sobie czyjeś spojrzenie.

W drugim końcu wagonu siedział samotny pasażer. Marek schwytał jego badawcze spojrzenie, ale w tej chwili nieznajomy odwrócił się do okna i siedział, patrząc sobie w świat. Nie był to zresztą bynajmniej nieznajomy.

Marek dla niepoznaki wydobyl starą gazetę i udawał, że czyta. Był zmieszany, zły na natręta i zły na siebie. Tak mu się dobrze myślało, było mu tak dobrze z samym sobą

— a tu wciska się nieproszona figura i nastęcza głupie, irytujące myśli. Położenie było istotnie głupie, śmieszne i drażniące.

Marek miał nieprzepatą ochotę podejść do tego pana, walnąć go z całej siły dłonią po łopacie, jak się robiło dawniej, a potem ucałować się z nim mocno z dubeltówki, żeby aż zęby zatrzeszczały. A potem o tych dawnych czasach. O profesorze Łopacie, o Dobciu, o starym, łysym „Homerze”, o kolegach: Wacku, Siwku, Jacku, o pijaczynie Ziuczence, pomocniku gospodarzy klasowych, szpiegu uczniowskim i nauczycielu „śpiewów”, któremu wyprawiało się najwspanialsze kawały przed kilkunastu laty w mieście X. O brudnej cukierce na Rynku, gdzie konspiracyjnie schodzili się starsi uczniowie na bilardzik i koniczek. O nocnych wyprawach po cywilnemu, o zamachu „terrorystycznym” na profesora Bojanka, filozofa-maniaka, który nie stawiał nikomu stopnia wyższego nad dwóję i który ze zbytku uczoności powiesił się na kłamce. O pannie Anuli, w której kochał się jeden, i o cudnej pannie Kazi, za którą szalał drugi. Co też się dzieje z tymi dziewczętami, bez których żyć nie mogli, a które teraz hodują „cudze” dzieci. O wielogodzinnych, gromadnych kąpielach na owych Rurach, gdzie łapało się również raki, obkuwało się na egzaminy i gdzie w rozpaczach miłosnych miało się topić pewnego roku, w miesiącu czerwcu, w klasie piątej — za wzajemną umową przyjacielską w tej jednakowej niedoli. Gdyż ani Anula, ani Kazia...

Niechże wszyscy diabli wezmą, jakie to głupie...

Tą samą prostą myśl przetrwał w swoim kącie i kolega Szablowski, zwany ongi w sztubie<sup>36</sup> „Szablone”. Trapili się obadwaj. Każdy z nich wiedział, co drugi myśli, odwracali od siebie oczy i w najidiotyczniejszy sposób udawali, że się nie poznają. Na dobitkę wagon był puściuteńki. Tak sobie jechali.

Wreszcie Marek nie mógł wytrzymać i postanowił patrzeć przez okno aż do nieskończoności. Wychylił się i spotkał się ze spojrzeniem kolegi, który od dawna wpadł na ten sam pomysł i wyglądał również swoim oknem.

Roześmieli się obadwaj.

— Z czego ty się śmiejesz, stary idioto?

— Z tego, co i ty. Głupio....

— Wiele jest głupstwa na świecie. Pogadajmy...

— Kiedyżeśmy się to widzieli?

— A no na tym wiecu u Szlenkiera, na Dzikiej.

— Dzika, dziewięćdziesiąt jeden. Dobrze. Słuchaj, Szablon, żeby o tym ani słowa. Pogadajmyż raz, jak ludzie.

— Pogadajmy... Można czasem zapomnieć. Owszem. A udało ci się diabelnie — no, powiesiliby cię i już. Kawał był dobry, chwacki...

A w myśli dodał:

— Tylko kawałami nie robi się rewolucji.

— Jakże ci teraz?

— Ni to, ni owo. Trzeba się do tego przyzwyczaić.

— Trzeba się było trochę przyzwać. Szukają cię specjalnie. Wyjechałbyś z kraju na trochę czasu.

— Et, nie chciało mi się.

— Tak by było najrozsądniej... Ale ty wobec rozważki zawsze byłeś w opozycji.

— Całe szczęście...

— Pamiętasz ty nasz zamach na tego wariata? Tyś pierwszy rzucił kartoflem...

— Aleś ty pierwszy trafił. Pamiętam, w sam łeb.

— Czasami sobie o tym człeku rozmyślałam. Co to była za figura!... W nim była pewna wielkość...

— Wariat.

— Zwariował, bo mu kazali przez całe życie poprawiać ekstemporalia. Opowiadał nam wspaniałe rzeczy, ale nikt nie słuchał, tylko z niego blaznowali.

— A mścił się, jak obłąkany, dwójami i pałami.

— Belfer zadręczał uczniów, a ci jego. Tak to nas uczyli.

— No, teraz...

<sup>36</sup>sztuba (daw., z niem.) — szkoła. [przypis edytorski]

— Widzisz — zaczął Szablon — te nowe polskie szkoły... — ale urwał, żeby nie zabrnąć.

Rozmawiali niby swobodnie, ale w samej rzeczy pilnowali się okropnie i czuli, że lada moment zjadą na tematy drażliwe. Wszędzie było pełno tych drażliwości i omijanie ich było prawdziwie fatygujące. Ciężył im nade wszystko ów pierwszy, najgłupszy moment. O takich rzeczach można nie mówić, ale niepodobna zapomnieć. Każdy z nich miał niezmierną ochotę pogadać szczerze. Kiedyś lubili się bardzo i lubili się teraz. Chciało im się ulżyć duszy, pchała i ciekawość, jak też tam jest „u nich”, jak ten drugi rozumie te sprawy i jak, będąc niezaprzeczeniem porządnym człowiekiem, znosi różne „świństwa” — których dzieje są stare i wciąż się odświeżają przez nowe „skandale”, „łajdactwa”, i inne potworności. W tych czasach przeciwnicy znali się prawie wszyscy — poznawali się na wiecach i każdy miał swoją opinię. O Marku mówiono: „pepeesowiec, ale z tych możebniejszych”, a o Szablonie: „zdaje się, że to porządny facet, choć esdek”.

Wreszcie odważył się pierwszy Marek. Przerwawszy rozmowę, po chwili milczenia rozpoczął:

— Powiedzże, Szablon, tylko szczerze, zwyczajnie, czy to słyszana rzecz, żeby ludzie dorosli, starzy przyjaciele, szanujący się nawzajem... Nie, to jest tak bajecznie głupie, że nawet o tym zacząć nie można! Jakaśmy się powitali? Jak my rozmawiamy? Do wszystkich diabłów!

— Toteż życie wytworzyło pewien „modus vivendi”<sup>37</sup> dla uniknięcia takich spotkań. Ludzie się nie zadają ze sobą i tyle. Dzisiaj czułem się też głupio, jak nigdy — ale też nigdy nie gadałem prywatnie z nikim z waszych.

— Ani ja. Ale to nie jest logiczne. To jest właśnie potworność.

— W życiu rewolucyjnym jest więcej takich potworności i bywają gorsze. Trzeba je przełknąć.

— Łykam, owszem. Ale czasami chciałoby się coś zrozumieć. Zresztą życie obaliło i ten twój „modus vivendi”. Spotykają się ludzie po więzieniach i muszą żyć długo razem dzień po dniu...

Szło im trudno. Długo milczeli, spoglądając na siebie od czasu do czasu.

— Czy ty naprawdę wierzysz w to, co o nas piszą u was — a co piszą, to dobrze wiesz... Nie o programie, nie o „organicznym wcieleniu”, „ugodowości”, „płaszczeniu się przed Rosją”... ale o...

— O „socjal patriotyzmie”, o „szlachetczyźnie”, „o taktyce bandyckiej”, o „zdradzie sprawy robotniczej”.

— Dajmy pokój!

— Dajmy pokój!

Rozdrażnienie wzrastało. Tłumili je, ale wydobywała się na wierzch sama gorycz. Nieprzeparta była ich chęć mówienia sobie prawdy.

— Mówi się u was, że my — to „same Żydy” (ja na szczęście byłem ochrzczony, a nie obrzezany), którzy nie czują po polsku...

— A wy macie nas za narodowców, którzy socjalizmu używają tylko na przynętę, a między sobą się z tego śmieją...

— Dajmy pokój...

— Mówię ci, Szablon, że w tym jest jakaś straszna obłuda, komedia umówiona. Zaciekli się ludzie, żeby ją grać i grają — aż się wszyscy diabli śmieją...

— Tak, jest dużo śmiesznośtek, ale w gruncie... życie nas wytworzyło i te nasze chryje.

— Nienawidzę takiego stawiania kwestii! Człowiek świadomy opanowuje życie, kieruje nim...

— O, do pewnego stopnia, w nieznaczej mierze. Warunki stanowią o wszystkim. Praw, jakie chcesz kazania, dowiedz wszystkim, że się myślą — a zgody nie będzie, jeżeli być nie może.

— Ja nie chcę żadnej zgody! Niech się strony drą, niech się zabijają, ale niech nie grają komedii. Niech nie udają, że się nawzajem mają za szubrawców, za złodziei, za schrajów...

— No, przesada...

<sup>37</sup> *modus vivendi* (łac.) — sposób postępowania (dosł.: życia). [przypis edytorski]

— Taki jest ton naszych polemik po pismach, po wiecach, na każdym miejscu i o każdej porze. To jest jakiś umówiony, haniebnny styl. Dlaczego ludzie w to wierzą? Dlaczego się nie otrząsną, jak z robactwa? Ja osobiście nie wierzę, że wy jesteście łajdaki. A ty — o nas?

Konflikt wewnętrzny,  
Nienawiść

— Głupie pytanie! Oczywiście, że nie.

— Ale ten wasz robociarz w Łodzi, który zastrzelił naszego delegata strajkowego, uwierzył. Uwierzył i miał prawo zabić. To był pierwotny, dziko-uczciwy człowiek.

— Przede wszystkim to nie był nasz zorganizowany człowiek, ten masowiec...

— To był esdek. A na pociechę wyznam ci, o czym wy nawet nie wiecie, że i jeden nasz zabił esdeka. Ten też uwierzył. Zabójcza konsekwencja... „Łotrów” się zabija. Będzie tego więcej, nie bój się...

— Fałsz! Właśnie robotnicy żyją ze sobą zwyczajnie i po ludzku, a tylko my...

— Nieprawda! Jest nienawiść bezpośrednia, szczerą ludzi naszczutych...

— Zaczynaj kazanie od swoich. My nikogo nie szczujemy. Też — wyrażenie...

— Różne były wasze wyrażenia. Pamiętam...

— I ja. Chcesz, to ci je przytoczę...

— Naturalnie. To jest u was obowiązkowe umieć na pamięć wszystkie intrygi, kawały i przyczepki od stu lat. Zaiste erudycja spod ciemnej gwiazdy!

Dotarli do złego miejsca. Wisiała nad nimi jakaś wielka chryja. Żaden nie mógł się już miarkować. Marek zapomniał, co gadał przed chwilą. Już go rozpierała nienawiść. Szablon miał w twarzy szyderstwo i chłodną zawziętość. Oczy jego mówiły: zaczynaj no...

Było im ciężko, ale najprzykrzejsze było to, że te rzeczy dzieliły ich od siebie — właśnie ich, co mieli ze sobą tyle wspólnych, najdroższych wspomnień i tyle ciepłej, stęsknionej przyjaźni. Żaden z nich nie chciał drugiego przekonywać ani przerabiać. Teraz przy przypadkowym spotkaniu, po latach, zapragnęły serca wylania — pocziwego gadania o tym, co było kiedyś w tej pierwszej, ślicznej młodości.

Pamiętał Marek swoje najszybsze, wstydlive zwierzenia przed przyjacielem, kiedy nie mieściło się już w nim cierpienie. Wylewał przed nim swoją niepojętą, nadludzką, nieszczęśliwą miłość, opowiadał mu o boskich urokach panny Anuli, spowiadał się z cierpienia, płakał. Pocieszał go kolega, uszanował tę mękę duszy, dotrzymał tajemnicy, a na wspomnienie wyznał mu — że i on jest nieszczęśliwy. Wymienił, płonąąc ze wstydu, pannę Kazię i wyznał wszystko. On — ten zimny, rozsądny, skryty Szablon! Połączyły się ich losy. Chodzili razem spotykać na mieście piękne panny, albowiem i one chodziły razem. Czytał przyjacielowi Marek swoje wiersze na cześć ukochanej, czytał mu i Szablon tragiczne kartki swego pamiętnika. Aż po wielu tajemnych rozmowach, po wielu namysłach, kiedy już się przebrała miara cierpienia, gdyż na dokładkę zostali się obadwaj z tej miłości na drugi rok w klasie piątej — postanowili zakończyć tragicznie tragiczne życie i utopić się razem. Rzeczą tę rozważali spokojnie, rozsądnie, jak mężczyźni.

Samobójstwo

Pewnego razu na to posiedzenie (pod wierzbami, nad pokrętną rzeką Bystrzycą) przyniósł Szablon mały zeszytek, zapisany bładniebieskimi literami hektografu, i, rozplamiony, oznajmił tajemniczo:

— Czytałem to przez całą noc! Przeczytajmy jeszcze razem, zanim zjeździemy z tego świata. To są rzeczy niesłychane i wielkie, a my nic o tym wszystkim nie wiemy!

Odłożono śmierć do 26-go lipca, do dnia imienin panny Anuli. To ustępstwo zrobił dla przyjaciela Szablon, choć dla niego słodsza byłaby śmierć w tej zimnej wodzie w dniu 4-go marca. Czytali pod wierzbami w cieniu, w pachnącej trawie — a z daleka widniały wieże i kościoły starodawnego miasta.

W połowie lipca już byli socjalistami. Uradzili i przysięgli sobie żyć dla ogółu, jeżeli nie mogli żyć dla siebie i fatalna data minęła bez nieszczęścia.

Kolega Szablowski, patrząc na przyjaciela, drżał z jakiegoś tajnego wzruszenia. Widział w jego wymizerowanej twarzy ślady przeżytych ciężkich myśli, czytał w oczach zmiany, dokonane tchnieniem śmierci. Była mu drogą jego dzielność, jego cudowne uratowanie i to, że nie boi się dalej robić tego, co dawniej. Chciał go uściskać i powiedzieć mu, że go kocha. Zachciało mu się, żeby było, jak dawniej, żeby mu obiecał, że się będą widywali. Miał mu do powiedzenia tysiące rzeczy. Uzbierało się tego masa. Ale nie sposób było ruszyć z miejsca. Budował się między nimi most z samej szczerzej serdeczności, a lada

chwila mogło paść słowo, po którym zacznie się zjadliwa besztanina wiecowa i wykluwanie sobie oczu...

Szpiegowali się nawzajem i gorąco pragnęli, żeby się to nareszcie skończyło.

— Daleko jedziesz? — spytał Szablon.

— Jeszcze trzy stacje...

— Masz tu jakich krewnych, czy sympatyków?

— Nie jadę na wakacje. Mam tu pewne interesy.

— Co, w takiej zapadłej dziurze?

— Chłopi. Też ludzie.

Szablon mimo woli spojrzął na jego walizki. Marek mimo woli się uśmiechnął.

— Śmiej się zdrów! Nie są to śmieszne rzeczy.

— O tak, coś ja o tym wiem.

— I ja wiem, że szedłeś na śmierć i idziesz i pewnie, że cię tam kiedyś powieszają...

Ot, widzisz, powiedziałem głupstwo. Takich rzeczy się nie mówi, ale stało się. Chciałem powiedzieć, że wszystko u was można zrozumieć, ale za nadto wy już szafujecie tą krwią, że życie — rozumiesz — że dojrzałość warunków nie dała wam jeszcze tego prawa. Mówię poważnie, nie chcę cię urazić... I powiem ci otwarcie, bo z tobą inaczej nie chcę i nie mogę. Jak widzę ciebie, jadącego w ten dziewiczy kraj z twoimi złowrogimi pakunkami, tu, gdzie jeszcze tak mało wiedzą i tak nic nie rozumieją... Ot, taka cicha wioska. Patrzaj...

— wskazał na okno.

Marek spojrzął.

— Wydaje mi się, że widzę obłąkanego człowieka, jakiegoś demona-nihilistę lub fanatycznego mistyka, który ma za swój cel pomnażanie tych nieszczęść, których pełno wszędzie. Źle — niech będzie jeszcze gorzej! Jest gdzieś zakątek, gdzie ludzie cicho żyją, dokąd nie sięgła<sup>38</sup> jeszcze władza praw burzących. Dalejże!... Co tu po tobie zostanie? Tylko nieszczęście. Wyrabiacie to samo po miastach z proletariatem. To jeszcze można ogarnąć. Ja z tym walczę, jak z wrogiem — ale tam jest żywy teren, rozbudzony żywioł, masy, znające swoje prawo — tam wolno próbować, tam można się jeszcze mylić... Ale to kolosalne zaślepienie, ta masowa histeria, która chce zarazić wszystkich i wszystko aż po ten zapadły kąt... Nie — tego nikt rozumem nie ogarnie...

— Mój rozum się tak nie rozczula. Ja wszędzie mam prawo dotrzeć. Mój socjalizm i moja rewolucja nie kończą się na rogatkach miejskich. Ja nie szanuję tej chłopskiej dziewiczości — ani tych tam żelaznych praw... Niejedno prawo ugięło się już w ogniu zbiorowej woli... Krew, krew... Od kiedy to lud zarzeka się prawa do krwi? Przewrót w sprawach ludzkich bez rozlewu krwi?...

— Nie. Ja nie z sentymentu. Znam ja twarde i nieludzkie konieczności... Muszą być okropności i katastrofy. Niech się leje krew! Ale zimny rozum musi kierować i tym: wszystko ma swój czas! A teraz nam krwi ludowej wylewać nie wolno! Nie wolno, bo nie warto!

— Jakiż to jest ten nasz czas?

— Czekać, wytrwać, rozbudzać, pogłębiać świadomość, wyzyskiwać to, co można, i wywołać przeogromny masowy ruch...

— ...Kiedyś... kiedyś... Takie jest twoje zdanie. Taka jest twoja wiara...

— To jest prawda, oparta na wszystkich faktach rewolucji ogólnorosyjskiej...

— Nie, to tylko twoja wiara, czy twojej partii... Niczego nie zdołasz dowieść. A nasza wiara jest to, że nastal czas.

— Nastal czas budować niepodległe państwo za pomocą rabowania monopolów i zabijania stójkowych! Wiesz, że zaczynam wierzyć w jakąś straszliwą chorobę umysłową, która może ogarnąć masy ludzi. Wy wszyscy jesteście zatruci, uśpieni i nikt za was nie myśli!...

— Zabijanie stójkowych, niepodległe państwo... Czy nie można z tobą mówić po ludzku? Nie jesteśmy na wiecu, nikt nas nie słucha — pomówmyż, jak ludzie. Pomówmy o walce. Jest idea bierności i idea walki. Są cierpliwi i są ludzie, którym się spieszy.

— Są również obłąkani, co biją głową o mur.

— Są i maniacy, co lubią, żeby ich poniewierano. To są albo męczennicy, albo...

<sup>38</sup>sięgła — dziś popr. forma 3 os. lp. cz.przesz. r.ż.: sięgnęła. [przypis edytorski]

— Dajmy pokój, do czego to nas doprowadzi? Pogadajmy ot tak...

Ale Marek nic nie odpowiedział. Milczeli obadwaj długo, starając się nie patrzeć na siebie. Siedzieli naprzeciwko siebie, stykając się prawie kolanami.

Ciążył im ten przymus. Dolegał nieznośnie wstyd, że nie potrafili opanować momentu i jakoś przyzwoicie wyjść z drażliwej sytuacji. Obserwowali się nawzajem spod oka i co chwila spotykały się ich spojrzenia trwożne, biegające. Zdawało im się, że lada chwila znowu wybuchną śmiechem i wszystko się ostatecznie wyjaśni. To znowu brała ich niecierpliwość: po jakiego diabła się dręczyć? Udawać głupiego i truć się potem wspomnieniami swojej głupoty...

To u jednego, to u drugiego w ukradkowych spojrzeniach błyskała już nienawiść. Przychodziło opamiętanie i bezradna myśl: trzeba coś z tym zrobić...

Wreszcie kolega Szablowski przemówił:

— Nie spotkałeś też czasem w ostatnich latach której z tych naszych okrutnych, cudnych, dawnych panien? Co też się z nimi dzieje?

Marek spojrzał mu prosto w oczy i, nie odrywając wzroku, po chwili — odpowiedział:

— Powiedz szczerze, jak myślisz, czy nie byłoby to hańbą dla proletariatu, gdyby w ciągu całej rewolucji nie rozległ się ani jeden nasz wystrzał? Gdyby nie padł ani jeden wraży trup za tyłu naszych poległych?

— Zapewne, że to by było już nazbyt osobliwie, ale uspokój się: lud samorzutnie wydałby ze siebie mścicieli. Obeszłoby się bez tych waszych specjalistów. A jeżeli idzie o prawdziwą, twórczą, zdobywczą wojnę, to cóż znaczy garść waszych?

— Wiara w żywioł. Dlaczegoż nie w starą, wypróbowaną opatrność boską? Żywioł — to stojąca w pleśni woda, albo bezrozumny, wściekły wichur, obalający wszystko po drodze... Żywioł! Siedź przez całe wieki nad zgniłą wodą i czekaj! Daj się porwać wichrowi, jak liść! Ja wierzę w jedno tylko: w rozumny, świadomy czyn człowieka...

— Rozumny... świadomy... Na to zgoda...

— Wiesz, że o polityce się nie dogadamy. Po co się nawzajem irytować? Ale poza wszelką polityką są zjawiska jasne, bijące w oczy. Ty nie chcesz ich widzieć...

— Nieprawda, ja widzę wszystko. Przede wszystkim to, czego nie widzisz ty, ani ci twoi. Widzę nieprzebraną nędzę świata i piekielną krzywdę ludzką...!

— Macie na to monopol?

— O każdej porze dziejowej, czy podczas martwego spokoju, czy to podczas burzy rewolucyjnej, czy podczas mściwej reakcji, my nie tracimy i nie utracimy ani naszego celu, ani naszej energii. A wasza wola, wasz cały tak zwany pepeesowski rozpęd spalą się i zgasną tak samo, jak te wasze czyny bojowe, fajerwerkowe i na chwilę nawet piękne. My się też nie zarzekamy krwawej walki i wszelkich jej konsekwencji...

— Bardzoście łaskawi! Tymczasem my was wyręczamy w tym, a zresztą i w wielu innych sprawach.

— O, przepraszam — byłoby to bardzo grzecznie z waszej strony, ale muszę przyznać, że w niczym nas nie wyręczacie, a jeżeli już mówić prawdę, to przeszkadzacie nam porządnie — że już lepiej nawet nie trzeba. Stąd te nasze zajadłości. Już nie gadajmy lepiej. Są ludzie i poglądy, które muszą sobie pozostać obce: dla mnie czarno, a dla ciebie białe — tobie dobrze, mnie źle. Najlepiej jest, jak jest: my sobie, wy sobie — a z tego wszystkiego coś dopiero wyniknie. Historia nas kiedyś rozsądzi, ale my nie mamy sobie nic do powiedzenia. Dosyć!

— Dosyć! Powiem tylko jedno słowo. Powiem po prostu, bo dla mnie to jest sprawa własna, bo za to i choćby za to jedno ja gotów jestem zginąć bez żadnego żalu i zawodu. Dla mnie nie może tu być zawodów! To moja prawda! To nie jest sprawa taktyki — wyboru dróg i środków. Tu nie może być dwu zdań ani dyskusji.

— Takiej sprawy nie ma.

— Taka sprawa jest. To godność człowieka — ludu. To honor walczącego proletariatu. Za to musi ktoś głowę dać! Muszą być mściciele, co idą za wszystkich — nie jako na wojnę, ale żeby dać świadectwo prawdzie. Musi być ktoś, co się ośmieli podnieść uzbrojoną rękę! Inaczej martwa będzie nasza miłość i martwa będzie nasza nienawiść. Zadusi nas trzeźwy rozsądek, zatrują nas kalkulacje polityczne! Inaczej zmarniejemy moralnie, skopani, lekceważeni przez wroga. Ja mam ambicję, żeby na uśmierzenie naszego buntu nie wystarczyło nahajki! Ja mam tę ambicję, żeby wróg musiał wystąpić przeciwko nam

Buntownik

z całą swoją siłą, żeby nas mordował, a nie tylko prał po pysku... Ja chcę, żeby wróg nas uszanował. Nam nie wolno po masakrach zadowolnić<sup>39</sup> się pompatyczną, odgrążającą się, bezsilną odezwą. Nienawidzę tego obłudnego frazesu, tego żargonu impotencji... I kogóż to zresztą oszuka? Poczekaj jeszcze, daj mi dokończyć! Nasz sporadyczny odwet — to nie żadna siła — nie jestem obłąkanym bojowcem, co, jak wy powiadacie, wierzy tylko w brauninga. Ja wierzę we wszystko, co jest rozumne i potrzebne. I można i należy się klócić o taktykę, o program, ale nie można się spierać o honor!

Kolega Szablowski już od dawna śmiał się szyderczo:

— Jakież to szczęście dla kolorytu narodowego, że nie wyginęli jeszcze wszyscy romantycy! Co za bogaty temat dla poetów! Nudziło im się biedakom w naszych kupieckich, trzeźwych czasach i nie chciały ich już czytać zblazowane panny... Ale nareszcie mają towarzysza Marka! Opiszą cię, Marku, bądź pewien, że cię uwiecznią! Dla mnie i dla socjalizmu to zamknięta kraina — i jakże ja się z tego cieszę! Poezja! Kiedy słyszę słowo „poezja” — widzę dorodną pannicę-lenia, która wśród roboczego dnia, o ścianę od wyjącej krzywdy, rozwalona na kanapie, śmie sądzić o tobie, Marku, wraz ze swoim poetą, przewracając ozdobne kartki wypieszczoną dłonią. Każdy poeta pisze o wszystkim, ale każdy tworzy tylko dla niej jednej: i o blaskach, i o woniach, i o uściskach — a dla odmiany i o rewolucji. Biedny, naiwny człowieku, przyjdzie i na ciebie moda. Ty cały jesteś wyjęty z pisanego dramatu. Co ty robisz w tej całej rewolucji? Poeta i ta jego panna powiedzą, że tworzysz piękno rewolucji, że ty okupujesz jej grube, wstrętne objawy, ale przecie ty naprawdę chcesz być użytecznym! Chcesz służyć ludowi. Ha-ha!... Ale lud nie czyta poetów, lud jest taki głodny, chciwy chleba, że nie pozna się z tego głodu na twojej „honorowej” racji stanu i wróci zawsze do nas, którzyśmy z jego nędzy się urodzili... z tej, niestety, tak prozaicznej, polskiej nędzy...

Marek śmiał się do rozpuku.

— Tak, to bardzo zabawne — rzekł Szablowski, patrząc w okno.

Właściwie, miał on już zupełnie dosyć tej całej rozmowy. Nie miał żadnej ochoty do złośliwości. Chciał jakoś polubownie dojechać z przyjacielem do jego stacji. Ale ten śmiech, udany czy nie udany, kolnął go jak ostrogą. Spojrzał ponuro i spytał:

— Z czego się śmiejesz?

— Z ciebie i z twojej nieśmiertelnej trzeźwości. A śmieję się dlatego tylko, że nie mogę nad nią zapłakać. To zgroza! Zaiste, w tych naszych szybko mijających czasach okropnością jest to wasze rozumne, ostrożne czekanie.

— To nasze „czekanie”, jak ty mówisz, zdusi carat, a nie wasza armia bojowców z ich całym bohaterstwem, godnym zaiste lepszej sprawy...

— Pozwól im samym wybierać sobie sprawę. Bądź już tak łaskaw!

— Wolno mi o tym mieć niepodległe zdanie. Szanuję ofiarę z krwi i życia, ale mówię otwarcie: szkoda, bo na marne! Nie wolno rozumować: „Giną za to, a więc się nie myślą”. Mnie nie zastrasza piękne symbole i romantyczne kawalki. Walka proletariatu ma inną, nową poezję i swoje nowe piękno — i nigdy tego nie zrozumie twoja partia, ani ty, mickiewiczowski uczniu, dzielny, piękny grottgerowski typie!...

Marek zerwał się na te komplementy.

— Słuchaj, Szablon! To nowe piękno każdy z nas czuje. Ale tego nowego piękna nie było w waszej plugawej odezwie o Grzybowie. Pierwszy nasz krok! Kiedy lud po raz pierwszy nie był niewolnikiem!...

...Nie — powiedz szczerze, jak człowiek, powiedz tylko dla mnie jednego, przyznaj się, nie wstyd ci tego? Teraz — nie chciałbyś, żeby tej hańby nie było?

Szablowski spojrział na kolegę smutnym spojrzeniem, milczał przez chwilę i rzekł:

— Dojeżdżamy do twojej stacji. Zaraz się rozejdziemy i kto wie, czy się kiedy spotkamy. Może nigdzie, może na katordze. Łatwo ci zginąć. Chciałbym się z tobą rozstać po ludzku. Chciałbym nic nie odpowiedzieć na twoje pytanie. Ale tak nie można — nie mogę przed tobą kłamać. Zaraz wysiadasz (pociąg kołatał się już po zwrotnicach), więc nie będę ci opowiadał moich wrażeń z Grzybowa. I ja tam byłem — z ciekawości. A to, co o tym myślę, wiesz, bo ja pisałem „plugawą” odezwę i, jak mnie tu widzisz żywego, nie wstydzę się tego w moim sumieniu.

<sup>39</sup>zadowolnić — dziś: zadowolić. [przypis edytorski]



Pociąg zajechał, zatrzymał się. Był to małeńki przystanek w szczerym polu. Marek szukał czegoś po peronie, a zobaczywszy to, czego mu było potrzeba, zabrał swoje walizki i ostrożnie schodził ze stopni wagonu. Kolega stanął w oknie wagonu i patrzył za nim, jak szedł, z wysiłkiem dźwigając. Widział, jak rozmawiał z jakimś chłopem za stacją, jak wsiadał do furmanki i pojechał wzdłuż kolei polną drożyną, którą tylko niski płotek oddzielał od stojącego pociągu. Marek nie obejrzał się ani razu.

---

Wózek chłopski trząsł się i pochylał w jedną i w drugą stronę po głębokich koleinach zapuszczonej drożyny. Marek pilnował swoich pakunków, szczególnie jednego saczka, ale nie mógł go jakoś umieścić.

— Poskąpiliście słomy. Mnie to wszystko jedno, ale jest tu jedna sztuka, co lubi miękko. Jedźcie noga za nogą!

Chłopu zaświeciły się oczy.

— Niech towarzysz da mi torbeczkę, ja poniosę na nogach, a wy się wieźcie sami. Niedaleko, dwie mile.

— Lepiej by się gdzie obejrzeć za wiaźczyną słomy. Chciałbym z wami pogadać przez drogę. Dawnośmy się nie widzieli.

— Łaska boska, że ja was jeszcze widzę na moje oczy. Był u nas towarzysz Łoś, powiadali, że was w zimie przycapili i że pójdziecie na zgubę. Jużesmy was odżałowali. Ano, widać, nie była prawda. Bogu dziękować.

— Było trochę prawdy. Wydostałem się jakoś. Co tu u was słycać?

— Cicho. Jeszcze naród ze zimy nie odmarzł. Chodziłim koło strajku na zwiesnę<sup>40</sup>, ale bibuła, odezwy nie przysły w czas. Pan z Mogilna, pan z Koźlego i dzierzawca ze Szlamowców sami postąpili, ale w hrabskich dobrach zapowiedzieli we wszystkich folwarkach, że — jak tylko co — won ze służby. Agituje się, żeby we żniwa. To jest czas najlepszy.

— Kto tu u was bywał przez ten czas?

— Przyjechał raz towarzysz Łoś, był jakisi Skwarek, a teraz jest na dwa powiaty nowy, Tomasz.

— Nie słycałem. Jaki on jest?

— Już stary. Siwy. Głos ma na wiecu, jak ta trąba. Gada, jak lepiej nie trzeba, tylko za dużo ludziom wymyśla i wypomina. To musi nie jest jenteligent.

— To stary robociarz, zasłużony w partii...

— To to jest — ale skłął nas wszystkich za ten strajk, co go nie było, choć my nie byli winni. Powiada, że chłop, jak zechce, to i bez bibuły wszystko spotrafi<sup>41</sup>. A po drugie — naszych on nie lubi. Przychodził i też się rozporządza. Ale mu powiedziałem, że do tych spraw jemu nic, bo my wiemy kogo słycać. Zapowiadał, że jak choć jeden monopol będzie ruszony, to on nas ogłosi za bandytów. A ja na to: jak mnie każą, to ja i was, towarzyszu, ruszę...

— To było już niepotrzebne.

— Ja widzę, że taki, jak on, jest całkiem niepotrzebny.

— A nasze chłopcy co robią?

— Cni nam się i tyle. Kazali czekać, to czekamy...

— Tylu was jest, co i było za mnie?

— Jest nowych drugie tyle, a insi są na widoku.

— Jacy? Wszyscy za nich poręczycie?

— Jeden w drugiego, co tylko jest porządniejszego. Znamy ich od małeńkości. Prócz dwu, wszystko wysłużone żołdaty.

— I cni wam się bardzo bez roboty?...

— Każdy przepytuje, mało że nie codzień, kiedy będzie ten czas... Cni się galanto...

— Ej, towarzyszu, jeszcze trochę czas na tę wielką wojnę, jakoś się na to nie zbiera, ale nie bywa nic wielkiego, jak się od małego nie zacznie. Już nam tak sądzono, żebyśmy i na tej małej wojnie głowę dali. Gotowi są wasi?

— Każdy gotów.

---

<sup>40</sup>zwiesna (daw. gw.) — wiosna. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>spotrafić (gw.) — zdołać, dać radę. [przypis edytorski]

— Tak się mówi, gotów. Ale jak mu się powie — jutro pójdziesz i to a to zrobisz, a pojutrze przyjdą po ciebie i na stryk. Albo złapią przy robocie. Niejeden powie w takiej okazji: nie chcę. Różne są gotowości...

— Zgrzeszyłbym, jakbym obiecował, że się żaden śmierci nie boi, albo choćby ja. Po mojemu grzech się tak całkiem śmierci nie bać. Ale jest bojenie i bojenie... Z naszych żaden się nie cofnie, jak każą pójść.

— A na przepadle? Jak to będzie zawczasu zapowiedziane, bez żadnego utajenia? Prosto na śmierć?

— Jak partia rozkaże. My po to, żeby słuchać, a niech partia uczciwie myśli. Każdy pójdzie spokojny, jak będzie wiedział, że tak potrzeba. I to jeszcze: nasi wolą, żeby ich nie namawiać, nie tłumaczyć, na rozum nie zostawiać — iść albo nie iść z dobrowoli, czy tam na ochotnika, jak to się robiło. Najlepiej nasz chłop idzie na rozkazanie. To znaczy, że musi wierzyć w tę partię, jak w Pana Boga... Taka wiara to grunt.

— Wiara wiarą, a rozumieć trzeba przede wszystkim.

— Naród jest ciemny, mało tam u nas rozumienia na politykę. Trudno piszą po naszych gazetkach, a tu ledwie, ledwie który czyta się nie jękający<sup>42</sup>.

Chłop wyskoczył z wózka i zabrał z dworskiego pola, którego brzegiem jechali, jedną, drugą i trzecią kuczkę schnącej koniczyny, zwałił na wózek i mościł siedzenie.

— Teraz będzie dobrze i wam, i tej delikatnej torbeczce. Wdusi się ją we środek, nic nie będzie widać.

— Jakże ona na kradzionym wysiedzi?

— Niech się i pan hrabia do tej rzeczy przyczyni. Nie kradzione, bo dla partii.

— A wasze konie to zjedzą.

— One też teraz partyjne. Wieziem broń i municję. Dużoście tego przywieźli?

— Tyle, co będzie trzeba.

Chłop milczał przez jakiś czas, potem gadał do koni, potem o urodzajach, wreszcie obrócił się do Marka i rzekł, nie patrząc, a batem prał raz po raz po przydrożnych badyłach.

— Nie pytałem się was o nic i nie pytam. Wasza rzecz. Ale jak tu ma być co takiego — to, zanim rzecz będzie wiadoma u nas w Sierbienicach, lepiej pogadajcie ze mną zawczasu. Ja nie przez ciekawość.

— Gadać o czym jeszcze nie mam, a jak będzie trza, to z wami najpierwszym się narażę. To będzie jeszcze za jakiś czas, a tymczasem wiozę różne rzeczy na skład w spokojne miejsce, a za mną przywiozą więcej...

— Przechować u nas można, co ino wlezie. U nas każda rzecz pewna, choćby ta armata. Ano, jak trza, to trza... A my myślelim, co się to zacznie...

— Co?

— Robota, ruch...

— Roboty wam nie brak: macie strajk we żniwa, macie co niemiara ludzi ciemnych do obrabiania, będziecie mieli ważny skład do przypilnowania, macie gminy do wyprzągnięcia z łajdaków. Czego wam się zachciewa? To jeszcze mało?

— Ano, roboty rzetelnej nie ma. Co z tego wszystkiego, kiedy najważniejsze się nie robi? Jest broń, są ludzie zdrowe, jak te konie, i z ochotą, a tu u nas precz cicho. Chłopcy się rwą. Jak kazali, tak robię i na nic nie pozwalam, ale jak wy chcecie i partia tego chce, żeby tu było cicho, to każcie im zaraz dzisiaj broń mnie oddać, bo mnie samego nie posłuchają. Bez tego pójda samowolnie. Tak jest.

Marka nie bardzo zajmowało to gadanie, bo wiedział z góry, że wszędzie po wsiach usłyszy te same skargi. Wiedział, że będzie musiał ludzi przekonywać, uspokajać i karcić za różne wykroczenia, które bez wątpienia się wydadzą na miejscu. Odkładał to do swojego czasu, na jutro, kiedy zbierze wszystkich. Chłop gadał z przestankami, ale nie przestawał wyrzekać i w chytro-prosty sposób agitował Marka w kierunku swoich chęci.

— Bodaj dla tego samego, żeby spokojnie wysiedziały, trzaby trochę popuścić. Niechby ta byle co... Strażników postraszyć i te rewolwery im poodbierać, naczelnikowi dać „odpusk”, bo ladaco, monopol jeden, drugi podebrać, a już ja bym przypilnował, żeby

<sup>42</sup>się nie jękający (gw.) — bez jękania się; bez dukania. [przypis edytorski]

co do grosza do partii doszło. Po cichu by się zrobiło, a każda taka rzecz, to dla naszego chłopca ulga i dla partii pożytek...

Droga weszła w głębokie jary, poobrastane berberyssem, tarniną. Skala wapienna wylazła z oberwanych spadzistości, a wielkie osty, rumianki i dzikie zielsko porastało bujnie. Zewsząd sączyły się czyste, drobne źródelka i wsiąkały w ziemię. W takich miejscach stały, jak kłomby w ogrodzie, wielkie kępy końskiego szczawiu, podbiału i tataraku, o grubych, widlastych dudach. Pachniało miętą, miodem, soczystą zieleniną.

Czar dawno niewidzianych pól, wolnego nieba upajał Marka. Mocny zapach ziół przypominał coś bardzo dawnego. I znowu uderzyła mu prosto w serce gorąca radość życia. Zapomniał o wszystkim, co było złe, marne, niemiłe. Wyzionął ze siebie resztę zgniętego więziennego powietrza i trupiej, przedśmiertnej mądrości.

Jasny, pogodny dzień na wolnym świecie stał mu się jak gdyby obrazem szczęśliwego życia. Sądzono mu spędzić jeszcze dzień — nie zaglądał dalej i nie chciał wiedzieć. Niechże będzie ten dzień wolny, bujny, nieopatrzny! Niech będzie radosny, mężny, ofiarny! Piękny i młodzieńczy, jak ten letni poranek.

Zmalały wszelkie powszedniości, kłopoty dręczące, zadawnione troski. Oddalił się, znikł, poszedł w świat, jak i jego pociąg, ów ukochany, nienawistny przyjaciel. Został na całym świecie jakby sam na sam z tym wiozącym go chłopem i przepelniła mu się dusza ogromnym, nienasyconym ukochaniem.

Lubił zawsze dzielną, tęgą postać Orawca, jego uczciwą głowę i prosto patrzące siwe oczy. Kiedy z nim był, kiedy na niego patrzył, najmocniej wierzył we wszystko, w co wierzył i co czynił. Marek tyle tysięcy razy wymawiał, słyszał i czytał słowo Lud, tak dobrze te sprawy rozumiał i wiernie je kochał, że dopiero przy tym chłopie nieuczonym poznał, co to słowo znaczy — nie w literaturze, nie w polemice, nie w programie, ale w tym strasznym życiu, nieuchwytnym i szydzącym z wysiłków człowieka. Przy nim wyczuwał dalekość i bliskość, trudność i łatwość zwycięstwa i rozumiał bez frazesu i bez doktryny, a naprawdę, że nie wykuje proletariusz swojego szczęścia młotem, jeżeli go nie wyorze pługiem ten chłop i dla siebie.

Poznawał chłopca moc i słabość, rozum i ciemnotę, przesady i jasnovidzenia i pewnego dnia przy nim to, przy Orawcu, pokochał na zawsze duszę chłopca, jak nigdy nie mógł, mimo wysiłku, ukochać duszy robotnika. Już go to nie dziwiło, nie kłopotowało. Tu, na szerokich polach wstanie z tej ziemi, jak łan żyta, nieprzeliczony zastęp mocnych żołnierzy. Tu leży w odwiecznym wypoczynku siła, bez której marnieją i spalają się na próżno burzliwe ruchy miasta.

Po to przychodzi do wiejskiego zacisza z gorącym swoim słowem i z tą bronią. Idzie za nim śladem śmierci, idzie przewrót, płacz wdowy i sieroty i te dumania przedśmiertne skazanych i te długie lata katorgi. Spieszą za nim, jak ta kurzawa za jego wozem, widma klęski i okropne ofiary wojenne.

Nie żał mu siebie, a żał mu tego człowieka, co zginie, że go ta śmierć przed czasem zgniecie. Aż dziwno, że da rady tęgiemu chłopcu, aż nie do wiary, żeby tak znikł ze wszystkim, stateczny zdrowiem i urodą, pracowity i pożyteczny chłop z chłopów, towarzysz Orawiec... Markowi łza zakręciła się w oku. Szeroko otworzyłby głowę Orawiec, gdyby mu towarzysz wypowiedział wszystko, co czuje w tej chwili... Nie spodobałoby mu się wiele, a nie zrozumiałby nic. Toteż Marek milczał.

— Jeden jest spokojny albo z cierpliwości, albo jako ta ciapa. A inszego, może właśnie który najlepszy, śwędzi ta spluwa i rady sobie taki dać nie może. Są takie ludzie gorące. Taki nie wytrzyma zanadto długo, utai się, pójdzie gdzie chyłkiem od wszystkich albo stowarzysz się z byle hyclem i co z tego? Ogarnie jeden, drugi monopol, ubije tam strażnika, a potem i na gościniec wyjrzy, zastąpi drogę temu chłopcu czy Żydowi, jak z jarmarku wracają po nocy. Chyba już niejednego zgubiła samowola a utajenie od towarzyszy. Inszy nie wytrzyma. Albo i nasze ludzie wiejskie: wezmą przekpiwać, a wydrwiwać, a wydziwiać. — A cóż to wy siedzita jeden z drugim, a cicho, czy pod was jaja podsadziła partia? — Już nas przezywają ścierwy głupie: „bojowcy, bo się boją”. Przez to też niejeden się wyrwa...

— Tak już o was wszyscy wiedzą? To źle...

— We wsi się nie utai. W kupie naród siedzi. Znają nas swoi, jeden się domyśli, drugi podpatrzy, kto ku nam przyjedzie, inшы choćby usłyszy, jak strzelamy dla nauki... Baby

nienauczone języka wstrzymać... Jak to we wsi...

— A donosu, zdrady się nie boicie?

— Są podlece złodzieje, bo gdzieby bez takiego, ale te nauczone, bośmy tu trochę porządku robili ze złodziejstwem koło Wielkanocy. Ale tak, to chyba żaden nie doniesie, a jakby kogo tak zgubił, to zawsze go można podpalić, a potem dokończyć...

— Daleko idą te jary? — spytał Marek.

— Na lewo z miłą, a na prawo ze dwa razy tyle. W godzinę się przejedzie tą drogą, tylko trza jechać lepiej, niżli my. Wielgi jest kawał świata. Po części gmińskie, a głównie hrabskie. Polowania tu wielkie bywają po dwa razy do roku. Są i dziki, a lisów co niemiarra. Te pustki zachodzą aż popod stację Lasek i się schodzą z Malwierzycznym lasem, też lasy ogromne, rządowe. A w tych to parowach, proszę towarzysza, za powstania trzymała się silna jedna partia, zapomniałem, jak się nazywała po naczelniku. Siedzieli tu z zimy aż pod jesień, aż przysła duża siła i ogarnęła ich, że mało który uciekł. Wszędzie oni tu pogrzebani, gdzie który leżał, a w jednym miejscu, gdzie dużo padło w kupie, jest i kopczyk i figura z napisem. Tam leży naczelnik i dużo panów, i ludzi. Ludzie ze wsi i nasi ich grzebali — jeszcze pięć lat temu żył proboszcz we wsi Garno, który z ludźmi chodził i tych nieboraków grzebał. Ksiądz pilnował, żeby papiery, pieniądze, drogie rzeczy, te zygarki, pierścionki jemu wszystko składać i za to nowy kościół się zaczął budować, za te pieniądze. Kole tego kościoła będziem jechać.

— A daleko do tej mogiłki?

— Ode drogi niedaleko, ze dwa stajania, tylko przez jarugi i wyrwy, bez drogi. Chce wam się popatrzeć?

— Popatrzyłbym. Jak dojść?

— Za pacierz będzie odchodził od drogi boczny parów na lewo. Tam je ścieżka pod górę, aż do ciasnego miejsca, gdzie dwie skały przypierają do siebie. Trza to pominąć i od razu na prawo, popod ścianą, popod ścianą, aż będzie trochę równiejsze miejsce, jakby łączka. Na tej łączce jest zgórek niewielki, obsadzony dębami — od razu będzie widać gdzie. Podprowadziłbym waju<sup>43</sup>, ale nie ma kogo przy koniach i rzeczach zostawić...

Po chwili Marek zsiadł z wózka i zapuścił się w głęboki, ciasny parów. Wszystko tu było jeszcze w rosie i w chłodzie. Prysały mu w samą twarz chłodne krople z wysokich traw i lodyg. Panowały tu huczne postrzykiwanie koników polnych i cierpki zapach macierzanki. Na zboczach siwa opoka, obnażona przez deszcze i śniegi, wystawiała tu i owdzie ostre kły, jak piszczele dawno pogrzebanych trupów. Szedł szybko, spiesząc się do czegoś, z czego nie zdawał sobie jeszcze sprawy. Czepiał się długo między skałą a krzakami, chwytając się za kolące gałęzie tarniny. Już blisko. Wyszedł na słońce.

Był na płaskim wzgórk i poszedł prosto przez gąszcz traw i karłowatych krzaków jałowca ku kępie drzew. Nie zatrzymał się, aż w ich głębokim cieniu. Pod niską kopułą liści, w zielonkawym zmroku był płaski kopiec, zasypany zeschniętymi liśćmi dębiny, a pośrodku stał czarny, zmurszały słup z wrębem u góry, gdzie kiedyś tkwiło poprzeczne ramię krzyża. Marek wbił oczy w tę ziemię u stóp krzyża. O coś pytał, na coś czekał. Czy pomieniałby się na czasy i na śmierć z tymi dawno zmarłymi?... Czy pozazdrościł im grobu, czy pomyślał o swoim?... Czy mu stanęła do oczu marność wszelkiej rzeczy ludzkiej?... Za gardło chwyciło wzruszenie szczere, gdzie nie było żadnej myśli ani celu. Zamilkł, usunął się na bok wszystko rozważający umysł. Do tej ziemi przypadła dusza w całkowitym swoim obnażeniu i uczciła stary grób.

Nikt tu nigdy nie zachodził. Może od tego czasu, kiedy miłosierna ręka zasadziła ten krzyż i cztery młode dębczaki, wykopane późną jesienią z pobliskiego gąszczu. Wyrosły drzewa potężnie, mocno, choć szły w stronę pokręcone konary i słały się nisko nad ziemią. Stykały się gałęzie z dzikim gąszczem jałowca i tarniny. Obrosło wszystko wokół trawami i zielskiem. Świegotały gdzieś skowronki, brzęczały gdzieś pszczoły, a w mrocznej krypcie panowała cisza kościelna i powaga. Chłód, wilgoć były od grobowca i woń starych liści, które spadały tu co jesień na zaduszki i gromadziły się z roku na rok. Niczyja ręka nie składała tu wienców, nie wsiąkały w tę ziemię niczyje łzy...

Została resztką dawnej pamięci pomarłych ludzi. Stała w półmroku ta reszta krzyża, jak posąg wieczystej, nienaprawionej krzywdy. Zagrzebała się krwawa krzywda w dalekim

Powstanie

Revolucja, Powstanie

<sup>43</sup>waju (gw.) — was. [przypis edytorski]

kraju, w dzikiej pustce. Uciekła od człowieka, zapamiętała się i już niczego nie, chce, prócz samotnego na wieki wieczne spokoju. Śpi krzywdą snem wiekuistym i prosi szmerem liści, jak o łaskę: nie zaczepiaj nas, żyjący człowieku-potomku. Nie przychodź tu, bośmy już nareszcie spokojni. Pozabijał nas wróg. Przegrana nasza sprawa i zapomnieli o nas bracia. Już tyle lat... Idź sobie, nie przypominaj!

Zbudził się Marek z beztreściwej, upajającej swojej zadumy. Nakrył głowę i wyszedł na słońce, pod światło i ciepło życia. Nie zraził go smutek grobu. Zazdrościł im jeno szerokich pól i wielkiej otwartej walki w wielkiej gromadzie. I tego, że z bronią w rękę w bitwie padli. Stał i patrzył z pagórka na szeroki, pogarbiony kraj. Ocknęło się w nim wszystko, co żywe, rozumne. I jeszcze raz uśmiechnęła mu się radość. Uśmiechnęło się w nim serce do tego chłopca Orawca, co na niego czeka tam na drodze, co się u niego o walkę dopomina.

— Tego wam jeno brakowało w waszej doli... Tego chłopca, nic więcej, tylko jego.

Mówił to, jak do pamięci ojca mówi kochający syn.

Zapowiadał się upalny dzień. Grały na słońcu barwy, dygotały w gorącym powietrzu dalsze kształty. Zaciekały się w wesołości koniki polne, wytryskując mu snopami spod samych nóg. Wabiły się gdzieś przepiórki, wrzeszczały bijące się o coś sroki. Piękne były w swoim przepychu bujne, dzikie kwiaty.

I zrozumiał towarzysz Marek raz na zawsze, że będzie pogodna i jasna jego ostatnia godzina. Już wiedział, że mimo piękności życia, jego śmierć jest tak samo prosta, tak samo potrzebna, jak ten skromny biały motylek na tle błękitnego nieba.

Nazajutrz wczesnym rankiem zaczęły ściągać chłopcy wtajemniczone ku umówionemu miejscu. Różnymi ścieżkami, polnymi drogami, przez miedze, podchodzili z daleka i znikali w lesie.

Na małej polance, gdzie stał jeno stożek świeżo zebranego siana, już czekał Marek z Orawcem. Witali się w miarę, jak się schodzili. Wszyscy lubili niezmiernie Marka, i każdy po kolei, nieodmiennie, wypowiadał mu, jak umiał, tę swoją radość, że się: „towarzysz starszy uratował i żywie, daj Bóg najdłużej”. Marek ścisnął twarde łapy i witał ze wzruszeniem starych znajomych. Pogadali chwilę, a kiedy Orawiec oznajmił, że są już wszyscy, którzy byli wezwani, posiadali chłopcy w cieniu na trawie, a Marek wystąpił i gadał:

— Cieszę się, że was widzę żywych i zdrowych, i do roboty chętnych. Cieszę się, że wszystko tu u was w porządku, że się żadnego hultajstwa nie wydało, ani samowoli. Pierwsza cnota żołnierska, to słuchać tego, kto dowodzi. Nie mnieście, ani też towarzysza Orawca słuchali, ale całej rewolucji i tego ludu pracującego, który nas do was wyznaczył. To dobrze.

Frasujecie się, że nie ma u was roboty bojowej? I to dobrze, kiedy się żołnierz do walki rwie. Inna rzecz, jeśliby mu się zachciało coś na własną rękę próbować. Ale ponieważ tego nie było, to i dobrze. Poniektóry z was pyta się, po co jest ta cała bojówka, kiedy każą cicho siedzieć, ino się uczyć, a przytaić — a robić ino to, co każdy, zwyczajny partyjny człowiek. Bo wydaje się inszemu, że jak do bojówki przystąpił, to już on nie zwyczajny. Taki niech się pomiarkuje, bo ma w głowie przewrócone. Na zwyczajny czas wyście powinni być najpierwsi przy zwyczajnej, spokojnej robocie, czy to przy strajku, czy przy wyrzucaniu podłości z gminy, czy na tym wiecu. A jak przyjdzie rozkazanie wziąć za broń, to pójdziecie. Już wam tyle razy przepowiadałem, co to jest bojówka, po co ona i na co, do czego i na kiedy, a już z tego nic nie pamiętacie. To jest wstyd, żeby w kółko jedno i to samo trza było gadać, jak tym dzieciom, a i gęby szkoda i tego czasu. W to miejsce, co miałbym wam powiedzieć coś nowego, muszę klepać stare...

Gadał i gadał. Jasno, mocno, po prostemu, na wyrozumienie i ku nauce. Tyle razy już to samo powtarzał i tutaj, i gdzie indziej, że go brała nuda, kiedy zaczynał. Ale że miał przed sobą gromadę wpatrzoną i zasłuchaną, dzielną kupę gotowych ludzi, więc i teraz, jak zawsze, ożywił się i uniósł.

— Nie moja rzecz gadać wam o Dumie, o polityce, o strajkach rolnych. Macie gazetę — czytajcie, macie towarzyszy od wiejskiej roboty. Ich się pytajcie. Moja rzecz, żebyście

umieli strzelać, tę minę założyć, dolecieć gdzie trzeba, zrobić co trzeba i powrócić cicho, jak te koty — a w potrzebie głowę dać bez żalu i bez strachu. Tedy, towarzysze, powiem wam teraz wielką i ważną nowinę. A z tego, com od was usłyszał i od Orawca, miarkuję, że wam będzie miła.

Będzie tu dla was duża robota. Pierwsza i nie byle jaka. Można powiedzieć, że nasza bojówka jeszcze tego nie robiła, bo siły nie miała. Teraz już można, więc się będzie robić.

Nic wam nie powiem, gdzie, co, jak i kiedy, bo to nie po naszymu. Dość wam wiedzieć, że lada dzień, lada tydzień przyjdzie z rozkazem nasz człowiek, albo ja, albo inszy, jak mnie nie będzie, i wtedy bez straty jednej godziny trza zaczynać. Wszyscy, co do jednego, mają być w pogotowiu. Może przyjdzie wam daleko pojechać, może przyjdzie tu kupę ludzi umieścić, przechować, przeprowadzić znajomymi miejscami, końmi podwieźć i wywieźć, pomoc dać — więźniów odbić, jak się zdarzy...

Może się nie udać i wszyscy swoją głowę przypłacą; może się udać, jak się dobrze sprawicie i będzie ino radość bez żadnej żałoby. Ja nie Pan Bóg, żeby to wiedzieć zawczasu. Ale to, co ja muszę wiedzieć, to jest, żebyście odpowiedź dali z rozmysłem: będziecie gotowi? Będziecie słuchali na ślepo, na było — nie było? Kto nie gotów, niech dzisiaj odda broń, a nikt mu złego słowa nie powie.

— My gotowi!

— Wszyscy pójdziecie?

— Nas się pytać nie trza, ino rozkazać — po to my jesteśmy.

— Dosyć my mamy czekania!

Wstał z trawy Orawiec i zaczął:

— Towarzyszu starszy i wy towarzysze! Będę mówił wedle przyjęcia do kompanii nowych. Jest tu nas dwudziestu ośmiu starych, a tu niedaleko pod lasem czeka jeszcze trzynastu, co chcą do nas. Trza powiedzieć przy wszystkich, co który o nich wie. Wybrani oni i przebrani, przesiani, jak to ziarno we młynku, samo celne, bo poślada<sup>44</sup> nam nie trza. Ale zawsze trza jeszcze raz przegłosować każdego i co tam kto ma powiedzieć, niech powie...

Po jakiejś godzinie Orawiec uroczyście wprowadził na polankę gromadkę chłopów.

Podchodzili ciekawie, wyciągając głowy i świecąc oczami, jakby się spodziewali, że zobaczą jaką rzecz nadzwyczajną. Były to tęgie chlopy, młode, ale nie młodziaki, który w kurtce, w czerwonym kubraku, lub w kamizeli z wypuszczoną koszulą. Ale wszyscy byli w butach i w czystych koszulach i umyć, jak na niedzielę.

Bojowcy już byli uszykowani w dwa szeregi. Na skraju stał towarzysz ze sztandarem, a koło niego Marek. Wszyscy, prócz niego, mieli broń wydobytą. Nowi przystanęli i na rozkaz Orawca odsłoniли głowy przed sztandarem. Marek wystąpił na środek polanki, spojrział bystro po tych nowych i zaczął gadać:

\*

Ważna to chwila w waszym życiu to, co teraz czynicie. Bo od tej chwili każdy z was jest w powinności najświętszej, na służbie godnej a ciężkiej u całego ludu polskiego. Służyć będziecie samym sobie, bo wyście lud. Jak zginiecie, to za swoją sprawę, boście lud. A zginąć u nas łatwo. A nagroda u nas — to czyste sumienie ze spełnionego obowiązku. Dostatków wam nie przybędzie, jeno honor, że życie i zdrowie dajecie za sprawę wyzwolenia.

Zaczęliśmy wielką, ciężką, krwawą walkę. I po miastach, i po wsiach. Panowie, księża, kupcy, fabrykanci, wszystko, co bogate i zamożne, co z tej ludzkiej pracy żyje, odstąpili się od walki i zostaliśmy sami: robotnicy i chlopi. Zawarli my razem związek na śmierć i na życie, podali my sobie ręce i musi to być, czego my chcemy.

\*

A my, bojowcy, idziem na pierwszy ogień. My na przodku do najcięższej pracy. Nam przypadło w losie przygotować i przyspieszyć tę wielką wojnę, która da nam uczciwą

<sup>44</sup>poślada — ziarno gorszej jakości, nienadające się na zasiew i przeznaczane na paszę; tu przenośnie: efekt negatywnej selekcji. [przypis edytorski]

wolność, ulgę dla ludu pracującego i w mieście, i na wsi. Poleje się nasza krew i niech się leje, bo wróg inaczej nie ustąpi. Będzie dużo biedy i nieszczęścia, ale takie jest prawo wojny. Bez tego nie będzie zwycięstwa, nie będzie szczęścia.

\*

Powiadacie, żeście gotowi, i ja wierzę. Ale bądźcie gotowi na gorsze, nie na lepsze. Raz tylko bywa śmierć, ale rozmaita bywa. Jeden w walce od kuli pada, inny na katordze kajdany dźwiga i w zamknięciu za kratami umiera, inny, skazany, samotnie siedzi i czeka swojej ostatniej godziny. Znam takich, co dziesięć razy wyszli cało, znam takich, co od pierwszego razu się wyspali i poszli na stryk. To jest dla sprawy wszystko jedno i każda śmierć policzona i każdy poległy jej jest jednakowo drogi, jak tej matce zmarłe dziecko.

Ale nie wszystko jedno człowiekowi — jeno nikt sobie śmierci nie wybiera. W walce paść — letka rzecz. Ale w więzieniu czekać na śmierć — insza. Tu trzeba zebrać w sobie moc, strachu podlego nie dopuścić — bo za ten strach będą cię ciągać dranie-oprawce, będą kusić: bądź Judaszem — będziesz żył. Damy ci trzydzieści srebrników, wydaj swoich...

Zawczasu rozmyślajcie i gotujcie się! Dużo męstwa trza bojowcowi, dużo duszy. Więcej, niż na wielkiej wojnie, przed armatami, gdzie sto tysięcy ludu się bije i trupami zaściela pole. Inszy mówi: byłem na wojnie! A ja wam powiadam, że nigdzie na wojnie nie trza tyle męstwa, jak w tej naszej bojówce. I jak powiecie: byliśmy w bojówce! to więcej będzie znaczyło, niż jakbyście całą wojnę japońską odbyli, bo tam strzelały armaty i karabiny — a w nas prócz zabójczej broni godzi i niehumanitarny sąd wojenny, i katorga, i szubienica, i oszczerstwo ludzkie, i niegodziwa zdrada za judaszowe pieniądze.

\*

U nas nikt nie przysięga na posłuszeństwo, na wierność, ani co do tajemnicy. Nic nie warta przysięga na żadne świętości, jak człek w duszy swojego obiecania nie uszanuje. Ale od tej chwili kaźden z was niechaj wie i pamięta, że ma słuchać, co każą. Jak was biorą do wojska, to jeden z drugim słucha ze strachu, bo go po pysku biją. A tu słuchaj z tego, że o twoją sprawę idzie! Słuchaj z rozumienia i z kochania! To jest wasz naczelnik (pokazał na Orawca). On jest przez starych obrany i przez partię zatwierdzony. Co on nakaże, to święte: bić — to bić, broń oddać — to oddać, cicho siedzieć — to siedzieć, pójść na niebezpieczne — to iść! Nie ze świata on człowiek, ale wasz znajomy, na oczach go macie, między wami siedzi. Nikt nie ma prawa nic rozkazać w bojowych sprawach, jeno on albo przez niego.

\*

Co byłem powinien, to wam wszystko powiedziałem. Resztę niech wam dopowie wasz własny ludzki rozum i wasze sumienie.

Wydać im broń!

W trzech kobiałkach była broń i naboje. Rozdawał kaźdemu naczelnik po brauningu, po trzy magazyny i ładunków po sto. Prócz tego futerał na rzemieniu, irchę, oliwę i przybory. Chłopy rozbierały chciwie broń, tłocząc się przy kobiałkach, jakby się bali, że dla którego zabraknie. Oglądał kaźdy ze wzruszeniem czarne, srogie narzędzie, a Orawiec przykazywał, żeby w niedzielę po południu byli wszyscy na tym samym miejscu na naukę.

— A jak kaźdemu będzie w paczce brakło choćby jednego ładunku, to będę karał i broń takiemu będzie odebrana na jeden miesiąc za kaźdy ładunek! Uważajcie!

I jeszcze zabrał głos Marek wedle tej broni.

— Broń szanować, utrzymywać czysto, a dobrze i bezpiecznie chować, bo kupiona ze składek ludzi biednych, co sobie od gęby odejmują na tę broń. Albo za zdobyczne rządowe pieniądze, na co niejedno życie ludzkie poszło. Broń szanować — to znaczy używać jej

tylko przeciwko wrogowi, a kto we swojej sprawie z niej użytek zrobi, na jakie zabójstwo, dla zemsty czy dla czego innego, ten tę broń rewolucyjną zhańbi i na takiego jest u nas kara...

Orawiec szturchnął w bok kulakiem jednego z nowych i urągał szeptem:

— Kielza, zważajcie, co starszy towarzysz mówi! Obejrzyj se potem maszynę. Ogląda, zapatrzony jak to dziecko w cacko na jarmarku...

Wracali potem kupą przez wąską drogę leśną. Szedł Marek pośrodku chłopów, gwarząc z każdym po trochu, to o tym, to o owym. Dobrze mu było. Śmiały się chłopom oczy i wesoły gwar stał nad gromadą i to z duszy idące i wierzące dobre spodziewanie.

Szły wraz z nimi widma i mary, czaił się, przebiegając od drzewa do drzewa, strach. Tam gdzieś za nimi cicho włóczyła po ziemi łańcuchem nie niewola-katorga... Ale szła przodem nadzieja-zwodnica, piękna, jak ten letni dzień. W nią jeno były zapatrzone te dusze ludzkie...

---

Czas się dłuży, czas się skraca. Przeróżności wyrabiają się z tym czasem i z tym człowiekiem. Zmiarkować się wedle tego trudno, aż w jakiejś chwili stanie do oczu wyraźnie całe długie życie, jakby jedna chwila. Inszego razu tak się skuli ten czas długoletni, że się człowiekowi wyda, jakby się wczoraj urodził.

Nie dawniej, jak wczoraj, chodził za bydłem i brał pranie za szkodę. Nie dalej, jak wczoraj, ożenił się i osiadł na swoim. Nie dalej, jak wczoraj, była wojna. Wczoraj dopiero przystąpił do partii i wczoraj dali mu broń do ręki. Wszystko się w tym jednym dniu zmieściło...

Jeno te ręce białe, psie-krwie, wygładzone, wypoczęte...

I znowu rozciąga się czas, wywleka się, jak ze smoły, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Oj, dawno, oj, dawno! Wtedy była właśnie robota przy kartoflach, a za jakie sześć tygodni powinny już kopać. Jeno do roku nie dociągnie się czas — urwie się, bo i to czasem bywa. Nawet się całkiem urwał, po sądzie. A wkiedyż był ten sąd?

Cztery dni temu, to znaczy, jak gdyby był na samym początku świata...

— Słuchaj, Wojtek — i powiedźże ty, Wojtek Kielza, chłopie nieszczęśny — cóż to on jest takiego, ten ludzki czas?... Co ono znaczy, to krótkie życie człowieka?

I cóż to jest ten cały, szeroki świat ze wszystkimi ludźmi, z miastami, ze wsiami, z cudzymi krajami, z rzekami, z górami, z rewolucją, z partiami i z tym socjalizmem, i z tą Polską, i z tym rządem carskim?

Kasi<sup>45</sup> to wszystko jest, jak było. A czemu zdaje się człowiekowi, że już nie ma nic, ino ta ciasna celka o bielonych ścianach, a w niej z całego świata tylko jeden człowiek, co sam ze sobą gada, sam wzdycha i sam tego wszystkiego słucha?

Chodzą po korytarzu ziąndary<sup>46</sup>, żołdacy, zajdzie naczelnik, albo jaki jenerał, czy ten doktor. Słuchać za oknem gwarę ludzką, śpiewanie żołdackie, trąbienie i bębny — a w rzeczy wydaje się, że to są cienie, a nie ludzie. Wszystko jest, jak w tym spaniu. Dziwno.

Męczył się tym ciągłym dziwowaniem. Wojtek Kielza męczył się tym myśleniem, z którego już nie mogło być nic na czyj użytek ani na swoją potrzebę. Czuł w sobie dawną siłę, tylko w głowie na szczęt osłabło. Same oczy się przymykały — ciągnęło do spania, to i spał.

Wstał rano, wypił te herbacinę, pojadł bułki, pochodził, wypatrzył chwilę i zajrzał przez górne okno, obaczył, co zawsze: jakiś mur bez okien, i zaczynał myśleć. Pomyślał, powzdychał i układał się do spania. Wołali go „na progulkę”<sup>47</sup>, szedł, wracał i zasypiał. Zjadał obiad i znowu spał.

Po każdym zbudzeniu do myśli przychodziło wciąż to samo: czemu tak jest i co to znaczy?

---

<sup>45</sup>kasi a. kaji (gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>ziandar (gw.) — żandarm. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>progulka (z ros.: прогулка) — spacer. [przypis edytorski]



Albo wspominał, co mu się przyśniło i kalkulował. Raz mu się śniło, że cudze krowy wlaży na jego pole i bobrują, żrą, traturają i kartofle, i koniczynę, i żyto. Dużo krów bez dozoru. Widzi on to, bo stoi za płotem na swoim podwórku. Porwie się, ale mu nogi wrosły w ziemię, ręce przyrosły do boków, nawet krzyknąć nie może, bo go coś zdusiło i trzyma. Tak się męczy i mocuje, aż go pot oblewa, aż lzy płyną z tej okropnej szkody. Stoi koło niego pies Uduś i też to znosi, też stoi i dygoce, i ino popiskuje z wysiłku, bo i jego coś spętało. Tak się dręczą wespół, a krowy traturają i żrą, i coraz ich się robi więcej, jakby się celiły na poczekaniu...

Innego razu jest na sądzie. Wszyscy gadają, a co, nie rozumie. Gada jego adwokat, pokazują na niego palcami oficery, strażniki, jakieś świadki. Siedzi daleko na sali jego kobita i płacze. Idzie sąd, jak się patrzy. Koło niego siedzi w zagrodzie Satarek, Gruchała, Strychowski kowal, Matyjewicz z niezagojoną jeszcze ręką i ten niewinny Rysiak, dworski gajowy. Wszyscy, jak żywi — idzie wszystko, jak było.

Aż otwiera się w ścianie miejsce, gdzie był carski portret nad sędziami. Robią się jakby drzwi, i w tym miejscu staje żołdat w szynelu bez czapki i bez broni: ma czerwoną dziurę nad lewym okiem i pół gęby upapranej na czerwono, a poniżej przepasania też na szynelu krwawy płat. To znajomy, ten sam, do którego strzelał dwa razy i za drugim razem go położył. Są na sądzie żołdacy, ale jego nie ma, widać zabity. Stoi żołdat, jak na portrecie, nieruchomy.

I cóż się patrzysz? Tyś strzylał i ja strzylał. Moja dobra, żeś nie trafił. Twoja szkoda, żeś popadł<sup>48</sup>. Czego ode mnie chcesz? Chcesz na mnie świadczyć? Gadaj, mnie i tak jedna śmierć.

Ale żołdat nic nie mówi, ino stoi. Czego on chce? pyta się po cichu tuż siedzącego Tatarka. — Kto? Ano patrzcie, ten żołdat na ścianie. Ale na ścianie już jest namalowana wieś kościelna Sierbienice: staw, chałupy, gęsi nad stawem i drzewa po sadach, a na niebie obłoki. Na samym przodku stoi z motyką w rękach Orawiec, naczelnik sierbienickiej bojówki, idzie musi do kartofli.

Albo to Orawiec, albo też jego portret malowany. Dziwy! Portret się rusza. Przyłożył Orawiec dłoń do czoła, jakby od blasku i patrzy na zagrodę, gdzie siedzą jego chłopcy. Popatrzył na dół popod siebie — na tych sędziów... Sięgnął za pazuchę, wyjął maszynę, wygibnął się za futrynę, zmierzył nisko pod siebie i strzyla, ino cicho, nie słyhać nic.

Trafił w pierwszego tego, co właśnie gadał — oficera, stojącego z boku za swoim stolikiem, potem w tego grubego, co pośrodku za głównym stołem siedział, potem...

Obudził się Wojtek z tej wielkiej radości. Obudził się, posiedział i zmówił pacierz za duszę towarzysza, bo przy nim go ustrzelił na miejscu z karabinka kozak, co strzylał leżący za swoim zabitym koniem i dostępu do siebie nie dawał.

— Oj, spanie, spanie... Niech się to śni, co samo chce, byle nie myśleć, byle się nie trapić.

Było strapienie, bo żal było baby, dzieci, gospodarstwa. Było strapienie, bo wszystko to było za dziwne na ludzką głowę. Lżej by było z towarzyszami, jak to było siedzieli razem bez trzy miesiące. Jeszcze ich raz zobaczy, poprowadzą ich pewnie razem, tak będzie lepiej.

Gryzło i najbardziej to, że tak krótko w tej robocie był, że tak mało zrobił. Żeby on wiedział, że to będzie tak zaraz... Ani jeden strażnik nie ostałby się w całym powiecie.

Na pociechę mu było, że wojował, że się niczego nie bał, że za wszystkich stanął w obronie i że go powieszają jako bojowca, czyli tak, jak tylu dobrych towarzyszy, o których w gazecie partyjnej stało pożałowanie i pochwała w czarnej ramce. Śmierci się nie bał i niczego się nie bał. Tylko go męczyło niezwyčajne myślenie.

Spał sobie dnia czwartego pod sam wieczór. Kiedy się ocknął, było prawie ciemno, bo nie przyniósł jeszcze żołdat lampki. Wydało mu się, że ktoś na stolku siedzi, pali papierosa. Żarzy się w ciemności papieros i oświeca odrobinę czyjąś gębę. Jak we śnie.

Zmacał się Kiełza i czuje, że nie śpi.

— A któż tu jest? — spytał, jeszcze niepewny, czy mu ten odpowie.

— To ja.

— A jaki?

<sup>48</sup>попасть (gw., z ros. *nonacmb*) — trafić, wcelować. [przypis edytorski]

— Tu mnie do was przesadzili na pobyt do jutra. Miejsca nie ma, bo nowych przywieźli.

— A jutro cóż? — spytał Kielza, a zimno mu przeszło po skórze, bo samemu źle, ale z takim, go go jutro mają tracić, jeszcze straszniej.

— Jutro mnie wypuszczą.

— Patrzajcie!

Ogromnie się czegoś ucieszył Kielza.

— A z czyjej wy partii? Czyli też was zawadzili niesłusznie?

Zamiast odpowiedzi nieznajomy zaczął gwizdać.

Kiedy przynieśli światło, zobaczył młodego chłopaka lat około dziewiętnastu, w obdartym ubraniu. Włosy miał długie, zapuszczone, a oczy wielkie, jasne, jarzące i patrzące prosto a niewinnie, jak u dużego dziecka. Kielza nigdy jeszcze nie widział u człowieka takich oczów.

— Wy z miasta, ze wsi?

— Ja ze świata, bywam tu i owdzie.

— Musi was wygnębili dranie niezgorzej, mało na was sadła, chcecie jeść? Mam kielbasę i syr — jak dadzą herbatę, podjedzcie sobie do woli.

— Dobrze, zjem, dziękuję.

— Gdzieście siedzieli? Bo my, póki byli razem, pukalim na wszystkie strony, mało kogo ze starych nie znam.

— Ja na górze od Wisły.

— A z kim?

— A z tymi, co ich już nie ma. Siedzielim we trzech. Dziś w nocy dwu zabrali i powiesili. To i byli moje towarzysze...

— Pch! — westchnął Kielza. — To niechybnie z naszej partii, bo innych nie tracą. To my swoi.

— Chyba nie.

— Ja bojowiec z Polskiej Partii. We wtorek mnie sądziły na śmierć.

— To znaczy, że was powieszą jutro w nocy albo pojutrze...

— Tak i ja myślę — odrzekł Kielza urażony, że chłopaczyna nawet się nie zdziwił i gada, jak o rzeczy zwyczajnej, o cudzej śmierci. I pomyślał sobie: bandyta jest, ino jakiś na bandytę za dziwny. I wymowę ma osobliwą...

— Wyście Polak, bo gadacie jakby niezwyczajni po naszymu?

— Ani Polak, ani żaden inny. Człowiek jestem, a urodziłem się w Warszawie. Potem w Ameryce byłem lat kilka i po innych krajach, gdzie się nie gada po polsku.

— No, no... A w Ameryce dobrze naszym?

— Jak komu. Jedna krzywda na całym świecie.

— Ameryka bogaty kraj, wolny, każdy robi, co chce...

— Każdy, kto bogaty, jak i u nas...

— To jest tylko takie gadanie. Tam carskiego rządu nie ma, ino republika...

— Tam pieniądże rządzą.

— Pieniądz wszędzie górą, ale sprawiedliwość, szkoły, sądy, wolne głosowanie, gruntów wolnych dużo...

— Tam każdego kupi i każdy się sprzeda. I ten, co głosuje, i ten poseł, i ten prezydent, i ci, co socjalistami rządzą.

— To jest łgarstwo. Socjaliści-posła nikt jeszcze nie podkupił. I ja nie na wszystko ciemny, choćem za granicą nie bywałem. Głupstwa gadacie. Jakbyście socjalistów znali, tobyście wiedzieli...

— A skąd wiecie, co ja znam?

— Ja uważam, że niewiele, bo kto na socjalistów szczeła, ten albo ciemny, albo z burżują, ze szlachtą trzyma.

— Jak was nauczyli, tak gadacie. Są i lepsi od socjalistów. Tacy, co naprawdę dobra chcą dla ludu roboczego i co naprawdę cały świat przerobią.

— No — no... Mądry wy bardzo, powiedzcie i mnie, kto to taki — dla nauki mnie głupiego.

— Nie chce mi się gęby psuć. Na co się zda was douczać, kiedy was już jutro nie będzie?...

— Prawda i to, co mi z tego?  
 Kielza położył się na nowo na łóżku, odwrócił się do ściany i zasnął.  
 Obudził go nowy towarzysz.  
 — Wstawajcie, będziemy jeść.  
 — Mnie się ta jeść nie chce. Jedzcie sami na zdrowie. Po co mi jest jedzenie. Ja już trup.

— Dziwny człowiek! Powieszają go jutro, a może dopiero pojutrze, a on już nie chce jeść. Wstyd!  
 Na to słowo wstał Kielza z łóżka, ale był zły. Diabli komu do niego.  
 Jedli do syta, bo kobita przywiozła przed samym sądem sześć kielbas i dwa wielkie, podsuszone syry. Młodziak zajał, jakby go głodzili od roku. Kielza był temu rad i jedzenia nie żałował.

— A gdzie są wasze rzeczy? Czemu za wami nie przynieśli?  
 — Ja nie mam rzeczy. Ja nie burżuj albo socjalista, żeby za sobą kufarki wozić.  
 — A któż wy jesteście?  
 — Ja? Człowiek jestem! Jużem wam to mówił.  
 — Każdy jest człowiek.  
 — Oho!  
 — A za co siedzicie? Za co waszych powiesili?  
 — Za to, żeśmy chcieli prawdy. To grunt. A tamci poszli na stryk za zabicie i rabunek kupca Żyda na szosie, za zabójstwo dwu oficerów i za zabranie pieniędzy z monopolu. To wszystko, co się wydało. A mnie nic nie „dokazali”, a towarzysze powiedzieli, że mnie nie znają. Udawałem też trochę wariata.

— To oficerów też zabija wasza partia?  
 — Nie byliśmy w żadnej partii. My nikogo specjalnie nie zabijamy, tylko jak nam kto przeszkadza.  
 — Wedle czego jak przeszkadza?  
 — Jak przeszkadza żyć. Każdy ma prawo żyć. Ot, na przykład, idzie ten człowiek głodny, wchodzi do sklepu, przywita się i weźmie sobie choćby kielbasę. Rzeźnik woła: płac! A ja jemu: nie, głodny jestem, więc biorę. On mnie za łeb, a ja go po łbie. Narobią krzyku, przyjdzie policja, a my do policji. To jest proste. Jakby tak wszyscy robili, toby się wnet świat naprawił.

— No, z głodu niech ta będzie. Ale na tego kupca po co było?  
 — Kupiec miał przy sobie duże pieniądze, myśmy to zawczasu wiedzieli. Uradziliśmy za te pieniądze rok przeżyć we trzech spokojnie, bośmy się już zanadto zmordowali.  
 — Spokojnie? Jakże to?...  
 — Tak, jak ludzie żyją. Burżujowi wolno nic nie robić całe życie od małego dziecka, a człowiekowi ani nawet jednego roku? My chcieli jechać do Wiednia odpocząć i wydać taką książkę agitacyjną. Tam mamy swojego towarzysza pisarza i paru znajomych.

— I zabraliście te pieniądze?  
 — Cztery tysiące osiemset rubli.  
 — Oj oj oj!  
 — Kupiec nas znał, bośmy już raz do niego chodzili, żeby oddał polubownie. Trza go było zabić, boby nas wydał.

— No, no. I cóż wyście z takimi pieniędzmi robili?  
 Straszna ciekawość zdjęła Wojtkę, jak do tej niezwykłej bajki, kiedy był jeszcze mały.  
 — A nie udało się tak zrobić, jakeśmy chcieli. Najpierw wpadł jeden ze swoją częścią. Pobili go, zamknęli, a pieniądze zabrał naczelnik straży ziemskiej. Podjął się Żydek jeden za pięćdziesiąt rubli zanieść list do naczelnika. Napisałem, żeby więźnia uwolnił, za co pięćset rubli ma prawo zatrzymać, a resztę niech oddaje, bo inaczej śmierć. Zgodził się, wypuścił i już mieliśmy iść dalej znowu we trzech, kiedy powiada ten wypuszczony, że dostał tylko dwieście rubli z tego wszystkiego, choć mu się należało przeszło tysiąc. Zabiliśmy naczelnika, ale pieniądze przepadły. Postrzeliliśmy jeszcze dwu strażników, bo nam nie dali odejść spokojnie. Idziemy raz, jest takie miasteczko małe, żydowskie — jeszcze się dymilo, bo całkiem było spalone. Bieda, nędza, płacz, pod gołym niebem wszystko siedzi. Rozdaliśmy te pieniądze, zostało się nam koło stu rubli.

Wojtek nic nie rozumiał.

— To wy tak z miłosierdzia? Czy za pokutę?

A pomyślał sobie: wszystko szczeniak łże.

— O co wam idzie? Za jaką pokutę? Ludzie byli w potrzebie, tośmy rozdali. Przy tym rozdzielaniu było krzyku, tłoku, jak to Żydy. Zobaczyły, że rozdajemy pieniądze, to się mało nie potratowały na śmierć. A na ten czas jedzie na koniach dwu oficerów i dwie damy na spacer — oglądać pogorzelnisko. Tam artyleria stała o wiorst dziesięć. My im spacerować nie przeszkadzali. Przystanęli i patrzą. Widzą wielkie pieniądze. Wszyscy trzymali w rękach papierki, a my rozdajemy.

— Co za jedni?

— Ludzie — odpowiadamy.

— Wy z partii? A skąd pieniądze? A paszporty? Ruki wwierch!<sup>49</sup>

Czego głupi chcieli? Wyjma jeden rewolwer. Postrzeliliśmy obu na śmierć. Damy z koni pospadały. Obławę potem robili na nas w całej okolicy. Siedzieliśmy w lesie przez tydzień i mało co z głodu nie zmarli.

— No — i co dalej? Ino, widzicie, nie łzyjcie, bo i po co?

— Ja nigdy nie kłamię, chyba jak trzeba, a tu przecie nie mam żadnej potrzeby.

— Dla samochwalstwa inszy łże, abo i sam nie wie po co...

— Ja nie taki. Zresztą o tym pisali po gazetach...

— I przez tych oficerów wy się wsypali?

— Dwu znaleźli u chłopca. Te damy ich zaraz poznały, bo wszędzie jeździły konno za żołdatami, a ja byłem osobno. Potem mnie zabrali na stacji, stamtąd dość daleko, ałem zawczasu rewolwer porzucił, a paszport miałem w porządku. A te damy mnie nie poznały. Pokazywali nas potem wszystkim Żydom pogorzelncom, żaden się nie przyznał. Pobrali i trochę Żydów do kozy, ale puścili.

Zabawiły takie opowiadania Kielzę na dobre parę godzin. Całkiem zapomniał o swoim losie, tak już ten młodziak był niezwyčajny i te jego przygody, a najdziwniejsze z tego było to, że ani do żadnej partii nie należał, ani bandytą nie był, ani bojowcem, co na własną rękę chodzi — ino po prostu nie wiadomo kto. Rozum miał jak na młodego taki, co na wszystko odpowiedź znajdzie. Tylko nad tym można myśleć tak długo, jak się chce, a niczego człowiek nie dojdzie. Przytwierdzić mu trza było we wszystkim, choć były te jego racje całkiem do niczego niepodobne.

— A teraz, dobrze: puszcza was i co dalej?

— Nic — będę sobie żył, jak i dotychczas. Teraz pewnie pojedę znów do Ameryki jeszcze na jaki rok. Tam mam przyjaciół Włochów, z nimi głównie się zadawałem, to są robotnicy na kopalniach.

— To i wy też czasami do roboty stajecie jako robotnik?

— Na to ja nie jestem głupi. Porządny człowiek nie powinien pracować, tylko walczyć.

— No — a z czego świat będzie jeść?

— Właśnie przez to, że świat chce jeść, to ład się sam przez się zaprowadzi, byle raz wszystko obalić do gruntu.

— No, no! A za cóż wy do tej Ameryki pojedziecie? Macie gdzie pieniądze schowane?

— Ja mam wszędzie pieniądze. Wezmę sobie byle gdzie. We sklepie, na drodze...

— Z monopolów bierzcie, a tak u kogo nieładnie. Rządowe pieniądze wolno...

— Wszystko wolno! Nie rozumiecie wy tego...

— Ja rozumiem (ino bez waszej urazy). Ja wiem, że wolno, ale tylko bandytom...

— To jest tylko przezwisko „bandyta”, a w rzeczy samej... Et, co tu gadać. Wy swoje, a inny swoje. Prosty bandyta więcej pożytku przynosi, niż taki sobie socjalista, co się cudzego boi tknąć, ani tego bogatego potrącić... Socjaliści myślą, że tak właśnie dobrze, bo tak Bóg przykazał. Przesady! Ale już ludzie do rozumu przychodzą! Idzie nowy czas! Idzie wielka rewolucja i cały świat się zatrzęsie! Wszystko, co jest, będzie zburzone! Połowa ludzi wyginie — ale reszta będzie żyła szczęśliwie! Tak będzie!

Gdy to mówił, oczy mu się mieniły. Blakły i ciemniały, otwierały się w nich jakiesi głębie i patrzyły te oczy tak strasznie, że Wojtka przeszedł dreszcz.

Ale już po chwili uspokajały się oczy, patrzyły dobrze, niewinnie, całkiem po dziecinnemu, tak, że każdy by przysiągł, że muchy nie ukrzywdzi człowiek, co tak patrzy.

<sup>49</sup>*ruki wwierch* (ros. *пыку вверх*) — ręce do góry. [przypis edytorski]

Wojtek zapadł w milczenie.

Odeszła go ciekawość do młodego cudaka, przypomniał sobie swoją dolę i zapragnął gwałtownie spać. Już się układał, kiedy nagle ocuciło go niespodziewane uczucie jakiejś radości. Coś się stało dobrego, albo się też ma stać, ale zaraz. Co takiego?

Jakiś wielki kłopot spadł z głowy, znalazło się cudem jakieś wyjście z ciasnego miejsca, jak z tej pułapki. Co takiego? Tyli czas dźwigał tę troskę, a teraz ulga. No i cóż to takiego jest? Już wiedział i usiadł na łóżku.

— Posłuchajcież, człeku nieznamy, bo nie wiem, jak was zwać?...

— Moje nazwisko jest Gryziak, jeżeli to wam potrzebne.

— Na nic mi niepotrzebne wasze nazwisko, ino wy sami. Ale naprzód powiadajcie, czyli wy wiary komu dotrzymacie? Wszystko u was za nic, więc nie wiem. Jak was ktoś w godzinę śmierci o co poprosi, to czy zrobicie uczciwie? Czy dotrzymacie? U nas się mówi na honor, na słowo, na uczciwość, ale jak tu z wami?

— Jak? Gadajcie prosto, po ludzku, czego chcecie? Nigdy jeszcze nikogo nie oszukałem, chyba tego żandarma albo szpicla. Co wam zrobić? Na wolności co zrobić, do waszych pójść, czy list zanieść? Zrobię, co będzie trzeba...

— Ino to baczcie, że człowiek do was gada na tym progu śmierci!

— To mi wszystko jedno. Dla mnie tam śmierć nie znaczy nic, ani czyja, ani moja. Zrobiłbym dla żywego, zrobię dla was, jeżeli mogę.

— Cóż, pewności żadnej nie mogę mieć, ale i tak jest bez ryzyka, bo jak wy nie zrobicie, to wszystko na nic pójdzie. A oto idzie, że napisałbym przez was list do mojej baby na wieś. Tylko list bardzo tajemny!

— Dobrze, wrzucę do skrzynki, tylko dajcie mi na markę, bo nic nie mam. Za pieniądze będę się dopiero oglądał, a podczas tego może list zginąć razem ze mną.

— Taki list nie może iść na pocztę. Trzaby samemu oddać, ale tu w Warszawie, do jakiego partyjnego człowieka, albo najpierw nie wiem gdzie, a po wtóre ja bym wam nie zawierzył...

— No, to popatrzcie na mnie... Czy ja podobny do szpicla?

Wojtek wpatrzył mu się pilnie w oczy i zawołał:

— Jeżeliby taki, jak ty, zdradził, to już znaczy nie ma na świecie prawdy, tylko jeden fałsz. Ja bym wam we wszystkim zawierzył. Ino czy zechcecie pojechać, bo daleko. Tylko chyba, że wam to wszystko jedno gdzie...

— Nic mnie na miejscu nie trzyma.

— Baba was przechowa, możecie u nas wypocząć, jeść wam dadzą, powiecie, żeście mnie w ostatniej godzinie widzieli... Ino słuchajcie: listu nie ważcie się czytać. Na to przysięgnijcie!

— Nic wam nie będę przysięgał, a listu ja nieciekawym.

Gryziak położył się spać, a Wojtek na całą noc zasiadł do pisania. Trudno mu szło pisanie. Wolniusięko ustawiał kulasie przy kulasie i starał się, żeby było najkrócej, ale tyle rzeczy chciało się napisać. Myślał, przestawał pisać i znowu wracał.

Cieszył się, że baba dostanie od niego jeszcze jedno pożegnanie i trapił się, że jak to pismo ona będzie czytała, to jego już nie będzie na tym świecie. Pisał i myślał. Myślał i pisał.

Już było dobrze po północy, kiedy nareszcie skończył. Obudził Gryziaka i dał mu papier, złożony w kilkoro w małą paczuszkę i raz przy razie omotany nitką.

— Gotowy gryps? Dawajcie zaraz, schowam, bo jutro mnie mogą zaraz rano zabrać.

Podniósł z podłogi but i zaczął coś koło niego majstrować, a Wojtek baczyl pode drzwiami.

Opowiedział mu jeszcze raz Wojtek, jak ma jechać od stacji i jak trafić, żeby się nikogo nie pytać po drodze. Gadali długo po nocy. Darował mu jeszcze Wojtek koszulę i szalik na szyję i swój nowy kaszkiet, a sam wziął jego dziurawy kapelusz. Odstąpił mu dwie całe kielbasy. Gryziak brał, co mu dawano, ale ani się cieszył, ani nie dziękował i pokładli się spać.

Jeszcze spali, kiedy wszedł dyżurny podoficer.

— Gryziak, sobirajsia so wsiemi wieszczami.<sup>50</sup>

— A kiedy ja nie mam żadnych „wieszczów” — odpowiedział rozespany chłopak, przeciągając się na łóżku.

— No, no, zdziraj stąd, pókiś cały! Jeszcze ty tu będziesz niedługo, tylko już nie wyjdiesz. Wszystkich bym, co tu siedzą, wypuścił, a ciebie pierwszego bym powiesił! Ech ty, jasne oczy, cały świat oszukasz! Dalej, ruszaj się!

Wojtek zęgnął się z nim z wielkim wzruszeniem. Na wolność idzie, świat zobaczy, w Sierbienicach będzie, z moją babą będzie gadał... A chłopak był obojętny.

Chciał mu jeszcze coś powiedzieć o dzieciach, coś do jednego sąsiada przekazać, chciało mu się nawet (o dziwo) rzec, żeby i tego wiernego pieska Uduśia przygłaskał. Ale żandarm stał we drzwiach i poganiał, więc tylko podali sobie ręce.

— Jakoś nie bardzo się cieszyicie na tę wolność?

— Ja się nigdy nie cieszę, ani nie martwię...

— Niechże się wam wiedzie!

— Wszystko mi jedno.

Szczętkły zasuwy i został Wojtek Kiełza sam ze sobą. Pochodził ze trzy razy od rogu do rogu, stęknął, westchnął i uwalil się ciężko na łóżku. Przykrył się z głową kubrakiem, odwrócił się do ściany i zasnął natychmiast, zanim jeszcze zdążyły dojść do niego ciężkie myśli.

---

Niedaleko od Cytadeli do Muranowa. Gryziak pośpieszał, nie rozglądając się zupełnie, zatopiony w jakichś swoich myślach. Jak gdyby nie zauważał, że otacza go wolny świat, ludzie, ruch wielkiego miasta. Zdawało się, że zapomniał o tym, iż prawie rok spędził w odcięciu od świata. Spieszył, jak gdyby miał wykonać jakiś dawny zamiar, który był powzięty w chwili aresztowania, a który spoczywał gdzieś w utajeniu i teraz, poczuwszy swoją możliwość, ożył nagle i zażądał wykonania.

Na Muranowskiej Gryziak wszedł do jednego domu, pogadał ze stróżem, minął dwa wielkie podwórza i wszedł na małe podwóreczko, ciemne, jak dno studni, skąd po ciemnych schodach wdrapał się na czwarte piętro.

— Kto tam?

— Ten, co gryzie.

— Gryź klamkę, bo nie otworzę!

— Otwórz lepiej, bo mnie znasz, że przede mną nie uciekniesz.

— Czego chcesz?

— Po co się pytasz, kiedy wiesz.

— Ile?

— Tyle, co mi się należy.

— Nie mam w domu nic.

— To otwórz drzwi, pogadamy.

— Ale ja mam broń nabitą i nie popuszczę jej z ręki!

— I ja też... Ale głupi ty jesteś, przecież cię nie zabiję, zanim nie dostanę moich pieniędzy. To dla mnie nie interes.

— Prawda i to — tylko słuchaj, Gryziak, na słowo honoru: bez zdrady! Słowo honoru?

— Od kiedyż to sprawiłeś sobie honor?

— Głupi jesteś. Ty nic nie wiesz, że u mnie wszystko inaczej! Otwieram — tylko bez figłów! Tylko, Gryziak, bez psich żartów!

Odemknęły się drzwi z zamka i z zasuwy. Przez wąską szparę, bronioną przez dwa tęgie łańcuchy, wyjrzało jedno oko i lufa rewolweru.

— Widzisz ten interes?

— Widzę — tylko uważaj, żeby mi cierpliwości nie zabrakło i żeby mi nie poszedł, bo mnie już nie przeprosisz!

Brzękły łańcuchy, i Gryziak wszedł do ciemnej sionki, potem do małego, jasnego, porządnie umeblowanego pokoju.

---

<sup>50</sup>sobirajsia so wsiemi wieszczami (z ros. *собира́йся со всеми вещами*) — zbieraj się ze wszystkimi rzeczami. [przypis edytorski]

— Oho, urządziłeś się po burżujsku za moje pieniądze. Ale nie bój się, nic ci nie zrobię.

— Ja się nie boję, ale jeżeli ci to nie sprawi różnicy, to rozmawiajmy tak, jak teraz; proszę cię, siadaj, a ja zostanę tutaj.

Głos wychodził z drugiego pokoju przez przymknięte drzwi.

— Głupiś, ja nie mam żadnej broni, wracam prosto z X-go pawilonu, dzisiaj mnie puścili.

— No, to tak gadaj! Jak się masz — cieszę się, że cię nie powiesili.

Na progu ukazał się młody człowiek, ubrany z elegancją podlejszego gatunku, czarny, nieduży, z czarnymi baczkami. Spojrzenie miał wesołe i rozumne. Podali sobie ręce, ale w lewej gospodarz trzymał brauning dużego kalibru.

— No, gadaj, na kiedy mi oddasz pieniądze? Zaraz trzeba mi pięćdziesiąt rubli, resztę za miesiąc, bo wyjeżdżam.

— Pewnie do Ameryki? Dobrze, za miesiąc będziesz miał, ale dzisiaj — mogę tylko pięć. No, dobrze, dobrze! Dam ci już te pięćdziesiąt — dodał szybko, zobaczywszy spojrzenie Gryziaka. — A więc zgoda! Opowiadaj.

— Dawaj — zaraz!

Czarny naliczył mu dziesięć sztuk złotych, które Gryziak schował do pustej portmonetki.

— A za miesiąc — reszta!

— Tak jest.

— Zły interes zrobiłeś na moim uwolnieniu. Pewnie się spodziewałeś, że pójdę na stryk.

— Ubliżasz mi. Ani wiesz, że mnie zawdzięczasz życie.

— Co?

— Jednego mojego słowa było dość, żeby cię pogrążyć, a nie zrobiłem tego. Nie zrobiłem, bo jestem uczciwy człowiek! Przez to ty żyjesz.

— Łżesz, jak zawsze. Pisnąłbyś słowo, to pogrążyłbyś mnie, ale i siebie jeszcze lepiej.

— Nie. Mojemu słowu uwierzyliby i nic by mi nie było. Ja teraz jestem na posadzie. Służę w ochronie i mam siedemdziesiąt pięć rubli pensji — prócz kosztów i gratyfikacji...

— Niesobliwa kariera, jak dla takiego, co się odgrażał, że musi dojść do miliona.

— Poczekajże! Przed pół rokiem wstąpiłem do rewolucyjnej organizacji wojskowej. To jest sprawa, na której zrobię karierę. Wyłapię im — nie licząc różnych inteligentów — oficerów, pułkowników, może generałów... Ja nie zwyczajny „filor”. Mój naczelnik mi obiecuje, że zajdę wysoko, ale ja to wiem i bez niego.

— Nie zmańdrzałeś przez ten rok. Zawsze się spodziewasz i nigdy nic nie będziesz miał.

— Zobaczymy, czego ty się dorobisz?...

— Ja nie chcę się niczego dorobić, tylko żyć sobie, jak wolny człowiek.

— Jeszcze się ciebie trzymają te głupstwa. I ja ci powiem, że nie zmańdrzałeś przez ten rok. Ja cię, Gryziak, lubię i szanuję. Zrzeknij się tych trzystu rubli — a ja cię zaproteguję. Wkręcę cię do ochrony, a potem do partii. Będziesz kpić na obie strony — to jest dopiero zabawa! Jak spróbujesz raz, to się już nie oderwiesz. Ludzie i świat wydają się takie głupie.

— Cóż to, znowu się zabrałeś do książek? — spytał Gryziak, wskazując na półkę.

— Zawsze lubiłem wykształcenie. Ty tego nie rozumiesz, ale ja skończyłem przecie gimnazjum. Te książki — to wszystko dla „towarzyszów” ustawione, bo bywają u mnie często. Rosyjską literaturę rewolucyjną dostałem z ochrony. Pożyczam nieraz „towarzyszom”.

— Jacyż oni ludzie?

— Komiczne figury. Tym idiotom się zdaje, że świat przerobią. Co za miny, co za cnota! A głupi jeden w drugiego! Oni tyle w tej rewolucji robią, że czytają mądre książki o urzędzeniu świata i swojej cnoty pilnują. No i biorą ich jednego za długim, gołą ręką, przez tę cnotę, zanim który co zrobi! „Principy”! W gruncie to są tchórze. Nie takich trzeba na te sprawy. Takich tęgich facetów, jak są u nas, nie spotykałem.

— A jakieś się tam dostał? Wierzą ci? Nie boisz się? Niejednego już położyli partyjni.

— Człowieku! Toż mnie wprowadził ich główny działacz z Moskwy, wielka figura! Ja tam pewny aż do końca świata.

— Jakżeś zażył tę wielką figurę? Czym?

— On też służy w ochronie i, wyobraź sobie, już dziewięć lat. To jest człowiek! Tysiąc rubli na miesiąc, przejazdy, koszty, nagrody — a głównie uciecha co dnia i co godzina z tej ciężkiej głupoty ludzkiej.

— Tak, to zabawne. A nie masz stosunków wyrobionych w PPS? Tu w Warszawie? Miałbym interes...

— Widzisz — to są delikatne sprawy. Ja tam kiedyś miałem znajomych i boję się, że mnie poznają. Popsuliby mi interesy, bo tam są wiadome moje różne sprawki. A co za interes?

— List mam od jednego bojowca, co go jutro powieszają.

— Daj, przeczytamy, to musi być zabawne, co taki rycerz pisze dla potomności.

— Et, chłop zwyczajny, poczciwy, głupi. Zresztą obiecałem mu, że nie będę czytał.

— A tak ci zależy, żeby ten list doszedł?

— Zależec nie zależy, ale obiecał, a zawsze dotrzymuję. Jak komu przyobiecuję, że go utłukę, to też zawsze dotrzymam.

— Co to masz w zawiniątku?

— Dwie kielbasy. Dał mi ciepłą ręką chłopina, boby już nie nadażył sam zeżreć.

— Pewnie wiejskie, z czosnkiem i z pieprzem, aż w brzuchu zawierci. Gryziatko, bądź dobre, daj jedną! Przepadam za wiejską suchą kielbasą.

— Masz. Darowałbyś mi za to tę maszynę, niezwyčajny jestem chodzić z pustymi rękami...

— Nie mogę. Kazionna broń!

— To dawaj jeszcze dwadzieścia pięć rubli, bo muszę zaraz mieć broń. I do widzenia.

— Nie mam. Kup sobie z tamtych!

— No — no...

— Mam trochę floty, ale ta znowu partyjna, przyjdą po nią i mogę się skompromitować.

— Dawaj!

— Dwadzieścia — więcej nie mogę. Za to dostaniesz u Kaptona dobrą sztukę i zapasowy magazyn i naboje.

— To stary Kapton jeszcze wciąż handluje bronią? I w tym samym miejscu?

— Tak. W tym samym domu. Franciszkańska.

— Do widzenia! Za miesiąc żeby flota była!

— No, żebyś aby ty się stawił. Pilnuj się, chłopcze, teraz już ciężko, nie te czasy.

— Mnie będzie zawsze lekko...

Gdy wychodził, zobaczył na schodach młodego, jasnowłosego człowieka, dźwigającego z trudem dwa kosze. Zaczekał, żeby się wyminąć. Nieznajomy patrzył na niego dobrym, otwartym spojrzeniem i uśmiechał się poczciwie.

— Miłosti prosim<sup>51</sup>, Iwan Arkadiewicz — witał go Czarny. — Jak to dobrze, żeście zdążyli. Pewności głodni z drogi, jak zawsze? A ja mam właśnie fajną polską kielbasę. „Wypijem i zakusim”.<sup>52</sup> Do widzenia, drogi chłopcze — zwrócił się do Gryziaka po polsku, a gdy nowy gość wchodził już we drzwi ze swymi koszykami, Czarny mrugnął na Gryziaka i po łobuzowsku zerknął za wchodzącym „towarzyszem”, jakby chciał powiedzieć: „masz go, głupiego”.

Gryziak zapuścił się w ulicę Franciszkańską i w jednej z kolosalnych kamienic, gdzieś głęboko w tajemniczych podwórzach, wyszukał swojego starego dostawcę. Wybrał sobie sztukę odpowiednią, założył magazyn i poszedł w stronę miasta. Gdy przechodził przez ogród Krasieńskich, stanęło mu przed oczami dobroduszne spojrzenie „towarzysza”, dźwigającego kosze z bibułą po schodach. Uśmiechnął się i zawrócił.

Kiedy zastukał do drzwi przyjaciela, ten otworzył mu z gębą pełną kielbasy, był zarumieniony i ożywiony, znać było, że jest już po paru kieliszkach. Czarny zrobił minę zdziwioną i niezadowoloną. W tę zdziwioną minę Gryziak wypalił mu raz i drugi i spokojnie zeszedł ze schodów. Był zadowolony.

— Dobrze bije, ostrzelana sztuka — myślał, zakładając broń za spodnie na brzuchu i zapiął szelknie kurtkę. Przeszedł przez podwórze, wyszedł na ulicę i utonął w tłumie.

<sup>51</sup>*miłosti prosim* (ros. *милости прошим*) — tu: zapraszam serdecznie. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*wypijem i zakusim* (ros. *выпьем и закусим*) — wypijemy i zakąsimy. [przypis edytorski]



Tu spostrzegł dopiero, że jest naprawdę na wolności. Owiąło go tłumne życie ludzkie, zgiełk uliczny, łoskot dorożek i wozów odurzał go i napawał szczęściem. Chciało mu się śpiewać, śmiać i dużo gadać.

Ale nie miał z kim.

I po raz pierwszy pożałował dopiero swoich towarzyszy. Dopiero teraz obejrzał się, że ich nie ma. Odurzyły go wrażenia ostatnich dni. Przedwczoraj o świcie wyprowadzili ich. Poszli z fantazją, wesoło i z papierosem w zębach na tę śmierć. Poszli i już ich nigdy nie zobaczy. Takich już nie będzie miał nigdy — takich dwu już się nie trafi...

Było ich trzech, ale stanowili jakby jednego człowieka. Każdy z nich miał w sobie coś bardzo potrzebnego dla kompanii. „Owca” był siłacz i umiał gadać z chłopami i Żydami, „Frajerek” umiał grać rolę inteligenta i znał dobrze życie partyjne, on też potrafił nosić eleganckie ubranie i znaleźć się w burżujskim towarzystwie, jak równy. Był wyszczekany, przystojny i mógł mieć zupełnie przyzwoite utrzymanie z samych składek na cele rewolucyjne, na wybory, na samoobronę, na narodową demokrację, na Macierz, na budowę nowych kościołów. Wszystko robił swojego czasu, a jednak nie sfilistrzał i zawsze dążył do prawdy. Kiedy się zeszedli we trzech przy jakiejś okazji, od razu przyrosli do siebie, jakby na siebie przez całe życie czekali. Dobre było to ich wspólne pożycie, choć trwało niecały rok.

Lubił kiedyś Gryziak nade wszystko swoją samotność i to, że nikogo na świecie nie potrzebuje. Ale poznawszy raz, co to prawdziwa przyjaźń, już zawsze będzie tęsknił do swojego człowieka. To jest źle — mówił sobie — to nierozumnie, ale nie mógł opanować naglej tęsknoty. To, co odczuwał, dziwiło go i męczyło, bo nigdy nic podobnego nie doświadczał.

Napadła go gwałtowna złość do wszystkich ludzi, a zwłaszcza do tych, przez których zginęli tamci dwaj. Zaprażył zemsty, ale w kogo bić? W tych sędziów wojennych, których nazwiska znał, których pamiętał twarze i bez trudu mógł wynaleźć? Równie dobrze mógł się mścić na tych żołdactwach czy katach, co ich powiesili. Równie dobrze można było pojechać i podpalić, jeżeli się już odbudowało, to żydowskie miasteczko i pogrzyźć Żydów, przez których wszyscy wpadli...

Chodziło koło niego dużo Żydów, przechadzały się patrole z policją, napotykali się oficerowie, urzędnicy w czapkach z gwiazdkami — ot, wybrać sobie coś z tego i dać folgę zemście za krzywdę towarzyszy! Ale równie dobrze miał rację strzelić przez okno do kupca w sklepie, do bogatego pana, rozpartego w powozie, do tej nędzarki, co sprzedaje ciastka na ulicy i która gotowa na wszystko, żeby tylko wyprzedać co dzień swój towar, do tego głupiego furmana, który ćwiczy bez litości konia, obciążonego ponad siły...

Wszyscy byli winni, wszystko było winne zguby dwu dobrych towarzyszy. Albo wszyscy są winni, albo nikt nie jest winien — cały świat sztamą ze sobą trzymając przeciwko prawdzie. Opasały Gryziaka zewsząd: ludzka krzywda i piekielna złość świata. Wszystko, na co spojrział, było mu nienawistne. Każdy obcy człowiek był gotów zgubić go w każdej chwili i z czystym sumieniem: czy ten policjant, czy ten przechodzący pan, czy ten robotnik-socjalista, któremu też zawadza w tych jego planach na urządzenie świata. Tylko policjant zabierze go do cyrkułu, a stamtąd wyprawi na sąd, obcy pan doniesie na niego i będzie się radował, że zbrodniarz będzie ukarany, a robotnik-socjalista strzeli mu po prostu w łeb, jak temu psu wściekłemu, z którym jest tylko kłopot w tej ich socjalistycznej rewolucji. Samo zło, wszędzie zło...

Stała mu w pamięci, jakby przed samymi oczami, jedna chwila z dawniejszego życia.

...Stał na olbrzymim moście, wiszącym wysoko nad odnogą morską i nad kolosalnym miastem. W jedną stronę siedł ocean, zamykający się gdzieś wysoką linią horyzontu — w drugą ciągnęły się bez granic domy, kominy fabryczne, dachy — jedną, nieprzerwaną jak morze, zwartą masą, z której to tu, to tam wyrastały aż pod niebo poczwarne kadłuby trzydziestopiętrowych kamienic.

Zbliżał się wieczór — ocean z zielonego stał się szary, a miasto zaczynało już tonąć w dymach i mgłach. Tu i owdzie zapalały się światła, znacząc niezmierzone odległości

w tym zbiorowisku ludzkich siedzib. Pod nogami przepaść, a na samym dole snują się okręty z kolorowymi latarniami, krążą małe, zwinne parowczyki, tkwią ciężko w wodzie kolosalne budowle pakiebotów transatlantycznych, które zwożą z całego świata nędzę ludzką do tej Ameryki, gdzie jest wolność, grunt za darmo i wielkie zarobki. Tłumy roją się na wybrzeżu portowym. Dymią lokomotywy i windy, zieją dymem i parą olbrzymie statki.

W jednej chwili zapaliły się w dole nieskończone sznury światel elektrycznych na wybrzeżach, na tamach.

Zabłyły białym światłem oszklone hale, składy, biura... Nad czarnym miastem stała już ponura, ciemno-purpurowa luna. Bielily się martwym połyskiem niezliczone okna domów-wież i panowały w górze, patrząc bezczelnie i okrutnie na świat, spoczywający u ich stóp. Roje wielkich napisów z ognia, stojących na dachach, kolosalnymi literami obwieszczały światu panowanie pieniądza i obnażały bezwstydnie swoją przemoc i żądze zysku.

W ciszy i zgrozie stał przed nim okropny obraz świata. I pojął samotny, opuszczony chłopak swoje nieprawdopodobne koleje i wszystkie swoje niezliczone krzywdy. Ogarnął i wchłonął w siebie raz na zawsze utajony, prawdziwy sens świata. Jak gdyby ktoś roztworzył przed nim wielką księgę, gdzie wielkimi literami, w prostych i dla każdego zrozumiałych słowach wypisana była zabójcza prawda życia i spraw ludzkich.

Nad tą rozwartą, żyjącą księgą stał głodny i sponiewierany chłopak, bez grosza w kieszeni, bez domu i jednej duszy znajomej wśród tych milionów zajętych sobą ludzi. W ciszy i zgrozie stał przed nim obnażony i okrutny świat i nie mogły się od niego oderwać zdumione oczy. Było wszystko jak niewiarygodny jakiś sen. Ten obraz wytrwał się w mózgu i utrwał się raz na zawsze. Nigdy o nim nie zapomni człowiek, który go raz ujrział. Zawsze i na wszystko będzie patrzył przez ten obraz, jak przez malowaną szybę. Przeinaczy się w nim i spotwornieje pojęcie złego i dobrego i każde ludzkie uczucie, i każde ludzkie pragnienie, utraci swoją wartość życia, i nic nie będzie znaczyła śmierć...

Pamiętał, że w jakiejś chwili spostrzegł, że drga pod nim ziemia. Przypomniał sobie, że stoi na moście, że z tego mostu patrzy, że on żyje, że żyją obok niego ludzie. I w jednej chwili ogarnął go ogłuszający łoskot życia. Turkot wozów, ryki samochodów, przeraźliwe sygnały parowozów i statków, zgrzytanie wind i wieloraki, głuchy i nie milknący gwar ludzki: gorączkowe rozmowy, krzyki, śmiechy, jęki, nawoływania, westchnienia, rozkazy, przekleństwa...

— To tak? A więc to tak?

Tak zdumiewa się zawsze człowiek, który w jakiejś godzinie życia odgadnie w otaczającym go codziennym dniu jego prawdziwą tajemnicę i pozna tę jedyną — *swoją* prawdę...

Tę chwilę wspomnił sobie Gryziak i przypomniał sobie wszystko, co było potem, aż do chwili, kiedy o świtanu obudził się i ujrział w celi żołdatów. Kpinkowali towarzysze, ale zbierali się szybko. Chcieli mu jeszcze coś powiedzieć, i on chciał powiedzieć, ale tak jakoś im zeszło. Zapalili papierosy, wsadzili czapki na bakier i poszli.

Niech no by go kto teraz potrącił na ulicy, niechby mu kto powiedział co niemiłego... Niech no by go spytał o paszport ten przechodzący patrol...

Z dziką żądzą czekał na jakąś zaczepkę, na byle powód. Ale wszystko zajęte było sobą. Spojrzał na niego raz i drugi strażnik i obejrzał się na żołnierzy. Spojrzał jeszcze raz, ale Gryziak odpowiedział mu takim spojrzaniem, że policjant odwrócił się do niego plecami i zaczął tarmosić jakąś Żydówkę, która rozsiadła się na chodniku ze swoim kramem.

Nie wiadomo po co wlaź w jakieś podwórze i przystanął. Wychudzony pies z oblaźłą sierścią wspinał się do zamkniętego śmietnika i na próżno starał się podważyć pokrywę. Rozglądał się niespokojnie nabiegłymi krwią oczami i szturmował zawzięcie.

Każde cierpienie ludzkie byłoby mu teraz przyjemne, ale nie mógł znieść tej psiej nędzy. Ułamał kawałek kielbasy, którą wciąż nosił pod pachą w papierze i rzucił psu. Potem rzucił po raz drugi, trzeci, aż do końca. Pies polykał, nie gryząc. Wreszcie chłopak wyrwał się ze swego zamyślenia i poszedł dalej. Nic mu się nie chciało, ale siłą woli zmuszał się do jakichś planów. Trzeba było coś zrobić.

Spostrzegł, że jest obdarty i że zwraca na siebie uwagę. Poszedł więc na Wałówkę i wybrał sobie przyzwoity używany garnitur, paltot, długie buty, na miejscu się przebrał, a stare swoje rzeczy sprzedał hurtem za dwa złote. Na Wałówce spostrzegł, że jego pies

Samotność, Miasto,  
Wiedza, Obraz świata

idzie za nim i czeka przed każdym sklepem, jak na swojego pana. To mu się niezmiernie spodobało i pogłaskał psa.

Przebrawszy się, poszedł przejść się po Warszawie. Nie miał jednak w głowie żadnych chęci ani planów. Pies szedł za nim wciąż.

Gryziak czuł się zupełnie wykończonym. Miał wrażenie, jak gdyby mu zabrakło powietrza do oddychania. Nie wiedział zupełnie, co ze sobą począć. Przystawał przed sklepami i szedł dalej, zbaczając w rozmaite ulice bez żadnego celu i wracał. Pies włókł się za nim krok w krok. Tak błądzili po mieście ze dwie godziny.

Wciąż była koło niego pustka. Nigdy nie doznawał nic podobnego. Gdzie się podziela zawzięta, nienasycona ochota do życia, która paliła się w nim zawsze i wszędzie i pchała do przygód, do niebezpieczeństwa? Urwała się namiętna ciekawość, która kazała mu mierzyć świat wzdłuż i w poprzek, poznawać mnóstwo dziwnych ludzi, zaglądać w oblicze śmierci i na tysiąc sposobów próbować swojej tężyzny. Nie chciało mu się nic — dusiła go nuda. Kazał sobie myśleć: za trzy dni muszę wyjechać, trzeba się obejrzyć za pieniędzmi. Ale wiedział, że nie ruszy palcem. Myślał — muszę jechać, a nie chciało mu się zupełnie wyjeżdżać. — Po co jadę? — pytał. — A po co zostanę?

Ogarnęło go dziwnie jasne i świadome przeczucie jakiejś nieogarnionej nicości.

— To musi być tak samo, jak człowiek już nie żyje. To przyjemne...

— A po co ja mam żyć?!

Ta szybka myśl zdusiła go w na wpół bolesnym, na wpół rozkosznym dreszczu. Potwórzyła się niezapomniana, straszliwie rozkoszna chwila, którą miał już raz w życiu. Kiedyś, dawno, jeszcze w Ameryce, kiedy to po raz pierwszy odważył się zamordować człowieka.

— Ano — ano...

Gryziak nigdy nie namyślał się długo. Bez namysłu mordował ludzi, bez namysłu trwonil zrabowane pieniądze, bez namysłu puszczał się tylekroć razy na najrzyzowniejsze kawały. Zawsze był gotów, bo całe jego życie składało się z chwil i zachceń.

Już wydobył broń zza pasa, kiedy zdjął go nagły wstyd.

Nie wiadomo skąd wziął się teraz ten wstyd, kiedy znikło już wszystko. Podziela się i złość ku ludziom, i żądza krwi i prawdy, i wiara w naprawę świata, i pamięć o kolejach życia, i wszelkie pragnienia. Pozostał jeno ów kawalerski ambit, jedyny punkt honoru straconego człowieka.

— Nie, Gryziak, nie po burżujsku!

Pogłaskał jeszcze psa, który patrzył mu w oczy rozumnie i poważnie, jak gdyby już wiedział o wszystkim.

— Chodź, piesku, choć zobaczyć, jak po raz ostatni spaceruje po świecie Gryziak, wolny człowiek, którego towarzysze nazywali „ten, co gryzie”!

Przystanął na rogu Bielańskiej i czekał: spodobał mu się jeden elegancki pan, który jechał dorożką na gumach ze wspaniałymi walizkami z żółtej skóry. Jechał z dworca, rozparty wygodnie, z pysznym pudlem na kolanach. Gryziak zmierzył i strzelił — nie trafił. Poprawił jeszcze raz, ale elegancki pan, obejrawszy się na huk wystrzału, zobaczył, że celują do niego i instynktownie przypadł głową do kolan.

Naokoło uczyniła się pustka. Ludzie wpadali do bram i uciekali na wszystkie strony.

Gryziak już widział patrol — czterech żołnierzy, biegnących z policjantami. Wyszedł na środek ulicy i wziął się pod boki. — Ruki wwiech! — krzyknął pierwszy policjant, gruby, szpakowaty chłop, mierząc w niego z rewolweru, i w te same chwile padł twarzą do ziemi. Gryziak strzelił jeszcze raz — trafił w żołnierza, który upuścił karabin, ale ustał na nogach. Reszta żołnierzy, jak na komendę, przypadła na jedno kolano i zaczęła się strzelanina.

Oprócz „bandyty” padł jeszcze na miejscu Lejzor Skala, dorożkarz, „ojciec siedmiorga dzieci, zamieszkały przy ulicy Nowolipie 63”, oraz została ciężko ranioną Felicją Ćwikler, „kapitalistka z Jędrzejowa, która zaledwie przed półgodziną przybyła do Warszawy, którą odwiedzała po raz pierwszy w życiu i wyszła była z Hotelu Polskiego, gdzie się zatrzymała w celu obejrzenia miasta”. Tak zapisały ten wypadek pisma wieczorne.

O osobie Gryziaka dodano, że był to jeden z najbardziej niebezpiecznych bandytów, że („jak nas zapewniam”) jeszcze niedawno odgrywał on wybitną rolę w jednej z partii skrajnych, która ponosi zatem całkowitą odpowiedzialność itd., itd.

Elegancki pan, do którego strzelano na Bielańskiej, był to zamożny obywatel z Lubelskiego, który w jednym z dzienników wieczornych stał się ofiarą terroru strajkowego, w co sam uwierzył, zważywszy, że miał on nieostrożność wezwać pomocy wojska podczas strajku rolnego na wiosnę. Przybył do Warszawy w celu spokojnego spędzenia tygodnia przy niejakiej M-lle Andouillette, której wynajmował mieszkanie przy ulicy Szopena, ale po nocy, spędzonej bezsennie, nie wychyliwszy nosa z hotelu, w zamkniętej karecie pojechał na poranny pociąg i uciekł przed zemstą rewolucjonistów aż za granicę, gdzie sądzonym mu było spędzić długie miesiące.

---

Mniejsza jednak o to, albowiem nasze opowiadanie i tak już od dawna zagubiło swój wątek. Była to bowiem jeno puszcza z lanego żelaza, z pokrywą wkręcaną na śrubie... Nic więcej...

Jak odszukać ten drobny przedmiot na szerokim świecie? Jak tu do niego wrócić przez gęstwinę ludzi i wypadków?

W owych czasach w wirze rozkołysanego życia ginęły rzeczy nierównie większe i znikły bez śladu. Ginęła wiara, ginęły nadzieje...

Na próżno szukali ich wszędzie zapalczywi ludzie, na próżno wmawiali w siebie i w drugich, że wszystko idzie, jak szło, że nic się nie zmieniło, że „fala wzbiera”, że nie dalej jak jutro mogą zająć wypadki, które zrealizują i podsumują ostatecznie wszystko, co zostało dokonane przez siły rewolucyjne...

Co dzień od paru lat chwał się carat, codziennie od paru lat leciał z niego gruz na głowy szturmujących tłumów, ale runąć jakoś nie chciał. Tedy jaki taki wziął i odstąpił. Inny powiedział sobie: poczekam, popatrzę. Jeszcze inny plunął i zaklął: „oszukano mnie!” Inny powiedział sobie filozoficznie: „klapa”. Jedni mówili, że za dużo było strajków, inni, że jeszcze, niestety, za mało. Jedni mówili, że za mało było bomb i brauningów, inni, że, niestety, za dużo. Jedni wołali: „dość ofiar”, inni wzywali w tym samym czasie: „unurzajmy się we krwi!”

A na morze ludowe zesłała godzina odpływu. Próżne były wysiłki ludzi mocnych. Odchodziło morze od brzegu, poniechało zajadłej swojej pracy, wracało do dawnej granicy.

Kiedyś powróci — znowu o swojej godzinie, w nowym jakimś pokoleniu.

Tymczasem było coraz gorzej. Podupadły na siłach potężne partie — zdziśiatkowane były masy przez potworne aresztowania, zabrakło bohaterów, bo wygarnęła ich śmierć. Dusili się ludzie z ciasnoty po wszystkich więzieniach — coraz przestronniej robiło się na robotniczych wiecach. Co tydzień odchodziły tysiączne etapy na katorgę, na Syberię, na dalekie zesłanie — a nie rodzili się na oczekaniu gotowi bojownicy. Plenila się jeno, jak robactwo na trupie, zdrada i odstępstwo. Wyginęła pierwsza linia, wyczerpywały się rezerwy... Ot i już. Co dzień było gorzej.

I co dzień było lepiej.

Wracał po trosze spokój i wszystko, co dawne, za czym już wytęskniła się dusza. Odetchnął ten przemysłowiec, i ten kupiec, i ten majster. Uchyliły się po bankach ciężkie wrotnie skarbców ogniotrwałych. Pokazała się między ludźmi ostrożna gotówka i zaczęła ją żreć całym pyskiem wyposzczony szwindelek. Ustalał się kredyt, zaczęło powracać do Warszawy „towarzystwo” i ożył handel przedmiotami zbytku, który jest sprawdzianem kultury. Raz i drugi raz pokazał się na ulicy sam generał-gubernator. Zajaśniały znowu światłem od frontu ulic okna burdelów. Zapowiadał się nareszcie prawdziwy karnawał ku uciesze szwaczek i panien na wydaniu.

I, jak Noe po dniach potopu, wyrzwał z okienka publicysta spod ciemnej gwiazdy i badał pogodę, czy już można „jechać na całego”? Czy już można „po naszymu”?

O tej to godzinie dziejowej stary nędzarz, Symcha Habergryc, pracował w swojej norze. Pracował tak od małego dziecka i zegar dziejowy mógł sobie wygrywać najrozmaitsze kuranty, a on siedział zawsze w swojej norze i zawsze jednakowo pracował od świtu do

Przemiana, Obraz świata,  
Rewolucja

nocy i zawsze jednakowo był spokojny. Była wojna — to była. Zaczęła się rewolucja — niech i tak będzie. Niczym nie groziła staremu wojna. Nic mu nie mogła ani zaszkodzić, ani dopomóc rewolucja. Raz tylko w strajki zabrakło mu chleba, którym się przeważnie żywił. Raz tylko wpadł aż do jego nory jakiś człowiek, wrzeszczący i wystraszony, a za nim paru innych, z rewolwerami. Wywlekli go na podwórze, co wszystko Symcha widział ze swojej suteryny. Nie wzruszyło go to ani zabolowało, że jakieś paskudniki zabiły drugiego paskudnika. Rewolucję robiły paskudniki, a uśmierzały ją również paskudniki. Były paskudniki polskie, żydowskie i ruskie. Uwijało się to po świecie, gdzie byli również bogaci panowie, czyste ulice, zielone drzewa, rzeki i morza, i ta Ameryka, gdzie bez śladu utonęli jego dorosły syn i córka.

A był i drugi świat — on, Symcha Habergryc, jego warsztat i tapczan. Tu przychodzili dobrzy ludzie, co mieli podarte buty — zachodzili do niego, też dobrego człowieka, a on im te buty latał. O los swój Symcha był spokojny, bo wszystkiego mogło zabraknąć, ale nigdy dziurawych butów. Klientów swoich znał, ale z nimi nie gadał, bo nie miał o czym. Oni do niego też nic nie mówili, bo stary był głuchy.

Któregoś dnia zdarzyło się podczas roboty, że spod podeszwy naprawianego kamasza wyleciał sprasowany i wybrudzony zwitek papieru. Rozwinął Symcha, papier był zapisany, ale po polsku. Odłożył go tedy, a po załatwieniu kamasza włożył tam paperek i wziął się do innej roboty. Kiedy swojego czasu przyszedł kundman<sup>53</sup>, powiedział mu o tym. Był to nieznajomy, mizerny chłopczyna o gorączkowo błyszczących oczach. Papier wziął, zapłacił i poszedł. Po drodze oglądał go na wszystkie strony i jedynie, co zrozumiał, były to trzy litery PPS, które wówczas rozumieli jeszcze wszyscy. To mu dało cośkolwiek do myślenia i papierka nie porzucił.

Po niemałych staraniach wynalazł nareszcie człowieka, godnego zaufania i umiejącego czytać po polsku. Było to aż na Granicznej, na tyłach olbrzymiego składu hurtownego. Tam w ekspedycji, między pakami, w zgiełku pracy, z daleka zobaczył swego kuzyna Ajzyka i cierpliwie czekał, aż dzienna praca będzie skończona. Ekspedytor latał z papierami, sprawdzał napisy na pakach, krzyczał na tragarzy i na furmanów, wpadał do swojej oszkłonej budki i pisał, wypadł i znowu krzyczał, nareszcie władowano ostatnie paki i chłopak zbliżył się i grzecznie pozdrowił kuzyna.

— Czego chcesz? Znowu po pieniądze? Nic nie dam. Już roztrwoniliście całe trzy ruble, które wam dałem przed dwoma miesiącami? Wynos się!

— Mama się grzecznie kłania, ale ja nie przyszedłem po pieniądze. Ja bym cię prosił, starszy bracie, żebyś mi przeczytał ten papier.

— Nie mam czasu na głupstwa! Dawaj!

Ajzyk czytał i dziwił się — wreszcie zbladł, spojrzął na chłopca dzikimi oczami i, wyciągając papier na całą długość ramienia, a odwracając oczy w drugą stronę, wykrztusił, a raczej wyszeptał, jękając się za każdym słowem.

— Podły chłopcze, bandyto, szubieniczniku! Ja ciebie nie znam, ja ciebie nigdy nie widziałem! Nie znam twojej matki, nie wiem, gdzie mieszkacie, ani jak kto z was się nazywa! Niech przepadnie taka gałgańska rodzina! Żeby mi się żadne z was na oczy nie pokazało!

I ująwszy się oburącz za głowę, lamentował: Jestem zgubiony! Jestem skazany! Wciągnęli mnie w pułapkę! Przepadłem i ja i moja rodzina! Ajaj! Ajajaj!...

Chłopczyna strapiiony zabrał paperek i czekał na jakieś wyjaśnienie. Ale kuzyn zawołał stróża, tęgiego Żyda i rozkazał głosem naczelnika:

— Bencjan, słuchaj, co mówię! Wyprowadź tego nieznajomego łobuza za bramę. Powiedz jemu, że jak się jeszcze raz pokaże, to go każę aresztować! Ty, Bencjan (jak, czego nie daj Boże, na to przyjdzie), będziesz świadczył, że ja go nie znałem i jego wyrzuciłem za drzwi! Paszoł won!

Chłopak zmartwił się takim obrotem sprawy, ale za to nabrał nadzwyczajnej ciekawości do tajemniczego dokumentu. Zaraz następnego dnia puścił się na poszukiwanie człowieka godnego zaufania i umiejącego czytać po polsku. Po długich staraniach natrafił na jednego, co umiał czytać po rosyjsku i trochę po polsku. Był to wskazany przez jednego kupca (kupiec ten nosił swój sklep w jednym koszu) tajemniczy człowiek, któ-

<sup>53</sup>kundman (daw., z niem. *Kundmann*) — klient, odbiorca. [przypis edytorski]

ry stawał zawsze na targu na Gęsiej i nic nie robił, tylko gadał ze wszystkimi wesoło i ze wszystkimi miał interesy, polegające na tym, że kramarze, rzeźnicy, piekarze i t. d. wypłacali mu małe sumy w oznaczonych terminach.

— Idź do niego — ten diabelski syn wszystko potrafi. On jest z partii — ten cię nie wyda.

Grzecznie poproszony drab wziął papier, zażądał sześciu groszy za przeczytanie, a kiedy chłopak powiedział, że nie ma, już mu chciał oddać papier z powrotem, kiedy, rzuciwszy okiem na jeden ustęp — zagłębił się w czytaniu. Czytał długo i z wielkim zainteresowaniem. Po czym zapalił papierosa, papier schował do kieszeni i oddalił się spokojnie.

— Proszę cię, oddaj mi mój papier, on mi jest bardzo potrzebny.

— Wynos się, szczeniaku, pókiś cały...

A kiedy chłopak zaczął głośno lamentować i czepiać się przywłaszczonego, drab ujął go dwoma palcami za ucho i pociągnął, aż mu coś trzasło w głowie. Chłopiec zalał się łzami i uciekł, wrzeszcząc.

Wieczorem tego dnia w oficynie pewnego domu na Ś-to Jerskiej<sup>54</sup> odbywała się sejsja tygodniowa „Komitetu Ręki Sprawiedliwości”. Każdy z przybyłych członków zdawał sprawę ze swoich czynności. „Drut” skarżył się, że nic nie mógł zebrać ze swojego rewiru, bo handlarze zrobili strajk i oświadczyli, że rewolucja się skończyła, to oni płacić nie będą. „Igła” zdał rachunek z jedenastu wizyt u bogatych ludzi, co wyniosło wszystkiego 8 rubli.

— Po coś brał? Trzeba było nie brać i zrobić tylko taką minę, i zabierać się do odchodzenia. Tak się robiło zawsze, to jeszcze prosili, żeby brać, a dawali i po sto rubli.

— Dawali, ale kiedy? Teraz nie te czasy.

„Listek” oznajmił smutną nowinę o zaarrestowaniu z bronią w rękę towarzysza „Kamienicy”. „Listek” miał lzy w oczach, opowiadając o tym wypadku. Zbili go przykładami, okrwawili, a jak poszedłem do naszego rewirowego, to łajdak nawet nie chciał gadać, choć mu obiecałem najpierw piętnaście rubli, potem pięćdziesiąt, a w końcu nawet sto! I mnie go żal, powiada, ale teraz nic nie mogę. Nie te czasy, powiada!

— Oj źle, oj źle, zgubiony nasz „Kamienica”!

— Gdzie on siedzi? — spytał „Sędzia”.

— Już „tam”.

„Sędzia” machnął ręką.

Westchnęli wszyscy nad stratą dobrego kolegi i radzili dalej. Przewodniczący, drab z targu na Gęsiej ulicy, wymyślał wszystkim za niedoleństwo, bo przy podziale wypadło na każdego po niecałe pięć rubli.

— Słyszane te rzeczy? Czy wy macie sumienie? Łajdaki z was, a nie komuniści! Co wy robicie przez cały tydzień? Niewarci jesteście należeć do porządnej organizacji!

— Ty się nie gniewaj, „Sędzia”, tylko zrozum, że nie te czasy. Teraz nie można zrobić komuny na pięćset rubli, a prócz tego obstalować na następny dzień u tego samego burżuja obiad z gęsiną i zjeść go spokojnie, a potem jeszcze tańcować. Spróbuj no sam! Na takie interesy jest za późno.

— Ja od was nie żądam po pięćset rubli, tylko żebyście pilnowali swoich małych interesów. Takie interesy powinny iść, jak zegarek!

— Zegarek też trzeba czasami nakręcić — rzekł „Stójkowy”.

— Mądre słowo! — pochwalił „Krawiec”.

— Mądra rada — zauważył „Szpilka” — ale kto jego nakręci? Broni nie mamy, ludzi do strzelania też, a tu wzięli jeszcze „Kamienicę” w taki zły czas.

— „Kamienica” by potrafił, to był porządny bojowiec, ze starych... Nas się już coraz mniej boją. Powiedzmy sobie prawdę: nas się już prawie całkiem nie boją. Nie każdy umie się tak postawić, jak „Sędzia”.

— U mnie na Grzybowskiej wyraźnie mówią: za co my mamy płacić podatek, kiedy już sześć tygodni, jak nie było żadnego napadu? Powiadają: już po rewolucji! Zmądrzały

<sup>54</sup>Ś-to Jerska — dziś popr. pisownia: Świętojerska. [przypis edytorski]

wszystkie naraz!

Milczący dotychczas „Kanarek” wystąpił z wnioskiem formalnym: urządzić w najbliższych dniach szereg napadów w różnych stronach żydowskiej dzielnicy dla ożywienia podupadającego interesu. Broń można wynająć.

Ale na to nikt jakoś nie miał prawdziwej ochoty. Takie były czasy.

Dopieroż zaczął gadać sam „Sędzia”. Właściwie nie gadał, ale krzyczał, aż dzieci, śpiące w betach pod ścianami, pobudziły się i zaczęły piszczeć, aż sparaliżowana i konająca od dziesięciu lat sędziwa matka „Krawca”, w którego mieszkaniu odbywała się narada, zaczęła jęczeć i zawodzić trupim głosem:

— Aj, złodzieje! Aj, wy zbóje! Że też was jeszcze trąd nie poraził! Że też mnie nieszczęśliwej Bóg odjął ręce i nogi! Że ja, nieszczęsna, nie mogę pójść i wydać was policji, żeby was wszystkich raz powiesili! Aj, zbóje, aj, złodzieje!

Wszyscy popuszczali oczy i siedzieli cicho, słuchając ze wstydem strasznych słów prawdy, których im nie szczędził przewodniczący.

—...Co wy jesteście za jedni? Kapcany, tchórze, kombinatorzy! Zwyczajny złodziej ma więcej honoru i odwagi, niż każdy z was! Hańbę przynosicie wielkiej sprawie! Hańba starej organizacji „Ręki sprawiedliwości”, której założenie kosztowało tyle krwi i ofiar! Na to bohaterską śmiercią zginęli: „Kot”, „Rasznik”, „Mykwa” i wielki nasz założyciel, bohater nad bohaterami, nasz kochany Luzer, żebyście wy, śmierdzące.... zarabiali na tej ich świętej pamięci i nic od siebie nie robili dla sprawy? Długo ja patrzę na was, łachmyty jedne, i nic nie mówię! Długo ja czekałem na poprawę cierpliwie, jak ten ojciec. Ale teraz niech tego będzie dosyć! Ja wiem, co każdy z was sobie myślał: on sobie myślał, że „Sędzia” też taki sam, że „Sędzia” na wszystko pozwala, że „Sędzia” już się boi wziąć do ręki brauning i że chce tylko pieniądze wyciskać z tej burżuazji i że te pieniądze on odkłada i niedługo własny interes założy. Podle tchórze! Ty się nie uśmiechaj, „Igła”, i nie myśl sobie, że to tylko gadanie dlatego, że w ten tydzień było mało obrotu! Ty, „Igła”, sobie przypomnij, co się stało w biały dzień z „Tramwajarzem”, który mnie, jako naczelnika, nie uszanował! Ty, „Koń”, wiem, co zamýślasz: ty chcesz po cichu wycofać się z interesu i założyć do spółki ze szwagrem handel za uzbierane pieniądze i za te, coś je ukradł partii, pomimo przysięgi, że będziesz wszystko oddawał do równego działu. Ale od nas się tak łatwo nie odchodzi, a jak kto tak myśli, niech sobie przypomni pewne rzeczy!

I ja wam radzę jeszcze po dobroci — przypomnijcie wy sobie, co było! Tutaj gada dzisiaj jeden za drugim: nie te czasy?! Dlaczego?

Głupie tchórze! Teraz dopiero idą dla was prawdziwe czasy! Teraz nasza rzecz pokazać światu, co znaczą komuniści! Ale wy nic nie rozumiecie. Może ty rozumiesz? Gadaj, „Stójkowy”! Dlaczego według ciebie teraz już nie można robić dużych interesów? Gadaj — ja tobie każe!

— Ty się nie gniewaj, „Sędzia”, ale wszyscy mówią, że rewolucja już skończona.

— A co to znaczy?

— To znaczy, że policja górą i że ten burżuj już się nie boi, a przez to człowiekowi się robi ciasno w tej Warszawie.

— A ty co powiesz, „Krawiec”?

— Ja nic nie wiem, ja ciebie, „Sędzia”, będę zawsze słuchał, tak jak słuchałem, ale wszystkie partie teraz przycichły, bo jest źle.

— No, to słuchajcie, głupty, co powiem. Słuchajcie i przygotujcie się do wielkich rzeczy! Co wy rozumiecie w polityce? Wasza rzecz słuchać mądrzejszego!

— Powiada jeden z drugim, że rewolucja przegrała, że partie przycichły. To jest prawda. Ale jaka rewolucja przegrała? Socjalistyczna rewolucja, polska rewolucja, ruska rewolucja, ale nie nasza. Socjaliści już się nie rozbijają, ani siedzą po więzieniach, na katordzie. Już oni nam nie będą przeszkadzać, już ich bojowcy nie będą naszych towarzyszy mordować. Co nam znaczy policja? Co policja może wiedzieć? Ale ta partia „Bund”<sup>55</sup>, czy partia

<sup>55</sup>Bund (jid. בונד: Związek) — lewicowa partia, istniejąca w latach 1897–1948 w kilku krajach europejskich, zrzeszająca Żydów o poglądach antysyjonistycznych i antyreligijnych. Pełna nazwa partii to אגמײנער ייִדישער ארבעטער בונד אין ליטע, פּױלן און רוסלאנד (*Algemeiner Jidiszer Arbeter Bund in Lite, Pojln un Rusland*), tj. Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji. [przypis edytorski]

„Pojale Syjon”<sup>56</sup>, czy te PPS — one nam nie pozwalały żyć. One miały swoich w każdej kamienicy, w każdym sklepie, w każdej fabryce, na każdym rogu ulicy. One miały swoje paskudne bojówki do zabijania ludzi. One się wypierały zawsze, że z naszymi wojują, ale kto zamordował „Okonia” przy komunie u kupca Eizenszterna? Bundowcy. Kto rozstrzelał na ulicy w biały dzień dobrego towarzysza „Niemca”? Kto zabił bez miłosierdzia „Białego” w jego własnym mieszkaniu, w oczach żony i dzieci? Te wyrodne Żydy-zaprzające z „PPS”. Kto nam patrzył na ręce? Kto nam psuł interesy? Kto wyganiał naszych z fabryk? Kto nas ogłaszał za bandytów w swoich paskudnych gazetach? Kto zaprowadził samoobronę, gorszą od policji, która naszych prześladowała, a brała w obronę burżujów? Kto zaprowadził sądy, gdzie męczyli ludzi nie gorzej od Grüna, i gdzie ty, „Krawiec”, i ty, „Drut”, dostaliście po pięćdziesiąt prętów gumowych!

Teraz z tym wszystkim koniec! Teraz porządni ludzie mają wolne ręce. Teraz nam trzeba tańcować z radości, a wy się trapiacie, jakby to był sądny dzień. Tyle razy wam już mówiłem, że jesteście głupie, ale powiem jeszcze raz: głuptasy! A kto głupi, ten niech słucha mądrzejszego!

Wydawszy jeszcze szereg rozporządzeń i nawymyślawszy jeszcze raz każdemu towarzyszowi z osobna, „Sędzia” zażądał papieru i, przy akompaniamencie wyrzekań i złorzeczeń starej paralityczki, pisał list następujący:

„Ręka sprawiedliwości” przesyła braterskie pozdrowienie „Pięciu Mężynom”. Niechaj powodzenie towarzyszy stale dobrej sprawie, a zły przypadek niech omija jej synów!

Jest dla ciebie interes, stary przyjacielu „Mostowy” — a jaki interes, to z tej kartki, którą posyłam, łatwo zrozumiesz. Rzecz jest ważna. Ale ta rzecz wam się na nic nie przyda, a nam co innego. Ty to rozumiesz, przyjacielu „Mostowy”, i zrobisz, jak ja proszę. Gdyby nie daleka droga, sam bym pojechał, albo pchnął którego z naszych. A od was tylko niecałe dwie mile — tak mi powiedzieli. Tymczasem do ciebie piszę, przyjacielu, zrób, jak trzeba i tę rzecz nam przywieź z należytą ostrożnością. Za to my tobie wypłacim gotówką rubli dwadzieścia pięć, a „Pięciu Mężnych” przyczyni się do rozkwitu „Ręki Sprawiedliwości”, która swojego czasu za własne pieniądze wykupiła z aresztu ciebie, przyjacielu „Mostowy”, półtora roku temu i dała ci całe życie i całą wolność, a dostała od waszej partii tylko połowę tego, co się nam z rachunku należało. Bądź zdrow, odpisz zaraz tam, gdzie dawniej, i niech się powodzi dobrej sprawie. Twój „Sędzia”.

---

Miasteczko Szlamowce leżało w zapadłej stronie, w lesistej i bagnistej okolicy, z daleka od kolei, i nikt w kraju nic o nim nie wiedział. Ludność była prawie wyłącznie żydowska. Był tam rejent, kasa powiatowa, straż ziemska, rynek z bagnem pośrodku, areszt powiatowy, kościół dla okolicznych parafian, był doktor powiatowy i naczelnik, a od czasu rewolucji stała rota wojska.

Miasto było bardzo starożytne. Kościół włożył w ziemię, z wywożonych śmieci utworzyła się pod miastem wielka góra, a przed kościołem stała stara, już konająca lipa, której liczono tysiąc lat! Ale historia miasta nie była jeszcze wydobyta na jaw i napisana.

Gadało się w okolicy, że kościół założył król Kazimierz Wielki, że pod Szlamowcami była bitwa za czasów Napoleońskich. Znacznik kraju, dziedzic Wywłoków Szlacheckich, twierdził, że kościół ufundował jeszcze Leszek Czarny, a bitwa była za Konfederacji barskiej.

---

<sup>56</sup>Pojale Syjon, właśc. Poalej Syjon (z hebr. פועלי ציון: Robotnicy Syjonu) — lewicowa partia, istniejąca w latach 1906–1950, zrzeszająca Żydów o poglądach syjonistycznych. Pełna nazwa partii to *Jidisze Socjalistisz-Demokratizse Arbeter Partaj „Poalej Cion”*: Żydowska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza „Poalej Syjon”. [przypis edytorski]



Rejent, mający zamiłowanie do archeologii i numizmatyki, obalał te hipotezy i uważał, że kościół wybudowany był w drugiej połowie wieku XVI, ale malowidła na ścianach, tudzież wiązania dachu pochodzą z wieku XIV. Co do bitwy — opierał się na własnych poszukiwaniach w starym kopcu, leżącym o pięć wiorst od miasta. Znalazł tam podkową, sprzączkę, dwa duże gwoździe, cztery kości goleniowe i siedem żeber, o czym napisał referat do Akademii Umiejętności w Krakowie, prosząc o zapomogę na dalsze badania. Na odpowiedź czekał już od dziesięciu lat i wszelkie poszukiwania zawiesił, pomimo to, na mocy opanowanych materiałów, które leżały w oszklonej szafce w jego kancelarii, twierdził, że bitwa miała miejsce jeszcze przed wynalezieniem prochu i broni palnej, gdyż kopał gęsto, a nigdzie nie znalazł kul, tylko kilka śrucin. Nadzorca akcyzy, pijak i przyjaciel Polaków, Sukin, twierdził, że to są kule armatnie, które, skutkiem wiekowego działania magnetyzmu ziemi i różnych procesów chemicznych, zmalowały, i że sama regularność kształtów znalezionych kulek dowodzi, że zmalowały one pod wpływem sił natury...

Dopiero podczas dni wolnościowych ruszyło się miasto i okolica. Urządzono pochód narodowy naokoło kałuży w Rynku, w którym wzięło udział obywatelstwo okoliczne pospołu z mieszczaństwem katolickim pod przewodnictwem dwunastu księży. Okrążono kałużę, śpiewając pieśni religijne i „Boże, coś Polskę”. Władze miejscowe drżały ze strachu, a Żydzi byli urażeni, że ich nie przyjęto do pochodu, natomiast rozkazano pozamykać sklepy i przerwać cały handel. Pan rejent wygłosił mowę do tłumów, w której nawoływał do spokoju, porządku i wdzięczności dla najjaśniejszego pana, jako dla króla polskiego. Surowo upominał Żydów i zakończył: „zegar historii naszej wybił wielką godzinę”. Potem księża zaprowadzili wszystkich do kościoła, gdzie odśpiewano „Te Deum” przy biciu we wszystkie dzwony. Cała uroczystość odbyła się we wzorowym porządku i w nastroju nieomal tak samo podniosłym, jak procesja Bożego Ciała. Sprawiała to wyjątkowa chwila dziejowa tudzież — brak w okolicy wszelkich żywiołów przewrotowych.

Nazajutrz miał się odbyć olbrzymi wiec pod lipą kościelną, miała być założona szkoła polska i wielka kooperatywa katolicka, która miała pożreć wszystkich kramikarzy żydowskich. Miało powstać „Towarzystwo krajoznawcze ziemi Szlamowieckiej”, „Klub obywatelski”, „Kasa wzajemnego kredytu”, „Stowarzyszenie rolnicze”, oraz wiele innych instytucji społeczno-kulturalnych. Ale nazajutrz rano przybyła rota piechoty. Rozpędzony ruch narodowy stanął na miejscu i pod wpływem znanego prawa fizycznego reakcji tudzież strachu — cofnął się jeszcze wstecz.

Żadna tedy z pomienionych instytucji nie doszła do skutku, założona za to została w Szlamowcach inna potężna kooperatywa, o jakiej nikomu się tu jeszcze nie śniło, a która, nie powołując się zresztą bynajmniej na najwyższy manifest, była jednak wytworem naturalnym wzbudzonych ówczesnych stosunków.

Pochód narodowy naokoło kałuży w Rynku przelał niejako władzę w ręce społeczeństwa, co prawda, tylko na kilka godzin. Po tych godzinach i po przybyciu roty wojska władza powróciła w prawowite ręce. Tu atoli zaszły wypadki, które zamąciły gruntownie wszelkie zasady władzy i wytworzyły stosunki trudne do sformułowania w języku prawnym.

Od niepamiętnych czasów panował w Szlamowcach naczelnik powiatu i nikt prócz niego. Obecnie rządziło tu jednak ciało zbiorowe, z którym liczyło się wszystko, począwszy od naczelnika powiatu, a skończywszy na ostatnim kramikarzu żydowskim. Mówiło się „partia”, mówiło się „oni”.

Tajemny rząd ujawniał się niezmiernie rzadko. Raz otrzymał rejent list, napisany bardzo kaligraficznie, ale ze strasznymi błędami i jeszcze straszniejszymi pogroźkami. List sprawił tym okropniejsze wrażenie, że nie było w nim żadnych wymagań, a zamiast podpisu stała trupia czaszka, pod nią skrzyżowane piszczele, a po obu stronach wielkie wykrzykniki. Taki sam list po rosyjsku dostał naczelnik straży ziemskiej i kapitan roty oraz rabin miejscowy po żydowsku.

W parę dni po takim liście, kiedy osoba zainteresowana dochodziła do wyższych stopni zdenerwowania, zjawiał się faktor miejscowy, Boim Pajchel, i po wielu wstępach i ceregielach oznajmiał, że „oni” mają zamiar nie tylko ograbić daną osobę, ale również

ją zamordować wraz z całą rodziną, że jednak sprawę można uregulować itd. Pierwszy rejent zapłacił 25 rubli okupu i wyjechał ze strachu do Warszawy, choć Boim upewniał go, że włos mu z głowy nie spadnie. Naczelnik powiatu aresztował faktora, ale gdy przyszedł doń Symcha Szter, kupiec, z którym naczelnik prowadził pewne interesy poufne, i pogadał z nim we cztery oczy, naczelnik uwolnił faktora i odtąd wypłacał regularnie co miesiąc po dziesięć rubli okupu. Naczelnik straży ziemskiej nic nie płacił, natomiast otrzymywał co miesiąc sto rubli oraz kosztowny prezent: sztukę sukna, zegarek, piękną strzelbę myśliwską, dwanaście łokci jedwabiu dla żony, pół tuzina szampana itp.

Rabin rzucił na Boima cichy „cherym”<sup>57</sup>, ale gdy z nim pogadał zacny i nabożny Szter, „cherym” zdjął i płacił aż 15 rubli miesięcznie. Kapitan załogi płacił 7 rb. 50 kop., doktor<sup>58</sup> 5 rubli, żandarm powiatowy 12. Najgrubiej opłacał się kupiec zbożowy, Icek Leder, oraz handlarz lasami, litwak, Borys Mikołajewicz Orszański. Ci płacili po 50 rubli na miesiąc i jeszcze byli radzi, bo mogli z zupełną swobodą jeździć za interesami po nocy, jak za dobrych czasów. „Oni” dotrzymywali umowy święcie, a kupiec korzenny, stary i skąpy Goldzweig, sam był winien, że zrabowano mu raz cały transport towaru, wieziony od kolei, a raz w nocy strzelono trzy razy do jego okna. Chciał on bowiem być mądrzejszym od rabina, a mężniejszym od pana kapitana. Toteż zapłacił karę, ustalił podatek miesięczny i zapłacił słony wykup za towar, który mu też w biały dzień przywieziono przed sklep i zwrócono w całości.

W okolicy operował Figiszewski, „zgonnik” czyli handlarz świńmi, oraz Ładukowski, jego szwagier, z zawodu faktor parcelacyjny. Przed rewolucją byli oni jednymi z najdzielniejszych koniokradów na całą gubernię, a obecnie jeździli parokonnym wozem po całej okolicy i przywozili gotowe pieniądze oraz rozmaite wartości w naturze, jak: słoninę, jaja, drób, zboże, kaszę, świnię karmne, cielęta... W zamian za to poręczali, że „oni” nie będą nigdy napadali na dwory, nie będą niepokoić kontrybucjentów na gościńcu i nie będą buntować służby folwarcznej ani przeszkadzać przy wyborach. Szlachta płaciła i nie za darmo, gdyż w okolicy było rzeczywiście spokojnie. Przeważnie załatwiano te transakcje w ponurym milczeniu. Hamowano bezsilną wściekłość, bo pamiętano po dworach smutny wypadek sprzed półtora roku, kiedy to pan Stachurski z Jarca nie tylko odmówił wszelkiego podatku asekuracyjnego, ale kazał wymierzyć wysłańcowi „partii” szlamowieckiej sto różeg, po czym uzbroił służbę, zaprowadził strażę nocne i z całym męstwem oczekiwał wypadków, nie odwołując się do pomocy władz rządowych.

Ale władze zjawiły się same. Przyszło pół roty wojska, otoczyło dwór i zabudowania i zrewidowano wszystko. Badano służbę, zabrano trzy dubeltówki, dwa rewolwery, tasak myśliwski, starą szablę po przodkach, kij alpejski, z którym śp. ojciec pana Stachurskiego wchodził ongiś na Jungfrau, oraz kilka dzied roboty kowalskiej, osadzonych na drążkach. Pana Stachurskiego osadzono w więzieniu gubernialnym, skąd wydostał się za grubą łapówką. Ale zanim się wydostał, dowiedział się, że pewnej nocy spalono mu cztery sterty zboża, stojące w szczerym polu. Powróciwszy, poddał się okolicznościom i zapłacił karę oraz zaległy podatek.

Jeden pan Szuba, dzierżawca z Żabiej Woli, pogodnie i jowialnie traktował te przykre sprawy.

Kiedy dawano mu znać, że „te przyjechały”, wołał delegatów do kancelarii, prosił ich siedzieć i przepijali do siebie. Szwagrowie nie opowiadali mu o przygotowującym się powstaniu, o konieczności kontrybucji, o obowiązkach obywateli, o woli ludu, ale śmiali się zupełnie i otwarcie i ze siebie, i z całego świata, puszczając złodziejskie koncepty.

— No co, złodzieje, jak wam się powodziło przez ten miesiąc?

— Zgrzeszylibyśmy, jakbyśmy się skarżyli. Idzie, wielmożny panie...

— Ej, urwisy, przyjdzie i na was pomorek. Ja was pierwszy pożałuję, boście chwackie draby.

— Niech się pan dziedzic nie niepokoi. Nic nam nie będzie. Policja jest z nami.

— To ja wiem, ale jak przyjdą prawdziwi socjaliści, z prawdziwej partii? Co?

— Tu oni żadnych interesów nie mają... Są w Sierbienicach chłopcy z PPS, są znowu w cukrowni, ale tam nie dochodzimy. A znowu nigdy my partii nie zaczepiamy, ani się

<sup>57</sup>cherym, właśc. *cherem* (hebr. חֶרֶם) — klątwa (wyraz spokrewniony z arab. *charem*: zabronione, tabu). [przypis edytorski]

<sup>58</sup>doktor — dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

nie wdajemy w politykę.

— A jakby przyjechały robić strajk?

— Toby robiły — nam nic do tego.

— A podatek za strajk to bierzecie, złodziejaszki wy kochane?...

— Podatek jest rozpisany ogólny na wszystko...

— A jak się chłopcy ruszą? Przecie oni roztrzęsą i waszych Żydów, i was. Noga z was nie ujdzie! O to się bardzo boję!...

— Jeszcze my żadnego chłopca nie ukrzywdzili. Gdzie indziej, gdzie są ludzie głupie, zastępują na gościńcu chłopom, jak z jarmarku wracają. Taki długo nie pożyje. Chłop jest zawzięty. Ale my tylko bierzem od bogatych — i dlatego my nie zbóje, ani złodzieje, tylko porządku pilnujem. A za porządek trza płacić.

— Racja! To wam się należy. Takie czasy, że złodzieje rządzą.

— Więcej od stu lat u nas złodzieje rządzą, proszę łaski pana, tylko obce, niechże choć czasem zarobią i swoje.

— Dobrze, dobrze, napij się jeszcze, Figiszewski! Wiem, żeś patriota.

— Każdy na swój sposób tę ojczyznę podbiera. Hrabia z Zawadowa jest w Radzie. Pan Pokłęski w tej Dumie, a my biedne też się staramy, jak możemy... My jedni utrzymujemy porządek w te rewolucje.

— Nie bójcie się, będzie wam kraj wdzięczny. Żeby was tak ino przed czasem co nie spotkało. Żeby tak tylko kto na was chłopów nie podbuntował!... Bo, widzicie, chłop jest ciemny. Nawali się tego do miasta, Żydów nabijają, winnych i niewinnych, a ciebie, Figiszewski, urzędzą po chłopsku, powieszą cię na płocie za... i ciebie, Ładukowski, też za... Pijcie, szwagierki, lubię was za fantazję!

— Dziękuję wielmożnemu panu za dobre słowo! Ale nas niespodzianie nikt nie weźmie. Zawsze będziemy wiedzieli, kiedy czas jechać do ciepłych krajów.

— I macie za co?

— Trochę ta się uścibało — trza to powiedzieć.

— Tylko wam mogą wejść w drogę insi. Chodzi jakaś banda koło wywrotni, może i tu zawadzić, narażą się chłopom, a pójdzie na was. To prawda, że w zeszłym tygodniu zabili dwu Żydów na szosie? W gazecie czytałem.

— To jest prawda, ale z tamtymi u nas jest umowa i zapewnienie.

— A czy tacy dotrzymują?

— Jak się tego dobrze za pysk trzyma, to i taki dotrzymuje.

Pan Szuba z satysfakcją patrzył na drabów. Było to rosłe i śmiałe w spojrzeniu i w pysku. Cenił w nich fantazję i spryt i uważał, że takim należy się podatek, choćby już za to samo, że tacy są. Nade wszystko jednak podobało mu się, że pobierają opłaty od naczelnika i urzędników, a nawet od dowódcy siły zbrojnej. To go podbijało zupełnie.

— A co tam słyhać u sąsiadów? Płacą regularnie? Co porabiają w Mraczyńcach?

— Pani dziedziczka wciąż choruje, a starszego panicza wciąż trzymają w kryminale. Słyszałem, że z nim źle. Dobrze, jak jeszcze na katorgę pójdzie na całe życie. Szkoda go! Mówię ja zeszłego miesiąca do dziedzica: Wielmożny panie, panicza można by wykupić na czysto przez naszych ludzi, czyli tych Żydków w Warszawie. Ja bym się przepytiał, co i jak — nic naprzód nie wezmę, ino potem.

To ci stary pan zczerwieniał i zaczął cholerować:

— Z ołtarza, wy, zbóje, ściągacie, wdowy, sieroty nie pożałujecie, ale żeby takimi rzeczami szachrować, tego ja się — powiada — nie spodziewałem. Poszły won, bo śmierdzicie, judasze!

— O co się tu gniewać? Takie rzeczy się robią, wiele to naszych ludzi spod sądu wojennego cało wyszło, a politycznych też niemało, jeno że tam nie bardzo mają czym zapłacić. Ale dziedzic z Mraczyńców nie pożałowałby i dwudziestu tysięcy. Zgubi on syna! Że mnie nie wierzy, to jest jego zaślepienie, ale on też nie wierzy, żeby sąd można było kupić? Znadto on tych złodziejów szanuje. To mnie dziwi. Zgubi syna, jak nic...

— Może go jeszcze swoi wykradną, jak tamtych. Co? Dobry był kawał?

— To było zrobione po naszymu. Proszę ja pana, żeby te socjały na naszych się nie krzywiły, to inaczej by poszła cała rewolucja i kto wie, czy o tej porze nie byłoby już Polski.

— Bardzo być może, ale już ja wołę bez takiej Polski. Pewnie byłbyś ty, Figiszewski, u nas za gubernatora?

— Prawdę rzekłszy, panie dziedzicu, to nasz teraz nie gorszy ode mnie. Tylko że ja sam jeżdżę po pieniądze, czy po tę ordynarię, a do niego sama szlachta jeździ i kłaniają się jeszcze, żeby tylko brał. A on bierze nie po dziesięć rubli, ale po tysiącu.

— Bierze i po sto. To niezły człowiek, ale chyba i wam czas się trochę pomiarkować. Nie te czasy — pieniądze dziś nie dostaniecie. Biercie od tego, co na własnym gruncie siedzi, albo niech za mnie płaci hrabia, któremu ja tenutę wypłacam. Mogę dać korzec żyta i ćwiartkę grochu. Więcej nie dam. Zabijcie mnie, podpalcie, wszystko mi jedno!

Szwagrowie się śmiali życzliwie.

— My byśmy od łaski pana nic nie brali, bo pan wielmożny jest człowiek rzadki. Ale i nad nami jest dozór. „Oni” nam nie darują.

Dzierżawca też się śmiał, bo wiedział, że żadnych „Onych” nie ma.

— To zapłaćcie im za mnie przez przyjaźń!

— O, my by to zawsze robili, ale czy to pan dziedzic od nas przyjmie?

— Oj, draby, draby, źle wy skończycie! Lepiej by wam było po dawnemu konie kraść, to pewniejsze! Na — trzymaj jeden z drugim: trzy ruble! A teraz chodźcie na gumno, to wydám wam ordynarię, diabelskie parobki!...

— Cóż robić? Z panem to człowiek nie ma serca się targować. Pięknie dziękujemy za gościnność i za dobre słowo.

Ideę i organizację „Pięciu mężnych” przywiózł z Białegostoku do Szlamowiec przed dwoma laty ostatni, ocalały z pogromu partii, Izrael Miński, który w Szlamowcach miał rodzinę. Pobity, storturowany, na wpół żywy, przez cudowny zbieg okoliczności uszedł sądu polowego i dowłókł się do miasteczka. Pożył już niedługo, ale przed śmiercią zdołał pozyskać dla swojej idei kilka jednostek. Jenó snąc kolby żołdackie uszkodziły przenikliwy rozum straceńca-anarchisty, jeżeli powierzył swoją naukę w takie ręce. Był on bowiem, jak i znana szeroko a krwawo partia „Pięciu mężnych”, z rodu tygrysów — a zastępstwo powierzył jak gdyby szczurom. Dopomógł on jedynie kilku złodziejom do połączenia się w jedną organizację, którzy przedtem działali osobno. Umarł Izrael Miński w ostatniej nędzy, wspominając starych, rozstrzelanych towarzyszy i marząc o czynach odnowionej partii. Została po nim solidarna banda opryszków, która zachowała starą nazwę żydowską, a zresztą niczym, chyba sprytem i siłą, nie wyróżniała się pomiędzy wielu grasujących podówczas po kraju kup bandyckich.

„Pięciu mężnych” było to około dwudziestu dusz złodziejskich — żydowskich i polskich, które we wzorowej zgodzie i bez żadnych antagonizmów rasowych pracowały nad eksploatacją finansową ówczesnych zawitych stosunków.

Sytuacja ta ustaliła się na dobre, przyzwyczaili się do niej wszyscy i zamożność firmy „Pięciu mężnych” tudzież szlamowieckiego naczelnika straży ziemskiej wzrastały szybko. W okolicy był ład i spokój, obywatel za swój skromny (trzeba to przyznać) grosz mógł być pewnym życia i mienia. Handel i przemysł miejscowy nie doznawały uszczerbku, administracja zachowywała się taktownie... I wszystko byłoby pomyślnie, gdyby nie to, że wmieszały się do tych od dawna unormowanych stosunków żywoły, nic wspólnego nie mające z istotnymi potrzebami kraju, obce naszym bólom i nadziejom, wybuchowe i niesforne, a do gruntu zmaterializowane. Popsuli wszystko — właśnie oni, „ci — ci”, których jedynym zadaniem jest wszystko psuć, ze wszystkiego szdyzić, poniewierać przeszłość, zatruwać najdroższe marzenia o przyszłości, a krwią i ohydą zapełniać bieżącą chwilę. Zdziczały proletariát pod wodzą wyuzdanych fanatyków itd., itd.

Symcha Szter, zwany przez wtajemniczonych „Mostowym”, był z zawodu zegarmistrzem, prowadził jednak prócz tego rozległe interesy z naczelnikiem straży ziemskiej, z komisarzem włościńskim i nie miał głowy ani czasu na naprawianie zegarków. Czynił to za niego ubogi kuzyn, bladolicy i suchotniczy osobnik, którego od rana do nocy można było widzieć siedzącego w oknie z lupą, założoną na oku, i pochylonego nad robotą.

Pewnego dnia Symcha pisał list następujący:

— Drogi „Sędzio”, Bądź ty zdrow i cały. Tego ci życzy stary, wierny przyjaciel „Mostowy” i nasze „Pięciu mężnych”, co z nich każdy starczy za trzydziestu pięciu. Zrobiłem, jak ty kazałeś, i wszystko jest już w porządku. Cieszę się, że jesteś w dobrym humorze i że tak dowcipnie żartujesz. Obiecujesz za przywiezienie towaru dwadzieścia pięć rubli! To już duży grosz, ale handel to jest handel.

Otóż trafia się amator, co mi za to daje sto rubli, a daje dlatego, że tyle jest dla niego warto. Dla nas to jeszcze tanio, bo było dużo kosztów i jeszcze więcej niebezpieczeństwa i zachodu. Ale nie tobie, stary przyjacielu, trzeba tłumaczyć, że sto jest zawsze trochę więcej niż dwadzieścia pięć! A przy tym przykro mi powiedzieć, że nie dostaniesz tego i za sto, bo rzecz jest już stargowana. Ty sam wiesz, że towar jest delikatny i że go nie można przetrzymać na składzie. A nasze amatory to są też tacy ludzie, że z nimi lepiej umowy pilnować, a każdy interes prędko kończyć, bo inaczej sami biorą, a dla naszego interesu mogą stąd wypaść duże niepokoje. Jakby ci się to nie podobało, drogi przyjacielu „Sędzio”, to sobie przypomnij naszego chłopca (jego u nas nazywali „Zajac”), który ci przysłał do przechowania 50 rubli, jak szedł na wysyłkę, żebyś mu te pieniądze tam przysłał, jak będzie uciekał do domu. Ty nie winien, że „Zajac” w drodze umarł, ale i ja nie winien, że pieniądze, któreś mi odesłał, w drodze zginęły, pewnie wtedy, jak tamci zabrali pocztę na stacji Lasek. Ty sobie idź, „Sędzia”, na pocztę z kwitem, to tobie zwrócą, a za to już mi nie potrzebujesz tych pieniędzy odsyłać, bo ja biednej matce „Zajaca” odtrączę z tych stu rubli za towar. Kłaniam się tobie i twoim dzielnym chłopcom z „Ręki sprawiedliwości”, co niech ona zawsze szeroko zagarnia, a mocno trzyma! Twój „Mostowy”.

Cały interes, o którym mowa, prowadził Figiszewski. Sprawa była delikatna, a teren niepewny, gdyż nikt z „Pięciu mężnych” nie miał jeszcze do czynienia z partyjnymi ludźmi. Wziął tedy do pomocy swojego dobrego znajomego, niejakiego Knobłaka, który do bandy nie był dopuszczony, ale wyświadczał jej dorywczo pewne usługi, za co dostawał cośkolwiek do łapy. Był to handlarz drobiem i jajami — taka była jego pozycja socjalna, ale w bandzie wiadano, że to tylko pozór. W istocie Knoblak był złodziejem, pracującym na osobności i operującym głównie na jarmarkach i na odpustach, gdzie stoi dużo fur chłopskich bez dozoru. Przybył on skądś ze świata przed dwoma laty, a znać było po nim, że się po tym świecie otarł i wytarł. Znał się na polityce, agitował na własną rękę podczas wyborów, ciekawy był do wieców i gotów był do upadłego rozprawiać o materiach politycznych. Wiedział, gdzie są jakie partie, która lepsza, która gorsza, i nieraz na jarmarkach zwracał chłopom głowę, przemawiając o Polsce, o tych „krzywdzicielach-cudzoziemcach”, o „tej krwi niewinnej”, o wojnie japońskiej, o tym generale „Kurowskim”, co jest zawsze gotowy, i kończył stale:

— Będzie dobrze, będzie dobrze, nie bójcie się, dobrzy ludzie, ino jeszcze trochę tego, ino jeszcze aby trochę tego...

Tu robił rozmaite miny i gesty, pokazywał jak gdyby strzelanie i wojowanie, po czym, kiedy już był na niego czas, wysuwał się z tłumu, który go obstępował i słuchał z rozdziewionymi gębami, po czym zaczynał swoje w innym miejscu, zazwyczaj między furami, i sam przy tym wyląził na furę, kiedy się zebrała większa kupa ludzi. Jego kobieta i dwaj bracia wyrostki kradli tymczasem z fur, co się dało, omal że nie w oczach zasłuchanych chłopów.

— Słuchajcie, Knoblak, pojedziemy do partii, mam interes. Ja będę robił, a wy będziecie bajcować, bo ja nie wiem; jakie tam u nich zwyczajne.

— A do jakiej to? — spytał Knoblak.

— Ano do tej, co jest. Jedna jest koło nas.

— Jest naprzód Sierbienicka partia — tam ja nie pojedę, żebyście mi sto rubli tu na stole położyli, a jest jeszcze w Lucieniu w cukrowni, o trzy mile w drugą stronę, i jeszcze jest w Młynach, tylko że tam już daleko za rzeką, inna gubernia.

— A która mocniejsza, w której więcej ludzi?...

— Teraz to chyba w cukrowni, wprzód była w Sierbienicach duża siła, ale ich strasznie zjadło po tym zamachu... Tam ja jechać nie mogę, widzicie, bo był taki wypadek...

— Jedziem do cukrowni. A wiecie, do kogo tam pójść?...

— Ohoho!

Pojechali.

Cukrownia „Lueień” stała o niecałe trzy mile od miasteczka. O tej porze była tam kampania w całej pełni. O zmierzchu po cichu zajechali. Figiszewski został przy koniach, a Knoblak poszedł na zwiady. Po półgodzinie przyszło z nim dwu ludzi i zaczęto gadać. Partyjnym interes się bardzo spodobał. Figiszewski, chcąc okazać swoje wyrobienie, nie mówił inaczej, jeno za każdym razem: „Szanowna polska partia”, albo „szanowne panowie z polskiej partii”, co się towarzyszom, owszem, podobało. Knoblak był niezwykle czynny, wychwalał męstwo partii, zachwalał towar, uwijał się i bajcował, zwyczajnie, jak faktor.

Partyjni pogadali, pogadali i poszli się naradzić ze swoimi.

Walczak strasznie się palił do interesu. Niezmiernie mu się spodobało cudowne odzyskanie takiej rzeczy. Wysze<sup>59</sup> się człowieka do Warszawy — pójdzie na biuro i powie: przywiozłem to i to! Dopieroż będzie radość! Sami towarzysze z centralnego komitetu powiedzą: morowe są te chłopcy z Lucienia! Na to pieniędzy nie ma co żałować. Leży u nas 250 rubli z monopolów, jest z czego zapłacić. Jeszcze ta bomba posłuży! Może to dlatego tak się jakoś zrobiło cicho, że o takie rzeczy teraz trudno? A w jakiś czas gruchnie znówu — a my będziemy wiedzieli, że to ona, ta nasza!

— Powoli, tylko nie za prędko, jeszcześmy nic nie kupili... Ty uważaj, o co tu chodzi. Ty uważaj, głupi, z kim sprawa! Przecie to są spryciarze. To łajdusy i hycle spod ciemnej gwiazdy, te ze Szlamowiec...

— Nam oni nie szkodzili.

— A bo jeszcze nie zaczęli.

Weszycki, pomocnik maszynisty, zwany w partii „Klucz”, był to szczywany i ostrożny lis partyjny. On gadał z dyrektorem, jak trzeba się było ująć za wszystkich, przez niego załatwiali najważniejsze sprawy ludzkie, przyjeżdżający od partii. On to prowadził owe całkiem nie zalecane, ale nie zanedo zabraniane wycieczki na monopole, a tak się urządzał, że policja ani razu nie zawadziła cukrowników. Był znany w okolicy od czasu strajków rolnych i w swojej organizacji panował niepodzielnie. Jednak wywołał ludzi na naradę i rzecz całą przedstawił.

Radzono z pół godziny: — A skąd my wiemy, że to prawdziwa bomba, może w środku być ołów, czy śrut? Jakże tak kupować kota w worku?

— Mówił o jakimś liście od partyjnego człowieka.

— List można zawsze podrobić.

— Zobaczymy, spróbować nie zawadzi. Może być prawda. Jeszcze oni z nami nie zadzierali. Może być interes czysty.

— A teraz — wiele dawać?

— Chce złodziej sto rubli.

— Co, on się wściekł?

— O tym jeszcze pogadamy. Utargować można połowę, albo więcej, bo komuż on to sprzeda?

— Powiada, że ma kupca w Warszawie, co już daje 50 rubli z odstawą. Tylko, powiada, niebezpiecznie taką rzecz wozić, a resztą naszej partii oni niby dają pierwszeństwo, bo rzecz nasza, a tamci są Żydy — komuniści, a w gruncie pewnie bandyci. Czy łże, tego nie wiem.

— Nie wypada się o taką rzecz targować i jeszcze ze złodziejem.

— Trza pogadać.

— A ona tu jest?

— Powiada, że przywiózł.

<sup>59</sup>wysze — dziś popr. forma 3 os. lp. cz.przysz.: wyśle. [przypis edytorski]

— Kto wie, może by i tak oddał.  
— Czemu to?  
— Odda, jak mu się odbierze. Można mu co dać za fatygę. Rzecz jest nasza, sam to złodziej przyznaje.  
— Będą jeszcze złodzieje na partii zarabiać!  
— Tylko ten starszy złodziej przymawiał się wyraźnie, że oni honorowi partii zawierzili, że nigdy oni tak żadnych interesów nie robią, tylko z nami, bo oni szanują partię.  
— Honor honorem. My jego też będziemy szanować, jak odda dobrowolnie, jak się patrzy. Rzecz i tak jest nasza. Sto rubli się partii przyda na co innego.  
Różnie radzili, wreszcie towarzysze powłazili do drugiej, ciemnej izby, żeby wszystko widzieć i słyszeć, a sami nie być widziani, a Weszycki i Walczak wprowadzili dwu gości ze Szlamowiec.  
Figiszewski rozejrzał się ciekawie po izbie, zdjął czapkę i przemówił:  
— Dobry wieczór, szanowne państwo, którzy tam siedzicie bez światła.  
— Dobry wieczór i wam. Tak nam będzie wygodniej...  
— Dobrze mówicie, panowie! W takie czasy nie można nieznajomemu dowierzać. Ale ja tu w czystej sprawie...  
To mówiąc, pokazał na spory pakunek, obwiązany w płachtę, i położył go uroczyście na stole.  
Weszycki usadził gości i zażądał okazania dokumentu. Figiszewski z wielkiego pugilaresu wydobyl świstek.  
— Wymiętoszony i obdarty, ale taki już do nas przyszedł, nie nasza wina.  
— Czytać! Czytać... — wołano z ciemnej izby.  
Weszycki siadł pod lampą elektryczną, podniósł papier do oczu i czytał swoim tęgim głosem, wolno a wyraźnie:

— „Ludzie kochane i wy wszystkie towarzysze i wszystkie towarzyski i cała partio!  
Ja już, niedługo czekać, pójdę, wołając — precz z caratem! A wy się starajcie i życia nie żałować, bo raz kozie śmierć! Już policzone dni piekielnych mocy, ino wytrzymać! Niech się chłopcy ruszą, bo nas ćma! Za nasze krzywdy, za nasze uciski, za krew, co woła o pomstę do Boga, niechże się raz podniesie naród pobłąkany! Jutro mnie powieszają, albo pojutrze najdalej, i ja na to teraz czekam w tych czterech ścianach, jakby w murowanym grobie. Ale pókim jeszcze żywy, będę do samego końca taki sam, jak wyście mnie znali! I tamte czterech też to samo, choć nie siedzim już razem, bo nas przed samą śmiercią rozsadzili osobno. I ja pójdę, i oni pójdą najdalej pojutrze. Nadejdzie jednak dzień zapłaty!”  
Weszycki przerwał i milczał przez chwilę. Cicho było w izbach, i tamci siedzieli cicho w ciemności, tylko za oknem huczła fabryka, i dzień, i noc idąca.

„Tobie, Cecylio Kielzino, żono poślubiona, moje pożegnanie, moje błogosławieństwo i taki nakaz: jak gadałem na ostatnim pożegnaniu na sądzie: dzieci naszych nie krzywdzić, jak za chłopą pójdziesz! Twoim nowym dzieciom to nie ubędzie, bo to ci każę — za porządnego gospodarza się wydaj! Jeszcze ci powtarzam — za Oleśniaka, co owdowiał, bo pół naszego gruntu jest z nim o miedzę. Baba babą, nowego chłopą słucha zawsze i jego dzieci zawsze przodem. Ale ty nie tak! Pamiętaj, że partia będzie dbała i rady ci da. Dobraś była aż do końca i tak ci piszę, bo jest prawda. Płacz, to ci ulży, na mszę daj nie raz, nie żałuj, bo moja śmierć to zasługa! Jak proboszcz będzie ci na mnie szczekał, to mu gębę zatkaj, nic mu nie wierz, bo nasza prawda. Sklepnikowi z monopola we Włoczyskach zapowiedz, że nie ja mu łeb rozbiłem przy robocie, bo my tam nie robili. Na sądzie się wyparł, czyli jest znaczy jako porządny, bo wierzył i się odgrażał. Mnie to nie pomogło, bo i tak już było zanadto dość. Powieszają mnie i umrę z letkim sumieniem, a światłość wiekuista niechaj mi świeci!

Tobie, żono, pozostawiam moją ostatnią wolę i testament najświętszy, niech cię ręka boska ochroni, żebyś nie zrobiła, jak chcę, bo z tamtego świata wylazę i po nocach będę nad tobą stał, jak tego Pana Boga Kocham!

Przywożem od naszych, a skąd, to ci wiadomo, na przechowanie bombę. Ty o tym nie wiesz ani miejsca. Ani nikt nie wie! Spokoju nie zaznam w tym niepoświęconym grobie, jeżeli nie zrobisz, jak nakazuję! Uważaj, jak idzie gościnię ku Jaworzyńskiemu dworowi. Za Krzysiakowym obejściem będzie po gościńcu kroków jakich sto słup wiorstowy, na którym stoi napis 17. Od tego słupa idź dworskim polem aż do kępy. Stoi sosna na przodzie najpierwsza od gościńca. Stań pode sosną tyłem i idź do drogi z powrotem kroków siedem (to jest siedem!) i kop powolutku. Na łokieć jeden głęboko natrafisz śpadłem na kwarde. To będzie bańka zalutowana, dwugarncowa. Nic się nie bój, opakowane w wiórach, przy mnie robili. We środku jest nasza bomba w króbeczce z fajnej skóry. To wszystko zara zanieś do naszych tam — a gdzie, to wiesz. Jakby, czego Boże broń, i tamtych już wylapali, do domu odnieś, zakop, nikomu słowa nie piśniesz, aż dopóki z partii nie przyjdzie jaki towarzysz wiejski. Temu wszystko opowiedz, albo daj, żeby majątek partyjny nie marniał, a taka bomba zawsze jest w cenie. Bogu cię polecam i kłaniam się wszystkim naszym ludziom we wsi i znajomym i towarzyszom wszystkim. A teraz: niech żyje PPS!

*Wojciech Kiełza*

*z oddziału bojowego polskiej partii. ”*

Przez sporą chwilę jeszcze było w izbie cicho po tym czytaniu. Przez sporą chwilę trwali ludzie w skupionym milczeniu, jak gdyby chcieli uczcić poległego towarzysza, którego głos przyszedł do nich zza grobu, z tamtego świata.

Pierwszy Knoblak westchnął ciężko i odezwał się głosem wzruszonym:

— Wieczne odpoczywanie racz mi dać Panie!... A światłość wiekuista niechaj mi świeci!... Niechże ta bomba ozerwie<sup>60</sup> na znak, kogo należy, za tę jego śmierć niewinną!

Tymczasem na progu ciemnej izby stanął gruby, nieduży człek i wolniusienko, jakby się skradając, szedł do stołu. Stawał, przyglądał się, przygarbiony, zacząjony, oczy sobie od blasku lampki osłaniał — a nikt nie mógł wyrozumieć, o co tu idzie.

— Walek? Cóż ty takiego wyrabiasz?

Ale chłop w jednej chwili rzucił się na Knoblaka, obalił go razem ze stołkiem, ucapił za ramiona i zaczął tłuc łbem o podłogę, aż się rozległo.

Oderwali go wreszcie. Powypadali wszyscy z drugiej izby i wszyscy razem zaczęli gadać. Figiszewski zbladł i wstał na równe nogi. Zdawało mu się, jakby coś zaczynał rozumieć.

Każdy od siebie pytał Walka i ciągnął go do siebie. Chłop nic nie gadał, bo nie mógł wydusić ze siebie słowa, tak był wzburzony. Wreszcie rzucił się z nową zapalczywością na powalonego i w nieludzki sposób dał mu jeszcze dwa razy z rozmachu po głębie. Oderwali go znowu. Wreszcie chłop się opamiętał i zaczął krzyczeć:

— Ten sam jest! To on był z żandarmami u nas w Sierbienicach! On prowadził, on pokazywał! Tę Kiełzę Wojtka on wydał! To on mu naboje sprzedawał na jarmarku w Śmiglu! Śmierć szpiegowi, judaszowi! Już on stąd żywy nie wyjdzie! A ty jego współnik! — ryknął, rzucając się na Figiszewskiego.

Ale już dwu ludzi trzymało pod pachy delegata „Pięciu mężnych”, a przed nim stał Weszycki i mówił spokojnie:

— Stój no, draniu, i pary z ust nie puść, póki nie zacznę pytać. Związać mi ręce! Idź który przed chałupę i pilnuj, żeby kto nie patrzył w okna. Chodź tu, Walek, i gadaj, czy ci się zdaje, czy też jesteś pewny swego, bo o życie dwu ludzi się rozchodzi!

— On jest. Na głębie miał maskarę, tylko oczy było widać. Jak do nas do chałupy z rewizją przyszły, maska mu się obsunęła na tę jedną chwilę i zobaczyłem go dobrze! Poznając go, świadczę się Trójcą świętą i Najświętszym Sakramentem i jako jestem socjalista!

<sup>60</sup>ozerwać (gw.) — rozerwać. [przypis edytorski]



Dwa razy ja go w życiu widziałem, ale teraz to już po raz trzeci i ostatni!

— Dajcież i mnie powiedzieć słowo, panowie! — zaczął Figiszewski.

— Milcz! Czekaj!

— Tego drugiego drania ja nie znam i na oczy nie widziałem. Niech on się wytłumaczy, po co się wdaje ze szpiclem? Jeżeli on i z nim do nas na prowokację z bombą przyjechały...

— Jutro tu do nas przyjadą z rewizją i na stryk...

— Judasze! Na nas nie zarobicie!

— Żaden stąd żywy nie wyjdzie...

— Złe was na ten handel pokusiło...

— Przyszła wasza godzina...

Z trudem udało się Weszyckiemu zaprowadzić jaki taki ład. Wreszcie oblano szpicla wodą, usadzono go w kącie na ziemi i wsparto o ścianę. Leżał wciąż z zamkniętymi oczami i dychał ciężko. Figiszewski stał w drugim kącie z rękami związanymi na tyle. Zaczął się sąd.

Figiszewski odpowiadał spokojnym głosem i z godnością.

— Kto ja jestem? Z bandą szlamowiecką jestem stowarzyszony. Nigdy się w politykę nie wdawałem. U nas surowo pilnowano, żeby z partiami nie zadzierać. My mieli swoje interesy. Z bogatych okup my brali. Naczelnik powiatu nam płaci, naczelnik żandarm-ski płaci, kapitan płaci, rejent i doktor płacą. Płacą dziedzice w okolicy raz w miesiąc. Wszystkie Żydy kupcy też, i sam rabin płaci.

— Za co płacą?

— Za ochronę od bandytów, czyli od nas samych, prawdę powiedziałem. Ale przy nas na gościńcach jest spokój. Żadnego my chłopa ani ubogiego nie ukrzywdzili. Bogatych my podbieramy, bo takie mamy przekonanie, a krwi ludzkiej na nas ani też na moich rękach przez całe życie nie było.

— Skąd masz list?

— Z Warszawy Żydy przysłały, a skąd oni go wzięli, nie wiem. Tę bankę z bombą my wykopali z tego miejsca i chciałem zarobić. Żydowska komuna z Warszawy nam dawała tylko dwadzieścia pięć rubli.

— Gadałeś, że pięćdziesiąt.

— Łgalem, jak przy handlu!

— Tego psa dawno znasz?

— Znam go od dwu lat, a ani razu tego na niego nie pomyślałem. Złodziej był, to nam było wiadomo, ale on chodził osobno po jarmarkach, po odpustach między chłopami. Proszę panów, my tu wszystko wokoło na pięć mil znamy. Ale tego, że tu są szpicle, my nie wiedzieli, bo na polityczne rzeczy my nie zważali nigdy. A po co ja jego na moje nieszczęście tu ze sobą zabrałem? Bom nie wiedział, jak z wami, partyjnymi, gadać, nigdy nie mając z partią do czynienia, a jego my uważali, że jest, albowiem też bywał w jakiejś partii, zanim tu przyjechał. Więcej nic nie wiem, ani nie mam do powiedzenia. Macie mnie w rękach. Ale ja wam powiadam, jakem był koniokrad i jakem jest bandyta — tej podłości ja nie winien!

— Kiedyś ty mu powiedział o bombie? Dawno?

— Tu w drodze mu powiedziałem, żeby przy targu pomagał.

— Ej, nie lżyj człowieku, ej, nie lżyj! Daleko sięga nasza partia i długo ona pamięta!

— Zgubisz nas — ale i ciebie nie minie i tych tam twoich!

— Diabli was tu wezmą co do nogi, jak nas zgubicie. Przysła partia bojowców, co żadnemu nie darują, żebyście na koniec świata pojechali, żebyście się pod ziemię zagrzebali!

Było już koło północy, kiedy Figiszewski i Knoblak wyjeżdżali z cukrowni. Jechali długo w milczeniu, aż spytał Figiszewski:

— Co, żyjesz, bracie?

— Ja sam nie wiem! Coś ty im takiego powiedział, że mnie żywego puścili?

— Ja? To moja rzecz. Mam ja na każdego człowieka swój sposób.

— Gdzieś ty z nimi chodził i coście tam gadali tak długo? Przez te półtorej godziny ja wciąż umierałem i ożywałem, i znowu umierałem. O, Boże miłosierny! Cóżście gadali, powiadajcie, bo we mnie wszystko się trzęsie.

— O polityce my gadali. Ja ich przekonywałem, żeby komunę założyli bandycką, a oni, żeby przystąpił do nich.

— Ty kpisz, a ja ze strachu umieram!

— I czegoś się teraz boisz?

— Oni tu gdzie jeszcze na mnie napadną! Ratuj mnie, bracie! Aj, aj, tyś się z nimi zmówił!

Figiszewski się śmiał na całe gardło i zaciął konie.

— Głupiś ty! Ja ich przekonałem, żeś niewinien! Rozumiesz? Przecie ty niewinien? Prawda? Po coś się głupi przyznał? To nie ty wydałeś tego ich bojowca?

— Słuchaj, nie mów tak, bo ja zwariuję. Nie goń tak, zlituj się, bo mi ta rozbita głowa całkiem pęknie...

Figiszewski się śmiał.

— Knoblak, patrz tam daleko, widzisz las? Będzie jeszcze z pięć wiorst. Ja sobie myślę, że chyba oni tymczasem naprzód pojechali i tutaj cię zrobią, żeby nie było koło samej cukrowni. Chytre to ścierwy... Żal mi cię, Knoblak, któż za ciebie będzie na jarmarkach o jenerale Kurowskim opowiadał? A zawsze źleś sobie postąpił, żeś mnie w takie sprawy zamieszał. Mogliby, jakby byli mądrzy, obu nas utrupić. Tobie się należy, ale za co mnie? Ej, nie minie cię kara za to...

— Puść mnie, ja sobie już pójdę. Mnie będzie lepiej samemu. Głowie mnie boli od trzęsienia. Stańcie, Figiszewski, bracie kochany, już ja was proszę...

— Co, tobie już ze łba rozum uciekł? Dziurę ci wybili? Co ty mnie, głupi, po rękach całujesz? Ja nie ksiądz.

— Ja wam bardzo dziękuję, jak samemu Panu Bogu...

— No, no, nie ma za co!

—...I ja się tak boję, oj, jak ja się boję!

— Już nic się nie bój, sprawa załatwiona na fest!

— Ja nie mogę wziąć tego na wiarę, że oni mnie puścili żywego... Pewnie mnie będą jeszcze prześladować, ale mój naczelnik mnie obroni.

— Zeby się ino twój naczelnik przy tej obronie sam nogami nie nakrył... Powiem ci prawdę, czemu cię puścili. Dziś u nich wielkie święto, takiego największego patrona, tego dnia nakazane u nich każdemu przebaczyć.

— Ej, nie kpjcież! Jakiego to u nich dzisiaj patrona?

— Świętego Brauninga... Wielgi dziś odpust u socjalistów!

Knoblak umilkł. Jechali jeszcze z pół godziny, aż Figiszewski przystanął.

— To jest granica powiatu! Widzisz słup?

— Widzę — ale po co?

— No, to wysiadaj!

— Po co? Ja pobity, ruszyć się nie mogę...

Knoblak trzymał się oburącz półgrabka i dziko patrzył w las, gdzie zdawało się coś poruszać. Nagle zarżał pod lasem o jakie trzy stajania obcy koń.

— Bracie, ratuj! Bracie rodzony, ruszajmy!

— Ej, Knoblak, lepiej ci było uczciwie kraść chłopów na jarmarkach, a nie mieszać się do polityki. Polityka zdrajna rzecz! Złaż, złaż, bracie — jużemy zajechali na miejsce. Stąd będziesz miał do nieba ino dwa kroki. Do widzenia na tamtym świecie! Straciłem przez ciebie sto rubli i głowy bez potrzeby nadstawiałem. Wynoś się, bracie, przeciehem ci mówiłem, że oni tu na ciebie czekają. Toś ty sobie, głupi, myślał, że partyjni taką rzecz tobie darują?

Figiszewski gwizdnął na palcach po zbójce, i czarne postacie ludzkie stanęły przy wozie. Knoblak raz tylko zdążył wrzasnąć, bo zatkali mu głowę, okręcili mu łeb workiem, ściągnęli z wozu i powlekli w czarny las.

Figiszewski zaciął konie i popędził, aż koła warczały. Gnał tak z godzinę, nie oszczędzając koni, i poprzysięgał sobie raz na zawsze trzymać się od partii z daleka, jak od morowej zarazy.

Nie pomogło mu to jednak. W kilka dni potem zaarrestowano jego i szwagra, i Symchę Sztera, i jeszcze sześciu innych członków organizacji „Pięciu mężnych”. W jednej chwili przysł czar, otaczający potężną bandę. Wszyscy się zdumiali, że mogli tak długo znosić bezprzykładny ucisk. Wszyscy uradowali się w sercach swoich i wynosili pod niebiosa energię prawowitej władzy, która nareszcie ocknęła się do czynu. Żałował bandytów tylko jeden pan Szuba, dzierżawca z Żabiej Woli. Męczeńska śmierć skromnego, ale wiernego sługi tronu była momentem zwrotnym w dziejach powiatu. Ustał uciążliwy i upokarzający podatek. Nowy naczelnik straży ziemskiej w porozumieniu z dowódcą siły zbrojnej rozsyłali patrole po całym powiecie, a w okolicy zaczęły się na dobre rozboje po drogach i napady na dwory.

---

Weszycy, przyjechawszy wieczorem do Warszawy, stanął u swojego wuja, sklepikarza na Starym Mieście, i rozpytywał o nowiny. Wuj niewiele gadał, bo był zajęty rachunkami. Twierdził jednak, że rewolucja już się skończyła i ani się tym nie martwił, ani się z tego nie cieszył.

— Co jest, to jest. Jak ma być, to i będzie. Tu żaden człowiek nie poradzi, ani żadna partia. Samo wszystko na świecie idzie. Nie wiem, jak ci, chłopcze, radzić. Moja rada — żebyś się tu trochę zabawił, do teatru sobie poszedł, do cyrku, z tą dziewczyną się zabaw, byle ze zdrową, i zwracaj do domu, pókiś cały. Będziesz się zanadto kręcił, wezmą cię na ulicy...

— Za co? Ja tu nieznajomy!?

— Za co? Za nic, za samą twoją minę.

— Co słyhać u Józka — mieszka tam, gdzie dawniej?

— Przeniósł się do Ratusza, a stamtąd się wymeldował do fortów!

— Za co? Przecie on nigdy do niczego nie należał.

— Za to właśnie siedzi, że nie należał. Jednego biorą za to, że był w partii, a drugiego za to, że nie był. Taka teraz moda.

— A u ciotki Robaczkowej zdrowi wszyscy?

— Zdrowi są, tylko Karolek siedzi na Pawiaku, a Władek w Brześciu.

— To nowina? Takie urwisy, a jednak widać coś tam w cichości robiły...

— To robiły, co zawsze: Karolek latał za dziwkami, a Władek się zgrywał. Teraz i za to biorą do ula.

— No, to i wuja chyba wezmą za to, że wuj handluje?

— Wezmą, ale jeszcze nie zaraz. Teraz wybierają innych kupców: mydlarzy, powroźników — do spożywczych jeszcze nie doszli. We wszystkim jest swój porządek!

Od samego rana puścił się Weszycy na miasto. O godzinie dziewiątej już był w pewnym sklepie na Złotej, spytał o „pana Kazimierza” i wymienił umówione hasło, „czy pani Wojdalińska już powróciła z letniego mieszkania”?

Pan Kazimierz, mizerny, mały człowieczek, spojrział nań zmęczonymi oczami, uśmiechnął się ironicznie i zapytał:

— Co to ma znaczyć?

— Wy jesteście „Pan Kazimierz”?

— Tak mi jest na imię...

— A więc ja się was pytam: „czy pani Wojdalińska już przyjechała z letniego mieszkania”?

— Już to pan raz powiedział. Nie znam żadnej pani Wojdalińskiej, ale przypuszczam, że chyba nawet i ona wróciła już z letniego mieszkania — przecie to marzec... O co panu właściwie idzie?

— Przecie to u was pod-biuro?

— „Podbiuro”? Co to takiego?

— Wy jesteście „pan Kazimierz”?

— Ja jestem, do wszystkich diabłów, ale już nim przestałem być od pięciu miesięcy. To wszystko, co mogę powiedzieć!

— Jak to?

— A tak!

— Odłóżcie kpiny na potem, ale ja dzisiaj muszę się widzieć z kimś z „wydziału”.

— Nic a nic nie rozumiem, proszę mi raz dać święty spokój!  
— Uważam, że tu coś zmienili, i wy mi nie wierzycie. Ja to rozumiem, ale zważcież i wy moje położenie: ja z daleka, z prowincji i z ważnym interesem. Z bardzo ważnym! Nie mam żadnego adresu...

— Ja na to nic nie pomogę, bo nic a nic nie rozumiem...

— Dajcież mi choć kogo jednego!...

— Niech się szanowny pan uda do pani Wojdalińskiej. Upewniam pana, że już wróciła z letniego mieszkania.

Weszycy stał wściekły i strapiiony.

— Choćby pan tu stał do samego wieczora — zaczął spokojnie pan Kazimierz, ale Weszycy zaklął i trzasnął drzwiami za sobą.

Pan Kazimierz stał jeszcze długo za ladą i przetrwał słuszny gniew. O to głupie wiejskie „podbiuro” były już w sklepie trzy rewizje, a w mieszkaniu cztery. Dwa razy go brano do ratusza, a za każdym razem uwolnienie kosztowało go po pięćdziesiąt rubli w gotówce i po drugie tyle towarem. Jeszcze po rozłamie szarpali go sobie na obie strony, aż mu pękała głowa. Od pół roku bez mała wszyscy stali bywalcy partyjni poznikali, jak cienie, nie zapłaciwszy długów sklepowych. Szpicle zamawiali się wciąż z całą bezczelnością — a tu zjawia się poczciwa figura „z prowincji”, która nie zdążyła się jeszcze dowiedzieć, że „wydział” wyspał się w styczniu, że w partii jest przewrócone wszystko do góry nogami przez rozłam i zdziętkowane przez wsypy. Od tego czasu wsypały się już trzy podbiura, a ten sobie przychodzi jakby nigdy nic ze swoją panią Wojdalińską. Kochany człowiek! Trochę się spóźnił ze swoim ważnym interesem. Czyż teraz jeszcze mogą być jakie ważne interesy? Koniec, kłapa, nieszczęście! Daj, Boże, jak najprędzej zapomnieć, że coś było.

Pan Kazimierz zagłębił się w rozważaniu: czy też ten zapóźniony towarzysz nie jest czasem szpiclem? Wyglądał uczciwie, ale i szpicle wyglądają nieraz też uczciwie.

— Panno Zofio — wołał na swoją pomocnicę, która była w tylnym pokoju. — Jak pani uważa tego, co był?

— To był nasz człowiek... Trzeba mu było dopomóc!...

— Co ja mu mogę zrobić? Nikt u nas nie był od sześciu tygodni. Ja nic nie wiem i nic nie chcę wiedzieć!

— Może by zaszedł do Stępkowskich?

— A bo ja wiem, do jakich on należy? A bo ja wiem, czy Stępkowskich do tego czasu nie wybrali? Albo go wyrzucą za drzwi, jeżeli nie trafi na swoich, albo ich zasypię, jeżeli to szpicel, albo jego wreszcie zgubię, jeżeli tamtych wzięli i w mieszkaniu jest zasadzka. Niech wszyscy diabli... Co ja winien, że się facet spóźnił!

— Jak sprytny, to i tak sobie poradzi.

— Mówi, że nikogo nie zna. Szkoda go, ale ja spełniłem swoją powinność. Żeby każdy się pilnował, jak ja — to nie byłoby tylu wsyp...

Rozmowę przerwało wejście pana z córeczką. Pan Kazimierz rozkładał towar, zachwalał, bawił gościa. Po chwili wszedł drugi, którym zajęła się panna Zofia. W swoim czasie kundmani zapłacili i wynieśli się.

— Co? Ładne czasy? Mnie chyba znowu będą brać... Uważała pani na tych dwu?

— Zwyczajni ludzie.

— Szpicel jest jeden i szpicel jest drugi!

— Co pan znowu?

— Ten mój udawał, że kupuje, a dziewczynka wciąż zaglądała do drugiego pokoju. Była nawet za ladą, żeby wygodniej zobaczyć!

— Zwyczajnie, jak dziecko w sklepie!

— Jak szpiclowskie dziecko! Oni już teraz chodzą z dziećmi, dla większej swobody i dla pozorów! Takiego nikt nie posądzi. Pani pierwsza się śmieje: szpicel z dzieckiem! A w tym jest wielki spryt!

Panna Zofia się śmiała.

— Tego, którego pani załatwiała, ja skądś znam. On tu już przychodził i pytał o biuro — pamiętam, to było w listopadzie... To prowokator — kupował dla pozorów. Sam nie wiedział, czego chce, i tylko się rozglądał. Chciał niby spinek, a kupił krawat. To ich już naprowadził ten „towarzysz z prowincji”. Kochany człowiek...

Panna Zofia wzruszyła ramionami i zajęła się swoją robotą. Myślała nad tym, gdzie szukać posady, jak pryncypał już całkiem zwariuje. Po chwili pan Kazimierz przyszedł do niej i począł szeptać:

— Ten, udający posłańca, znowu stoi po drugiej stronie ulicy. Poznałem go od razu. Panno Zofio, dzisiaj mnie znowu wezmą! Przed samą Wielkanocą — ruina! Jestem zasypany, już się teraz nie wykupię! Zabiorą mnie do fortów, a ja tam umrę! Dziś w nocy przyjdą...

— Niech pan wyjdzie trochę się przejść, odpocząć...

— Co? Mnie wszyscy szpicle znają! Mnie prowokatorzy znają! Wolę, niech mnie wezmą tutaj. Kiedy biorą z ulicy, zawsze biją!

— Może by pójść do ochrany i pogadać? Da pan pięćdziesiąt rubli i będzie na jakiś czas spokój — niech taki łotr przyjdzie sam i wybierze towarem, zyska pan 40%.

— Co? I wezmą mnie jeszcze za szpicla! Którykolwiek z ich bojowców, co się teraz włóczę luzem po ulicy, wsadzi mi kulę w łeb i już. Czy to teraz jest co pewnego na świecie? Okropność!... O, czasy, czasy! Panno Zofio, ja chyba dzisiaj już zwariuję!

Panna Zofia ze smutkiem przyznawała mu w duchu rację.

A Weszycki chodził po mieście, szukając swojej partii. Liczył na traf, że spotka kogo z niewielu znajomych na ulicy. Ale spotkał tylko kilka razy w różnych miejscach gromadki ludzi, pędzonych pod konwojem do ratusza. Trafiał na rewizje uliczne. Raz widział, jak dwu porządnie ubranych panów ni stąd, ni zowąd, wzięło trzeciego porządnie ubranego pana pod pachy i wciągnęli go do dorożki. Dwa razy zaczepił go patrol policyjny i oglądał jego paszport. Wreszcie poszedł na koniec miasta, do jednej fabryki, gdzie raz podczas dni wolnościowych był na wiecu. — Może tam mnie który pozna? — myślał.

Ale portier go nie wpuścił. Weszycki pamiętał doskonale tego portiera z wiecu. Wpuszczał wówczas każdego, kto chciał, i czynił jak gdyby honory domu.

— Ja mam strasznie ważny interes! Przyjechałem z daleka... Ja was, towarzyszu, znam; pamiętacie, tu był wiec, ja sam też przemawiałem. Był wtedy towarzysz Sokół, Michał, Wojciech, towarzyszka Łucja, Lucyna...

— Ani ja panu nie towarzyszę, ani ja jakich partyjnych znam. Dużo tu bywało wieców, ale się już dawno, Bogu dziękować, skończyły. Tu w fabryce nikogo pan nie znajdziesz — tu ludzie pracują, tu nie ma żadnego z partii.

— Co? Cała ta fabryka była nasza!

— Była, była, czego tam nie było... Rządził, kto chciał, a teraz znów porządek nastąpił. Nic ja panu nie pomogę...

— Pokażcie mi choć jednego z komitetu fabrycznego, o nic mi więcej nie chodzi. Zostawię wam tu sto rubli zastawu — na dowód, że nie szpicel. Poratujcież mnie, człowieku!

— Schowaj pan swoje sto rubli! Komitet fabryczny?

— Ten, co rządzi w fabryce.

— To idź pan przez podwórze, zaraz za kotłownią stoi napis „Kantor”. Tam siedzi dyrektor i urzędnicy. Tam jest zarząd.

Chodził Weszycki pod fabryką do południa. Kiedy po gwizdku zaczęli się ludzie wysypywać przez bramę, wmieszał się w tłum i rozglądał się bacznie i nadśluchiwał. Ale robotnicy się śpieszyli, nie usłyszał ani jednego takiego słowa, z którego by mógł wymiarkować, że należą do partii. Zaczepił wreszcie jednego na chybił trafił. Opowiedział mu swoje troski, a gadał szczerze, żeby od razu było znać, że jest swój i porządny.

— Ja, widzicie, do żadnej partii nigdy nie należałem, ale różnych znam, mogę powiedzieć. A wy czyj jesteście?

— Z PPS.

— Jak to?

— No tak.

— A z której?

— Ze zwyczajnej. Z polskiej partii!

— No, no. Przecie jest lewica, jest prawica. Jakże wy tego nie wiedzieli?

Weszycki nic nie rozumiał.

— Ej, taki z was pepeesowiec, jeżeli wy tego nie miarkujecie.

— Nic a nic nie rozumiem.

— Widzicie — był rozłam, czyli są teraz dwie partie, co się ze sobą żrą. jeszcze lepiej, niż dawniej z esdekami... A starej partii już nie ma.

— Starej partii nie ma?

— Oho — już więcej, niż cztery miesiące. Wy chyba, bez waszej urazy, w żadnej partii nie byli, kiedy tego nie wiecie.

Drugi robociarz, który stanął przy nich tymczasem, odciągnął tamtego i rzekł do niego głośno, obrzucając Weszyckiego brzydkim spojrzeniem:

— Chodź na obiad — ochota ci z takim gadać! Chce mu się szpiclować, a od pierwszego słowa znać, że nawet niepodobny na człowieka. „Swołocz!” Będzie tu jeszcze wystawał, to go tu galop urządzają...

Weszycki został w osłupieniu i w rozterce. To tak go przyjmują towarzysze warszawscy! Nie, to niepodobne do wiary, żeby tak było. Postanowił czekać.

Powracali już z obiadu, i spora grupa stała przed bramą fabryczną, paląc papierosa i gadając. Podszedł do jakichś trzech, stojących osobno i zaczął mówić znowu o tym samym. Tamci na niego patrzali nieżyczliwie, paskudnie, jak gdyby go już zawczasu mieli za łotra. Wtedy porzucił całą konspirację i gadał zupełnie otwarcie.

—...A mój interes jest bardzo ważny: bombę przywiozłem i nie wiem, komu oddać! Widzicie, jaki mój interes. Pieniądze partyjne przywiozłem, 250 rubli — i też nie mam komu oddać...

— I cóż pan jeszcze przywiózł takiego? Też dobrodziej...

— Przywiozłeś pan głowę całą, tylko uważaj, żeby jej ci tu gdzie nie ukręcili... Hej, towarzysze!

Obstąpili go robociarze wokół, aż mu się zrobiło ciasno. Weszycki zczzerwieniał i zaczął gadać już do wszystkich, bijąc się w piersi i wymyślając im za nieufność. Ale wszyscy tylko szydzili.

— Bombę oddaj do frakcji, a pieniądze do lewicy...

— Rzuć bombę pod Skallona<sup>61</sup>, a potem tu przyjdź, to ci uwierzemy....

— Poważny towarzysz, co bomby fabrykuje, a o rozłamie nie wiedział...

— Wariat jest, czy co? Nie wygląda na szpicla.

— Aha, dopiero co w portierni gadali, że za wykrycie komitetu sto rubli na stół kładł...

— Naprawdę?

— Stary gadał dopiero co.

— Huzia! Huzia go!

— Huzia szpicla!

Weszyckiego ogłuszyły wrzaski i gwizdanie. Zdawało mu się przez chwilę, że to sen. Osłupiał i wodził po ludziach błędnymi oczami. — Towarzysze! — wołał — towarzysze, opamiętajcie się! — Ale nikt go ani słuchał, ani mógł słyszeć wśród powszechnego gwałtu. Ktoś go zajechał pięścią w kark, ktoś go potężnie kopnął z tyłu, i Weszycki wypadł z gromady. Uciekał nie ze strachu, ale przed tą hańbą publiczną, przed swoją krwawą krzywdą. Pod ziemię by się skrył, życie by sobie odebrał. Biegł, jak szalony, skręcił zaraz za pierwszy róg i śpieszył się, sam nie wiedząc, do czego. Spotkawszy pierwszą wolną dorożkę, wsiadł i pojechał do miasta, nie wiedząc zupełnie, co ze sobą robić dalej.

Uciekł Weszycki i dobrze zrobił, albowiem towarzysz „Wariat” z frakcji i towarzysz „Rozważny” z lewicy już zdążyli wydobyć maszyny, schowane u jednego palacza pod kotłem, i lecieli na łeb na szyję „robić” szpicla. Wypadli za bramę, pobiegli w jedną stronę, w drugą stronę, ale już nie znaleźli nikogo.

Weszyckiemu zdawało się, że zwariował. Miał nieprzeparte pragnienie pojechać prosto na stację i wracać zaraz do domu, zostawiwszy wszystko u wuja na boskiej łasce. Niech się dzieje, co chce! Partii nie ma! Jest tylko jakaś „lewica” i jakaś „prawica”. A partii dawnej nie ma, tej ogromnej i mocnej, starej i wypróbowanej polskiej partii. Gdzie się wszystko podziało przez niecałe pięć miesięcy? I wydało się towarzyszowi Weszyckiemu, że odeszło od niego w jednej chwili co najmniej pół wiary we wszystko, w co wierzył do tego czasu.

<sup>61</sup>Skallon, właśc. *Georgij Antonowicz Skalon* (ros. Георгий Антонович Скалон, 1847–1914) — rosyjski wojskowy, generał kawalerii, generał-gubernator warszawski i głównodowodzący wojsk Warszawskiego Okręgu Wojskowego w latach 1905–1914. [przypis edytorski]

A jego wzięli za szpicla! Nie chcieli nawet chwili pogadać z nim cierpliwie! Nie wzięli nic na rozum! Robotnik warszawski jest najpierwszy w całej Polsce — tak gadają u nas i wierzą w to ciemne ludzkie... Znam ja teraz to warszawskie uświadomienie... Nie wiedziałem tego — teraz wiem.

O wielu rzeczach nie wiedział jeszcze towarzysz Weszycki. Zapomniała partia o jego okolicy i od długiego czasu nic do nich nie dochodziło. Tymczasem niemiłosierna wskazówka doszła do swojego miejsca na gdzieś tam zawieszonym w niebie czy w piekle zegarze dziejów. Nie usłyszał nikt, kiedy wybiła ponad ludzkimi sprawami fatalna godzina. Dopiero potem, później, kiedyś, jakiegoś dnia poczuł każdy, że zabrakło mu jakby powietrza.

— Duszny dzień — mówili sobie ludzie. Aleć nazajutrz i za tydzień męczyły się piersi w tym złym oddychaniu. Czekali ludzie, czekali, a robili to, co zawsze. To wiodło się, to się nie wiodło, było raz pięknie, raz brzydko, bywał dzień pożyteczny i dzień szkodliwy, było i dobre i złe, jak to w życiu.

Zatracili się ludzie pod nawałą drobnych prac i codziennych wydarzeń. Aż zaczęli spostrzegać, że wciąż jeszcze na coś czekają, przypomnieli sobie, że już długo czekają i zauważyli wreszcie ten czas upływający. — No i teraz? — No i co? — pytał jeden drugiego.

Pytali się, radzili, dumali. Klóciły się ze sobą gromady ludzi to o jedno, to o drugie, to o trzecie. Nikt nie był winien przegranej, bo każdy był jednakowo winien. Każdy miał słuszość, bo każdy się bodaj raz na dzień omylił.

---

Kiedy się Weszycki pokazał u wuja, był tak strapiiony, że stary sklepikarz wystraszył się nie na żarty.

— Co ci to, chłopcze?

Weszycki nie mógł nawet opowiedzieć o swoich nieszczęściach. I nie chciał, i nie mógł. Zjadł obiad i z rozpaczy położył się spać. Ale zerwał się po kwadransie i wszedł do sklepu.

— Widzi wuj — wszystkich moich znajomych wybrali. Nijak nie mogę się dostać do partii. A tu jeszcze coś się w partii pokręciło — słyszałem, że starej partii już nie ma. Czy to prawda?

— Co? To ty o tym nie wiesz?!

— A wuj to wie?

— Też pytanie! W sklepiku wszystko się wie. Ale że też ty nic nie wiesz...

— Ja nic nie wiem, bo u nas w okręgu były duże wyspy, wszystko się przerwało, bibuła nie dochodziła...

— No, no... Już dawno, już nie ma dawnej partii. Oho! Diabli was wzięli przez niezgodę, a przy tym przez cztery miesiące waszych brali i brali dzień w dzień, tak, że teraz już jest wygolone na czysto.

— A „Robotnik” wychodzi? Sprzedają na ulicy, jak dawniej?

— Teraz wychodzą aż dwa „Robotniki”, ale jeden rzadziej od drugiego i już ich nikt prawie nie ciekawy. Przychodzi tu chłopczyna, co sprzedaje, powiada, że żadnego obrotu nie ma, choć tę bibułę teraz za darmo dostaje. Nie ma kto kupować!

— Cóż się takiego stało? Ja nic jeszcze nie rozumiem...

— Co się stało? Ludzi zabrakło. Co było najporządniejszego, to już dawno wybrane. Nie miał kto rządzić, a za łeb trzymać, a do kupy zganiać. To się i rozlazło wszystko, a teraz i tych biorą — aż całą Warszawę przeniosą do Wiatki albo do tego Narzymskiego kraju. Ty się dziwisz, co się stało, bo ci się nie chce wierzyć, że rewolucja już się skończyła.

— Oho — za prędko by było! Ale to być może, że się coś na tę chwilę zepsuło...

— Tobie za prędko, a mnie się widzi, że już było czas. Wy tam w cukrowni niewiele widzieli. Ale ja z tego sklepu wszystko widziałem dzień po dniu, choć w żadnej partii nie byłem. Patrzaj tam naprzeciwko, widzisz? Sklep zamknięty. Ja ten interes dawno znam. Nie umiał facet prowadzić i stracił. Póki miał po matce pieniądze, to szło i szło. Potem zaczęło utykać, potem latał za pieniędzmi po Żydach, na lichwę pożyczał, ale sklep był otwarty — towar na półkach był — ludzi przychodziło zawsze jeszcze trochę. Wreszcie nastął dzień, że się urwało i patrzę wczoraj rano — sklep zamknięty. Każda rzecz ma swoją

przyczynę. Każda rzecz się kiedyś zaczyna i kiedyś się kończy. Jak się nie wygrywa, to się przegrywa, a im prędzej, tym lepiej. Tyś młody, to jeszcze doczekasz lepszych czasów, a tymczasem i to twoje szczęście, żeś wyszedł cało...

Jak mógł, pocieszał go stary wuj i starał się go wyprawić do domu. Ale Weszycki rozumował, że jeżeli jest źle, to tym bardziej przyda się i bomba, i pieniądze. Wybadywał tedy starego, czy też on mu nie może podać drogi, albo choć jakiegoś śladu do pozostałych ludzi partyjnych.

— Nie chciałoby mi się ciebie, chłopcze, gubić, ale jak już chcesz koniecznie, to dostać by się można. W sklepie się o wszystkim można dowiedzieć, bo ludzie sami znoszą. Ale po pierwsze: wszystkich partyjnych, to jest ludzi, jak się patrzy, com ich znał, już powybiali. A po drugie, ci, co jeszcze są, to oni po prawdzie niewiele wiedzą, choć niby do czegoś należą, a po trzecie — dużo jest łajdactwa po rewolucji. Możesz trafić, gdzie nie zechcesz, więc zawsze trzymaj się, a pilnuj się z każdym.

— Mnie by trzeba kogo z bojówki — odważył się wreszcie Weszycki — jeżeli jeszcze jest jaka bojówka... — dodał ze smutkiem.

— Oho — tego ci się zachciało!

Wuj się zląkł, aż pobladł. Potem się tego zawstydził, a następnie zaczął obszernie wyklądać siostrzeńcowi swoje racje, zmierzając ku temu, żeby zaraz dzisiaj wracał do domu wieczornym pociągiem.

— Bojówka... Albo ona jest, albo jej nie ma. Jeżeli nie ma, no to nie ma. A jeżeli jest, to ona się już na te czasy tak chowa, że nie tylko my z tobą, ale najsprytniejsze szpicle i prowokatory jej nie wywęszą. Tu już nie ma żadnego gadania. Zrozum to i daj ty sobie spokój! Na takie straszne prześladowania, kiedy ludzi biorą po prostu za nic — oni już musieli się przyczaić, jak należy. Najprędzej powłazili wszyscy do jakiego kuferka, a zostawili tylko jednego, ostatniego, który ich tam zamknął na angielski zatrzask, a klucz schował do kieszeni i pojechał za granicę czekać na lepsze czasy. Jeżeli jeszcze jest bojówka, to tak by właśnie zrobiła!

— A kto strzela szpicłów po ulicy, po knajpach? Sam wuj gadał, że nie ma dnia, żeby nie było po kilka wypadków?

— Kto strzela? Amatorów do strzelania nie brak. A kto oni? Diabli ich wiedzą. Biją szpicłów i tych swoich zdrajców — ale równie dobrze i nas z tobą mogą postrzelić, jak pójdziemy wieczorem na piwo. Wyda się któremu, drugiemu się przywidzi. Giną i ludzie niewinni, a w dodatku jeszcze mają i hańbę na wieczne czasy, bo jak ich ogłoszą w „Kurierze” z imienia i nazwiska, to wszyscy wiedzą, że to były szpicle. Są też takie bojowce, co ich za łajdactwo powyrzucali z partii; są tacy, co się sami zbuntowali i na własną rękę chodzą. Są tacy, co im partia kazała broń oddać, jak rozpuszczoną robotę umniejszali, a oni nie zechcieli i strzylają dalej do stójkowych, do szpicłów, ażeby zaś wyżyć, chodzi poniekąd na komunę. Taki jeden do mnie przychodzi — stary znajomy. Poczciwy to chłopczyna. Włóczy on się z tą maszyną po mieście, skarży się na swoją dolę. Wygnali mnie — powiada — niesłusznie, za to, że samowolnie bandytę jednego zabił, który się odgrażał w knajpie na naszych. A ja mam na sobie sześć zamachów i nazwisko moje zasypane trzy razy — chodzę za lewym paszportem, do roboty stanąć nie mogę, bo mam przestrzeloną i niezagojoną rękę... Ot — służy sprawie — a żywi się, jak może, taka jego dola. Ile razy przyjdzie, dostanie ode mnie złotówkę, bułkę, chleba, syrek, pół funta wędzonki i paczkę papierosów. To jest moja zapomoga z dobrego serca, ale jest to także jakby podatek. Z takich rzeczy on żyje, a jak kto go z dobrej chęci wesprzeć nie zechce, to on mu z rękawa pokazuje maszyną. Przychodzi raz na tydzień regularnie. Jak nie przyjdzie w który tydzień, to znaczy, że go wzięli, a w takim razie powiesz go na pewno. Takich ja kilku znam, którzy się tułają — szukając tej śmierci po świecie. Ale z takiego ci nic, bo taki sam od partii trzyma się z daleka, a po drugie, taki co dzień może być inszy — dziś strzyla do policji, a jutro chodzi z tą samą policją i zbiera po ulicy swoich dawniejszych towarzyszy. Czasy są podłe i co dzień podlejsze. Wracaj ty, chłopcze, do domu! Co masz za interes? Czy już taki bardzo ważny? Co tam już teraz — teraz się obejdzie...

Weszycki pożałował, że się przed wujem wygadał z bojówką i zaczął starego obchodzić.

— Et, co do bojówki, to mi o to tak bardzo nie chodzi. Chcielibyśmy do związku zawodowego naszą cukrownię wpisać. Podobno tu ma się coś takiego robić.



— To co innego. To robota jawna, uczciwa i jeszcze niedawno dobrze wszystko szło. Znam wielu, co należą, ale teraz wzięli się i do nich. Zamykają te związki jeden po drugim, a jak nie zamykają, to wybierają tych, co rządzą, potem tych, co są wpisani i tak dalej. Potem ich puszczają i znów się zaczyna robota, a potem ich znowu biorą i tak w kółko. Że te ludzie nie powariują, to cud!

Weszycki w ciągu trzech dni widywał się z różnymi ludźmi, idąc za nicią, daną mu przez wuja. Ale towarzysze ze związków zawodowych wyrażali się o partiach z tak intensywną goryczą, że ani mowy nie było o jakiegokolwiek pomocy z ich strony. Maglarka z ulicy Piwnej, której syn i mąż siedzieli od dawna, była opryskliwa i, na grzeczną propozycję wskazania kogo z ludzi partyjnych, odpowiedziała: „Idź pan do Ratusza, to znajdziesz ich wszystkich, albo jak pan wolisz, to idź do Ochrazy, tam służy też sporo waszych. Te cię najprędzej doprowadzą”. Kiedy zaś ją bardzo prosił, nie zważając na żadne miny, odpowiedziała mu dobrotliwie:

— Widzę, żeście człek głupi, jeżeli wam się o tej porze tak śpieszy do partii. Ale ja i nad takim litość mam i do waszej zguby ręki nie przyłożę, choćby przez uwagę na waszego wuja, którego znam od dwudziestu lat.

Stosunki wuja były niewyczerpane. Ale Żyd kupiec, z którym wuj prowadził interesy, miał drogę tylko do żydowskich partii. Wędliniarz z przeciwka jeszcze wczoraj wiedział, jak się dostać do lewicy i to do samego komitetu warszawskiego, ale cóż robić, kiedy wczoraj wzięli na ulicy tego jego faceta. A bez niego wędliniarz wiedział tyleż, co i jego kielbasy. Służąca z tej samej kamienicy, gdzie był sklep, miała narzeczonego we frakcji rewolucyjnej, ale traf zrzucił, że w tym czasie nastąpiło zerwanie, i dziewczyna, zalana łzami, spowiadała się w sklepiku przed swoim starym powiernikiem, że jej chłopiec na pewno teraz zginie z rozpaczony przez „ten jej głupi upór”, że teraz „pójdzie na całego” i już nie wróci, bo zabrał maszynę, która była u niej na przechowaniu.

Trudno szło. Ale wuj się już zawziął, zapomniawszy o wszystkich swoich obawach. Wuj był ambitny i wstyd mu było, że mu się nie udaje. Teraz zaczął się starać, jakby dla siebie samego.

A Weszycki smutny i osowiały włóczył się po mieście. Pamiętał, był w Warszawie u schyłku „dni wolnościowych”. Głowa mu pękała od czytania wychodzącej bibuły i od słuchania na wiecach, a serce wydzierało się z piersi od wrażeń. Widział na własne oczy potęgę ludu roboczego, widział rzeczy, o jakich mu się nie śniło. Bywał na „biurach”, gdzie radziło i po stu ludzi, widział towarzyszy z centralnego komitetu i nawet z jednym gadał. Burzuje trzęsły się ze strachu i płaciły podatek — policja przycichła, samoobrona partyjna rządziła w mieście i zaprowadziła swoje porządki. A teraz...

Poszedł Weszycki przed Filharmonię. Postrojone damy wylaziły z dorożek na koncert. Komisarz i policjanci pilnowali porządku, a w szatni roilo się od eleganckiego towarzystwa. Było wesoło, barwnie, hucznie, jasno, pachniały perfumy, wszyscy tu byli kontenci i śmiejący się.

Żal ścisnął go za serce.

Głowa przy głowie stali tu roboczarze i on z nimi. Pełne były schody, dusili się ludzie we drzwiach, a niezliczony tłum z ulicy pchał wszystkich, tak że zdawało się, że się ściany rozstąpią. Ale nie było już miejsca na górze ani w salach, ani w korytarzach. Tedy stanął na schodach jakiś towarzysz i powiada: Tu będzie wiec! Cicho tam, towarzysze! Ja gadam!

I jakże on gadał! Co się też z nim dzieje? Wokoło ludzie wzdychali, płakali, ryczeli z zapału. Gadał ze dwie godziny, aż kobiety zaczęły mdleć z gorąca i ze ścisku. Przed gmachem na ulicy znowu wiec, a raczej z dziesięć wieców, aż czarno od ludzi. Tłum wywala się przez główne drzwi i nie ma się gdzie podziać. Jak pójdzie: *Czerwony sztandar!*...<sup>62</sup>

Gdzie się to wszystko podziało? Weszyckiego zmroziło wspomnienie. Wstąpił gdzieś na rogu do knajpki zakropić się, bo mu już się źle robiło na duszy. Wypił raz, zakąsił, posiedział, wypił po raz drugi i trzeci.

<sup>62</sup>*Czerwony sztandar* — hymn proletariatu polskiego od 1882. Autorem polskich słów był Bolesław Czerwieński, który starał się zawrzeć w nich najważniejsze idee ruchu socjalistycznego. Melodia napisana w 1843 r. przez Jacquesa Vogt (*Marche de carabniers fribourgeoise*), adaptowana przez Jana Kozakiewicza, była pierwotnie melodią szwajcarskiej pieśni patriotycznej (*Les bords de la libre Sarine*). W 1877 r. anarchista Paul Brousse ułożył dopisał do tej melodii słowa o wymowie rewolucyjnej (*Le Drapeau rouge*). Tekst polski jest inspirowany tekstem francuskim, ale nie stanowi wiernego tłumaczenia. [przypis edytorski]

Kiedy się znalazł na ulicy, znowu napotkał grupy ludzi — po kilku, pędzonych z cyrkulów do ratusza. Znowu zaczął go patrol o ten paszport. Za tym razem zrewidowali go. Był tam cywilny, z miny robociarz, który mu przez cały czas uważnie patrzył w oczy. — Ejże, draniu — pomyślał z bólem Weszycki — żebyś ja cię tak dostał w moje ręce! Okropnie mu stanęła w pamięci twarz zdrajcy. — Skąd się robi taki zdrajca? — Jak to idzie? — tego nie mógł zupełnie zrozumieć. Rozmyślał i tylko mu się w głowie przewracało. Nie nawykł on do takich rzeczy w swojej cichej okolicy. Żeby tak miał przy sobie broń, poszedłby za nim i gdzieś by go tam przycapił.

Szedł Krakowskim Przedmieściem, aż pod Brystolem coś sobie przypomniał. Wszedł do jednej bramy i minął długie podwórze. Stał przed ciemną oficyną i westchnął. Tu się drukowała i wychodziła gazeta. Tu na górze siedzieli towarzysze, co ją pisali, i inni, najpierwsi w robocie ludzie. Tu przychodziły deputacje, tłumy interesantów, delegacji strajkowi, różne komitety po radę, po rozkaz. Wokoło harcowały chłopaki-roznościele, hałasując po całym podwórzu. Całe ich chmary obstały wejście do drukarni, gdzie płonęły wszystkie okna i, hucząc, pracowała maszyna. Co było ścisłu i krzyku, jak rozpuszczali numer! Wydierali go sobie ludzie. Stał wtedy, pamięta, że dwie godziny na tym samym wybrukowanym miejscu i dusza mu rosła. Nasza gazeta! Nasza własna, partyjna gazeta, co się we własnej drukarni bije i na cały świat idzie, i nikt nie ma prawa ani siły, żeby temu przeszkodzić!

Wszystko diabli wzięli! Poczul się słabym i nic mu się już nie chciało. Wyjechałby, co prawda, z chęcią dziś jeszcze z tej Warszawy, gdyby nie to, że całkiem mu się nie chciało wracać do domu. Po co tam pojedzie z takimi nowinami? I co będzie robił? Już do niczego nie miał ochoty. Marnie mu było, jak nigdy.

Ale u wuja czekała na niego dobra nowina. Stary znalazł drogę do partii i to taką, że najprzód jest pewna, jak mur, a po drugie doprowadzi go i do jednych, i do drugich ze starej partii.

— Dowiedziałem się, że jeszcze tak źle nie jest. Tworzy się tu jeszcze nowa partia — też z bojówką. To ma być nareszcie dobra! Co najlepszego zostało, to tam idzie...

— Mnie trzeba tylko do tych, co ze starej... nowych ja nie ciekawy...

— Nowa ma zgodę zaprowadzić...

— Zgoda dobra rzecz...

— Tu ci jeden pokaże takich, co ci wszystko wytłumaczą, bez przymusu. Będziesz miał wolną drogę. Jakem wuj, takem się dla ciebie postarał, żebyś nie gadał, że się boję, albo że czego w tej Warszawie nie spotrafie<sup>63</sup>. Jakbyś sam szukał, tobyś o tej porze już był tam, gdzie nie daj Boże — a przeze mnie trafisz wszędzie. Czekałeś cztery dni, ale masz...

Weszycki serdecznie dziękował staremu.

Nazajutrz poszedł pod wskazanym adresem. Zastał towarzysza, co mu z całym ogniem i dokumentnie wyłożył, o co chodzi. Że ze starej partii zrobiły się dwie. Że jedna chce tego, a druga tego. Że on jeszcze myśli, że będzie zgoda, bo główne niezgodniki siedzą itd., itd. Poszli we dwu do trzeciego na ulicę Rycerską na czwarte piętro na podstryszu, a ten spytał Weszyckiego, co ma za interesy? Weszycki spytał o bojówkę, ale o samym interesie gadać jeszcze nie chciał, tylko oznajmił, że przywiózł pieniądze, 250 rubli. Poszli tedy we dwu, ale osobno dla ostrożności, jeszcze w inne miejsce na Rymarską. Tam Weszycki zastał poważnego towarzysza, który gadał z nim z wysoka i jakoś niemiło. Temu odkrył wszystko.

Dopieroż surowy towarzysz się ucieszył. Tego nam było potrzeba. Mniejsza o flotę — ale bomba! Towarzyszu — nowe życie się u nas zacznie! Przecie my na to tylko czekamy! Trudno taką rzecz na poczekaniu zmajstrować — nasi ludzie, co to umieli, już wybrani. No — no — dziękuję wam w imieniu partii! Dzielni są wasi chłopcy! I szpiclaście sprzątnęli — dobrze!

Od razu, jakby kto odmienił Weszyckiego. A więc partia jest, choć w ciężkich kłopotach. A więc dźwiga się i jeszcze będzie dobrze! A on się do tego przyczyni. Umawiali się co do wręczenia pocisku komu należy. Pieniądze towarzysz policzył i przyjął. Zapalili papierosy i gadali o różnych sprawach. Towarzysz rozpytywał ciekawie o stosunki w cukrowni i w okolicy. Weszycki opowiedział mu szczegółowo o wszystkim. Miło mu było

<sup>63</sup>spotrafic (gw.) — zdołać, dać radę. [przypis edytorski]

zdać nareszcie sprawę z roboty za taki długi czas. Miała się czym pochwalić organizacja lucieńska. Towarzysz zapisywał sobie w notesiku niektóre fakty i niektóre nazwiska i pomrukiwał zachęcająco: Dobrze, dobrze, tak właśnie należało.

Wreszcie, Weszycki nieśmiało zaproponował, czy nie mógłby zostać w Warszawie, przy tutejszej robocie. — Czasy są złe, ludzie wybrani, ja myślę, żebym się tu raczej przydał, a tam moi dadzą sobie rady i sami. Towarzysz pomyślał chwilę i przystał. — Dobrze, zostanieie u nas. A o robotę ja się dla was już postaram.

I znowu nowe życie weszło w Weszyckiego. Okropnie był rad czepić się tej nowej pracy w Warszawie. Ufał sobie, że taki, jak on, siłą dopomoże partii w tej ciężkiej potrzebie.

— Ja bym się podjął, jak trzeba, tę bombę szmyrgnąć w kogo tam towarzysze uważają... Na taki czas toby dobrze zrobiło, prawda?

— To wiadomo. Ale nad tym trza się jeszcze zastanowić. Tymczasem gadajcie, gdzie ona jest, ta bomba. Trza ją, nie zwlekając, gdzieś schować w pewne miejsce.

— Już ja ją zaniosę tam, gdzie trzeba...

— Nie. Nasz człowiek po nią pójdzie. Wy nie znacie miasta. Gdzie stoicie?

— Wolę ja sam zanieść. Ja mieszkam w takim miejscu, gdzie obcemu nie można.

— A gdzie?

Ale Weszycki się uparł, że on sam zanieśie. Chodziło mu o to, żeby się wuj nie domyślił czego, bo dobry on był, że lepiej nie trzeba, ale takiej rzeczy by mu nigdy nie darował. Towarzysz był zły, i Weszycki go bardzo przeproszał, ale przy swoim obstawał.

— No, na upór nie ma lekarstwa, może was inni przekonają. Jedziem na Centralny Komitet, tam wam też kwit wydadzą i podziękują za wszystko.

— Robilem, com był powinien, nic więcej...

Weszycki był wzruszony, że ujrzy towarzyszy z Centralnego Komitetu. Wszystko się dobrze składało.

Na ulicy towarzysz kazał dorożkarzowi podnieść budę, wsiedli i pojechali. Wjechali w jakiś wielki gmach — w podwórze, i dryndziarz stanął. Na schodach Weszycki zaczął się dziwić, potem stanął, potem krzyknął, ale już go wzięło między siebie dwu drabów i wciągnęło go na pierwsze piętro do jakiejś poczekalni. Stali tam żandarmi, stójkowi i jakiś mizerny, jak cień, człeczyna, w kajdanach na nogach pod strażą dwu żołnierzy. Na skórzanej kanapie siedział rozwalony, z papierosem w zębach, ów wczorajszy drab cywilny, który go rewidował na ulicy. „Towarzysz” przywitał się z nim i usiadł obok, nie zważając zupełnie na Weszyckiego, który rzucał się ku niemu i wrzeszczał, jak wariat. Wsunęli mu parę kulaków pod żebra, aż go sparło, i nałożyli mu na ręce kajdanki.

---

Przez olbrzymie okna kawiarni Kamil patrzył na Sukiennice, na wieże Mariackiego kościoła, na ludzi rojących się po rynku, a widział przed sobą jakby niezmierzoną, matematycznie równą, białą płaszczyznę. Pusto — zimno. To, na co patrzyły oczy, wydawało mu się czymś dawno przeżytym. To wspomnienie jakiejś przeszłości błąkało się po głowie, przeskadzając rozumnemu myśleniu o tym, co jest. A nie ma na świecie już nic poza pustą, zimną przestrzenią. Życie można spędzić, idąc ku jej granicom — nie ma końca biały świat. Nie ma na nim drogi, kierunku. Ani śladu żywej istoty. Martwo i głucho.

Oderwą się od duszy ciche myśli, jak westchnienie. Pójdą w dal, żeby zniknąć już na zawsze. Przemykają po równinie lodowej, jak pasemka śnieżnego pyłu. Oto już je zdmuchuje przebiegająca chwila. Rozlega się rozpaczliwe pytanie. Głucho i martwo. Nie czeka odpowiedzi i milknie wśród białej pustyni. Niepojęta samotność! Obląkany strach opasuje duszę, zaciska swoje niemilosierne zwoje i trzyma. Zaciąga swoje węzły i dusi.

Nie ma do kogo uciec. Nie ma dokąd. Ta przestrzeń pochłonie każdy wysiłek. Nie ma ona granic, jest wieczna.

Kamil zwyczajnym, ludzkim odruchem otrząsnął się spod opętania natrętnej wizji. Wspominał i szukał, badając, skąd by do niego przyszła?

Biała, niezmierna, zimna i pusta równina? Kiedyś była?

Step Jodowy zakrył potężną, rozlaną jak morze rzeką północy. Kryją się w dalekich mgłach dalekie brzegi. Pusto, równo, przeraźliwie. Tęskno, strasznie, samotno...

Nie.

Niezmierzone pola śniegowe Aletschgletscheru<sup>64</sup>. Nisko nad nimi mgły. W chmurach są szczyty bliskie i dalekie — wokoło nic, prócz śniegów bez końca. Bola oczy od blasku, boli duszę pustka, przeraźliwa cisza... Nie.

Uśmiechnął się do swojej tajemnicy. Już ją odgadł.

To śmierć. Jego śmierć.

Jakże kochać należy dobrą, białą pustynię! Jak trzeba błogosławić jej martwe pola spokoju, zapomnienia! Na całą wieczność, na nieskończone, nadludzkie *zawsze* odeszły już krwawe dzieje, straszne obrazy, trudne myśli i to własne, własne bezgraniczne cierpienie.

Oto ze wszystkiego stało się — nic.

— Nie ogarnie ludzki rozum nicości. Nie widzi jeszcze dusza, spragniona szczęścia, bezmiaru jej rozkoszy. Ale już przeczuwa prawdę śmierci i korzy się w uwielbieniu przed jej cudem i łaską.

Po wielkiej sali sunęli się goście, rozlegały się głosy, śmiechy, brzęk szkła i naczyń. W jednym kącie siedziała grupa znajomych, rozprawiających głośno, z ożywieniem. Poznawał głosy, poznawał twarze, pamiętał i wiedział o tych ludziach wszystko. Ale gdy na nich patrzył, wydawało mu się, że to daleki obraz przeżytych zdarzeń wypłynął niepotrzebnie i przeszkadzał mu wpatrywać się z rozkoszą w to jedyne, co było prawdziwe w tej chwili: w równą, białą, nieskończenie rozległą i na zawsze samotną płaszczyznę — innego świata.

A z tego innego znowu, realnego świata wyszedł i zmierzał ku niemu dawno już niewidzialny stary towarzysz, Leon. Kamil drgnął i w oczach zapaliły mu się iskry. Widział, jak przesuwiał się między stolikami i zbliżał się krok za krokiem. Wyglądał jak zawsze. Kamil patrzył na niego już obojętnie. W milczeniu podali sobie ręce.

— No, dla samej etykiety należałoby się, żebyś choć udał trochę tak zwanej serdeczności.

Kamil uśmiechnął się blado.

— Zmieniły cię te ostatnie dziesięć miesięcy — ciągnął Leon, patrząc nań życzliwie. — Coś o tym słyszałem, ale rad bym się dowiedzieć czegoś pewniejszego. Musisz mi o sobie wszystko opowiedzieć.

— Nic ci nie muszę opowiadać.

— Musu nie ma, ale może i sam zechcesz?

— Nie zechcę.

— No, to ja zacznę o sobie. Nie ciekawys, com ja tam robił za kratą prawie przez rok? Nie dziwisz się, żem się wy dostał z potrzasku, jako ten mądry szczur?

— Wszystko mi jedno. Ale nie lubię, jak udajesz nie siebie. Gadaj, co chcesz, tylko — po swojemu.

— Dobrze. Otóż przyszły na nas czasy straszne. Między ludźmi, co ocalili, spustoszenie. Rozejrzałem się i wiem. Ale w mojej samotności przeczuwałem i to. Zawczasu obmyślałem sposób na te czasy i teraz go już mam. Na ten plan muszą się zgodzić ci nasi, bo to jedyny logiczny plan. Wiesz, że zawsze byłem realistą i obchodziłem się bez marzeń w tych niedawnych romantycznych czasach... Nie ciekawys?

— Nie.

— Opowiadają mi tu o tobie różni zmarnowani ludzie, że „Kamil jest zmarnowany”. Uprzedzam cię, że ja nie pozwolę ci zmarnieć! Gadaj sobie, co chcesz! Ja ci rady dam! Nie uśmiechaj się szydyczko, tylko słuchaj i staraj się zrozumieć. Wiem o tobie wszystko. Widzę każdą twoją myśl. Nie masz żadnego prawa mnie nienawidzić. Nie masz prawa patrzeć tu na mnie jak wróg. Nie jesteś obłąkanym, ale rozumnym człowiekiem. Twoje cierpienie znam. Lekarstwa na nie nie mam. Ale potrzebuję ciebie i sprawa ciebie potrzebuje. I dlatego nie odczepisz się ode mnie. Dlatego będziesz musiał słuchać, co mówię. Słuchaj i milcz, jeżeli nie możesz mówić! Nadejdzie chwila, że przemówisz. Możesz sobie wyrabiać miny — nie krępuj się bynajmniej!

<sup>64</sup>Aletschgletscher — największy lodowiec Alp, położony w Alpach Berneńskich, w kantonie Valais w Szwajcarii. [przypis edytorski]

Kamil spoglądał w swoją białą krainę. Na ustach jego ukazał się lekki uśmiech i pozostał. A Leon mówił przyciszonym głosem, patrząc mu z bliska prosto w oczy.

—...Jedni mi prawią, że już po rewolucji, inni uważają, że przyznanie tego jest zdradą. Mnie to wszystko jedno. Jeżeli jest rewolucja, tym lepiej, jeżeli zaś osłabła tylko z upustu krwi, a ci, co wyszli cało, myślą przede wszystkim o zachowaniu swej całości — to należy wyżyć wszystkie siły i zgromadzić do kupy choć z kilku takich, co się nie poddają.

— *La garde meurt, mais ne se rend pas*<sup>65</sup> — mruknął Kamil.

— Cieszę się, żeś przemówił. Ale nie idzie mi o żaden honor. Ja nie pisuję dramatów krwią ludzką. Jest to tylko „zabawienie” wroga — manewr strategiczny. Mnie idzie o to, żeby do czasu osłonić psychikę masy. Trzeba uchronić od zatracenia olbrzymie, głębokie i bezcenne przeobrażenia duchowe, które zaszły w masach. Kiedy się ogłosi i umotywuje, że „przedstawienie skończone” — wszystko powróci do dawnego spania, liżąc rany, przeklinając cały ruch i płaszcząc się przed wrogiem. A teraz jeszcze żyje wola i nienawiść. Już nie ma wiary w zwycięstwo, ale jeszcze żyje żądza zemsty. Jeszcze nie pogodziła się podła dusza tłumu ze starym batem, jeszcze hardym jest zbuntowany, zbity i okuty niewolnik. Ale co będzie jutro?

— Wszystko mi jedno...

— Dobrze, żeś przemówił. Coraz lepiej! Otóż jutro może nadejść kres, mogą się zacząć objawy masowego upodlenia i wówczas runie wszystko, co pozostało, a zostało jeszcze ogromnie dużo. Ocalało najcenniejsze: bunt! To należy podtrzymać za wszelką cenę. To moje jedyne na dziś zadanie. Dusza tłumu domaga się odwetu. Socjolog to nazwie naiwnym — bo to jest naiwne, ale dusza masy jest też naiwna i w tym leży jej pierwotność i wielkość. Prawdą jest, że teraz nic realnie nie wskóramy tym naszym słabym — śmiech powiedziec — tak zwanym „terrorem”, ale damy masom w czarnej doli momenty, przebliski chwilowego zadowolenia, damy im chwile złudzenia siły — damy im bodaj cień zemsty! To znowu niby naiwne, ale mój cel jest trzeźwy, obliczony, niezawodny. Mój cel jest mały, jest raczej środkiem do czegoś — co ma kiedyś nastąpić, ale na tymczasem, na to okropne „tymczasem”, starczy i tego. Niechaj się dzieje to, co być musi. Może odżyje rewolucja? Może zajdzie jakiś przewrót? Może będzie nowa wojna, japońska, nie japońska? Na ten czas my — tym małym, możliwym środeczkiem...

— A w tym środeczku — sadzawka krwi z kolumnadą szubienic naokoło...

— Małą ilością krwi i małą ilością szubienic dokażemy tego, że masy nie upodlą się w tym najgłębszym, tajemniczym swoim, bezwiednym wnętrzu, skąd wypływają impulsy do wielkich działań. I do ponownego ataku, jeżeli przyjdzie jego czas, będziemy mieli w masach rozproszone po duszach gorejące iskiere, od których zapalić można znowu wielki pożar.

— I długo tak będziesz w stanie budować te iskiere? Dopóki inne objawy nie utrzymają ich przy życiu. Jak one nie pozwolą — pójdzie na marne twój eksperyment, będą to ognie bengalskie dla ślepych, którzy zatrują się tylko czadem siarczanym...

— Wiem o innych objawach, ale nad nimi nie mam władzy. Ja czynię tylko to — co mogę. Mój system przetrwa rok, dwa, trzy i wystarczy.

— A jeżeli Japończycy nie będą uważali za stosowne dopomóc ci w odpowiedniej porze?

— To przegram.

— I weźmiesz się znowu do urządzania tajnej drukarenki, do noszenia bibuły za pachuchą i do kółek robotniczych?

— Jeżeli ocaleję, to będę to wszystko robił.

— Jakże to u ciebie idzie? Naucz i mnie! Odmfódm mnie, zdejm mi z pleców te sto lat, które przeżyłem podczas rewolucji!...

— Nie — dla ciebie, Kamilku, jest inna robota. Ty nie masz po co przeżyć siebie.

— Wiem to dobrze!

— I ja wiem. Tacy, jak ty, najlepsi na dzisiaj. Dawniej trzeba nam było żołnierzy — teraz trzeba stracenców. Szukam ludzi, co nie chcą żyć. Ja wierzę w mój mały cel, ale

<sup>65</sup>*La garde meurt, mais ne se rend pas* (fr.: gwardia umiera, ale się nie poddaje) — tymi słowami miał odpowiedzieć na propozycję poddania się Brytyjczykom fr. generał napoleoński Pierre Cambronne (1770–1842) podczas bitwy pod Waterloo. Znana jest także inna wersja jego odpowiedzi: *Merde!*, tj. 'gówno'. [przypis edytorski]

zazwyczaj ludzie umierają tylko dla wielkich. To ludzkie złudzenie, słabość, mała próżnostka... Ale trudno. Na ten czas pójdą ze mną tylko ci, co i tak nie chcą żyć. Chcę zorganizować partyjnych samobójców. Może cię rażą moje słowa, Kamilku?...

— Wara ci zaglądać do mojej duszy!

— To jest przykre, ale cóż poradzić. Trzeba się jakoś porozumieć. Już nasi ludzie zaczynają po trosze strzelać sobie we łby. Szkoda!

— Wiesz, czym ty jesteś w istocie swojej? Tam, w najgłębszym zakątku? Karawaniarzem! Ciągnie cię do trupa!

— Karawaniarz? Zgoda! Obiecuję ci uczciwy pogrzeb. Uczciwą ostatnią chwilę i, powiedzmy, trochę sławy. Mowę pogrzebową, wieńce i tak dalej. A nie będziesz miał żadnych kłopotów. W odpowiedniej chwili dam ci do ręki pocisk i zginiesz. Lepiej niż w czarnej godzinie, z pogardą dla siebie, z jakąś marną, obłudną, z trudem wykoncypowaną *ad hoc* filozofią, gdzieś tam w marnym hoteliku... A tymczasem możesz i zwariować...

Kamil zerwał się i spojrzał z nienawiścią:

— Czemużeś jej od tego nie obronił, czemuś jej nie dał pięknej śmierci?

— Bo nie było można...

— Zadręczyłeś ją!

— Gadasz głupstwa — z tego żalu...

— Nic ci do mojego żalu...

— Dobrze. Do widzenia! Pomyśl rozumnie i spokojnie o tym wszystkim. Kiedyż się zobaczymy?

Kamil spojrzał na towarzysza z szyderstwem.

— Będę myślał, będę myślał przez całą noc — a odpowiedź moją wyczytasz jutro w porannych dziennikach. A czy się zobaczymy... Haha!...

— Jak sobie chcesz. W każdym razie hańba to dla rewolucjonisty, żeby dla kobiety...

— W każdym razie wszystko mi to jedno!

Leon ponuro patrzył za nim, jak przesuwiał się między stolikami i znikł za wielką kotarą, odsłaniającą wejście. Kamil nie obejrzał się nawet na przyjaciela.

Leon został w kawiarni i zagłębił się w gazetach. Czytał pilnie z godzinę, a potem wyszedł na miasto. Wciąż potrzącał i przeproszał ludzi, pogrążony w myślach. Przechodząc koło wielkiej wystawy sklepu kwaciarskiego, przystanął i z rozkoszą patrzył na pęki kwiatów.

Coś pięknego, wzruszającego jak uśmiech dziecka, spojrzało nań z pomiędzy gałązek i bukietów. Bił od tych kwiatów zmienny, niespokojny urok smutku i radości. Przypomniały się Leonowi rzeczy dawne.

— I ona była, jak kwiat...

Wstąpił do sklepu i wybrał kilka puszystych, bogatych gałązek mimozy.

Kama leżała na łóżku i nie odrywała oczu od zakratowanego okna. Żelazne sztaby dzieliły widzialny świat na prawidłowe kwadraty. Piękne były nagie, czarne konary drzewa, powykręcane fantastycznie i pokrajane jak na witrażu, na tle bladobłękitnego zimowego nieba. Od wczesnego ranka wpatrywała się w ten obraz nienasyconą duszą — tam bowiem narysowała się nareszcie jedyna i ostatnia jej prawda, na którą na próżno czekała przez całe życie. Zapomniane zostały wszystkie męki i trudy krwawego myślenia o rzeczach niepojętych. Znikły majaki, poczwary, złudy. Porozkręcały się zaciśnięte węzły zagadek, jasne i zrozumiałe stało się wszystko — praca skończona... oto dokonane niezmierne zadanie, jakiego nie podjął jeszcze żaden żywy człowiek.

— Teraz jest szczęście! Teraz jest rozkosz! Uwielbiające, rozkochane oczy modliły się do cudu. Tam był cały jej świat. Tam ona już na zawsze pozostanie.

Nie bała się już niczego. Ani nocy i snów, ani dnia, pełnego morderczych zjaw. Nie będzie już straszliwych obudzeń — kiedy przez sekundę czuła się przeniesioną w innego, strasznie znajomego człowieka i skazaną na myślenie o tym. Okropne było to codzienne wydzieranie się ze siebie samej — było nie do przeżycia okrutne — pewne jasne, jak błyskawica, Wspomnienie..

Nie będzie tego już nigdy. O, jakże dobrze!...

Zaciąga się wszystko mgłą, a ona pływa, płynie, unosi się lekko, opada lekko i nigdy, już nigdy nie dotknie żadnych obmierzłości, które umarły, zapadły się w nicość razem ze wszystkimi ludźmi, z całym światem. Rozkosznie być samej — rozkosznie, kiedy nic nie grozi! Do siebie samej mówić, do siebie samej się uśmiechać — sobie samej nucić tę pieśń wesela i szczęśliwości! Co za rozkosz... Jest jak ptak — rozumie mowę, życie i duszę ptaków niebieskich. Polata, jak one, na skrzydłach. Kołysze się wysmukła trzcina wodna i patrzy na swoje odbicie w wodzie. Szepcze — szepcze... To ona. Nie czuje siebie, jak rozemdlewający się obłok, który oto już zanika: rozstają się ze sobą odmęty składających je dusz, rozbiegają się po wszej ziemi dusze-siostry w radości, w pięknie, w chwale. Ona jest wszędzie — wszędzie. Nie ma swojego miejsca, nie ma żadnego „tu”, ani „tam”, ani „gdzieś”.

Srebrzyście rozlega się jej radosny śmiech po białym, pustym pokoju. Długo brzmi pieśń wesela i chwały. Wyczerpana ze szczęścia usypia.

Tam we śnie staje wśród niesłychanych dziwów swojego świata, gdzie jest jej dobrze, błogo! Tam chwieją się na wietrze olbrzymie liście, kołyszą się cudne, potworne kwiaty i obłoki wypisują na modrym niebie znaki, które odczytuje i rozumie, jak litery ludzkiego pisma. Układają się wszędzie napisy, pełne nadludzkiej mądrości. Jej hasła i słowa rozbrzmiewają w szepcie liści, w plusku fali, którą w godzinę przyptywu wysłała aż do jej stóp dalekie morze. Otoczy ją tłum duchów dobrych i nareszcie swoich.

Budzi się z wolna. Opadają jej powieki. Na chwilę powróci sen. I znowu zaczyna się życie tajemne. Aż roztworzą się oczy na to, co ma być inny — jakoby prawdziwy, i długo spoglądają z niewiarą, z bolesnym zdziwieniem.

Czy to sen? Czy to prawda? Czy to prawdziwy sen? A czy bywają kiedy sny? A czy istnieje świat? Czy jest cośkolwiek? Czy jest ona?

Jest jakiś powolny ruch — opadanie z wysokości czegoś białego, białego, białego...

To płaty śniegu spływają z nieba i uścielają się na nagich konarach, na cienkich gałązkach, wszędzie — wszędzie. Przedostają się przez szyby i zapełniają biały pokój. Pełno ich — wirują, chwieją się w powietrzu, układają się na podłodze. Białe, białe...

Nagle budzi ją straszliwy, rozsadzający głowę huk.

Niepojęta siła podrzuciła ją w górę. Kama zrywa się, wypada z łóżka, biegnie gdzieś z obłąkanym wrzaskiem. Runęła na podłogę, wysłaną grubym, szorstkim dywanem. Za sekundę urwie się wszystko, zniknie wszystko. Już wie, że jest rozerwaną na strzępy. Resztką życia jeszcze wie, że daleko od niej leżą jej ręce, nogi, że krwawi gdzieś daleko odrzucone, jeszcze bijące serce.

— Gdzież moja głowa? gdzie ja jestem? — gdzie jestem „ja”? Mnie już nie ma — to śmierć. To taka jest śmierć? Ciemno.

Znowu leży na łóżku. Długo wpatruje się w człowieka, który przy niej siedzi. Człowiek porusza ustami i uśmiecha się do niej. Bardzo się stara, żeby wiedzieć, kto on jest. Powinna to wiedzieć. Ach, powinna! Powinna wiedzieć, co on mówi, powinna słyszeć. Powtarza sobie z uporem dziecka: ja chcę słyszeć, ja chcę słyszeć... Radośnie się roześmiała: ja słyszę, ja wszystko słyszę! A ten człowiek, to doktor! Ludzie nie tylko są, ale każdy się jakoś osobno nazywa: i doktor się też nazywa. Okno? ściana? dywan? śnieg? Ach tak, wiem — to jest doktor i dlatego nazywa się „doktor”.

Uspokojona powtarza ciągle w kółko cichym szepcem: doktor, doktor, doktor... Już teraz wie i nie zapomni. Doktor odchodzi, a Kama patrzy znowu w swoje ukochane okno.

Uniosła się ze zdumienia na posłaniu. Białe na świecie, tak białe! Cóż to się takiego stało? Zapragnęła, żeby było inaczej, żeby było tak, jak właśnie przed chwilą, kiedy wszystko za oknem tonęło w zieloności, kiedy do okna pochylały się i zaglądały do niej wielkie, soczyste, pachnące liście i ciężkie, blado-różowe kwiaty. Zateśkniła do czegoś niewiadomego: to chyba były jakieś miłe głosy — tylko czyje? To może był jakiś powiew, jakieś ciepło...

— Nie — to było coś innego: żywe, śliczne, pachnące. To żyło, można było z tym rozmawiać całymi godzinami. Tu na stolyczku koło łóżka czuwało nad nią... Odchodziło i przychodziło znowu, coraz inne, coraz piękniejsze. Nie ma, dawno już tego nie było!

Patrzy Kama proszącymi oczami na znajome miejsce, na biały, pusty stoliczek.

— Przyjdź, stań tu przy mnie, ja tak proszę, tak proszę...

Łzy w oczach. Krzywdzą ją. Czemuż ją krzywdzą? Kama odwraca się do ściany i płacze. Ciężka jej krzywda i nieutulony jest jej żal.

Potoki łez — cichy jest jej płacz, jak u wystraszonego dziecka, ukaranego niesprawiedliwie, zostawionego w samotności, w strasznym, obcym pustym pokoju.

We drzwiach staje stary doktor i coś długo mówi do niej, głosem wesołym, uśmiechając się pocziwie.

...A za nim, a za nim...

Za jego plecami ukazuje się straszliwe widmo.

Trzęsie nią zimny dreszcz, jest obezwładniona. Nie ma sił zawołać o ratunek, nie ma sił przymknąć oczu, żeby nie widzieć...

Patrzy szeroko rozwartymi błędnymi oczami. Musi patrzeć. Widmo przestępuje próg. Nic nie widzi, tylko jego okropne spojrzenie — od tych oczu nie może się oderwać. Kama zbiera wszystkie siły. Wydobywa się, jak spod niezmiernej skały, która ją przywaliła bez miłosierdzia. Pręży się jej ciało, pęka od mocowania pierś. Ach! Aaach!!!

Nieludzki, obłąkany krzyk. Z głową zakrywa się kołdrą. Białe ramię wysuwa się, zagarnia poduszkę, opasuje ją konwulsyjnie i przyciska do twarzy z całej siły.

Leon zbliżył się do łóżka i na jej białych, obnażonych stopach złożył trzymany w rękę gruby pęk gałązek mimozy.

Wyszedł cicho, na palcach, nie patrząc na doktora, który spoglądał na niego z wyrzutem.

Na stopach Kamy leżały w świetnym przepychu gałęzie kwiatu mimozy. Spoczęły, jak u nóg męczennicy, zadreżzonej nareszcie na śmierć przez ludzi i już wyzwolonej na wieki. Żywy, mocny zapach, pełen rozkoszy i upojenia, okrył jak całunem jej umarłe ciało.

Wuj Weszyckiego zaczął się niepokoić koło wieczora, a o północy już był pewien, że się stało jakieś nieszczęście. Wielkie było jego strapienie.

— Urządziłem go. A tom go urządził! — powtarzał ustawicznie, chodząc w kółko po swojej stancyjce i nad słuchując na każdy dźwięk dzwonka w bramie. Położył się, ale nie mógł zmruczyć oka. Dopiero nad ranem usnął. Obudziło go dobijanie się do drzwi sklepu. Stary zerwał się i dopiero w tej chwili przyszło mu do głowy, że należało się spodziewać rewizji. Rewizji się nie bał, ale miłą mu ona też nie była. Odważnie zerwał się i otworzył drzwi od ulicy.

Ale dobijał się tylko chłopak od piekarza, jak zawsze o godzinie piątej rano. Dzień minął staremu na ponurych rozmyślniach i gorzkich wyrzutach sumienia.

Mogli go zabrać z ulicy, jak biorą co dzień tylu nie wiadomo za co. Mógł się wspanać u tych ludzi partyjnych, do których mu pokazałem drogę. W każdym razie — co ja winien? Ale tym słusznym rozumowaniem nie mógł odpędzić troski. Siostrzeńca kochał bardzo, ale bardziej jeszcze trapił go wstyd, że jego stosunki i starania tak haniebnie zawiodły. Przez cały dzień docierał, jak mógł, do owego towarzysza, do którego posłał siostrzeńca, a którego adres otrzymał z takim trudem. Nareszcie dowiedział się, że robotnicarza tego zabrano w nocy. Dopiero nazajutrz wyczytał w „Kurierze Porannym” nazwisko siostrzeńca na długiej liście więźniów, którzy przybyli do więzienia na ratuszu. — Ha, trudno! Wszystkich pobrali — dlaczegoż jego nie mieli zabrać? Ani on poświęcany, ani asekurowany. Wzięli go — niech siedzi.

Stary powybierał z wiktuałów, co miał lepszego w sklepie, dokupił jeszcze cośkolwiek i naładował pełen koszyk dla siostrzeńca na „wałówkę”. Dodał mu jeszcze poduszkę, kołdrę, wreszcie zajrzał do jego koszyka, żeby mu wybrać coś z bielizny. Ale nie znalazł tam ani bielizny, ani żadnych innych rzeczy. Koszyk był wypchany sianem od wierzchu do spodu. Stary zdziwił się i zaczął grzebać w sianie. Ale nie znalazł nic, prócz żółtego pudełka skórzanego, okręconego rzemieniem. Pudełko było porządnie ciężkie. Starego tknęło, że to pieniądze — złoto. — Gdzieś oni to zdobyli w swoich stronach i teraz do partii przysyłają. Przymknął tedy drzwi od sklepu, zasłonił okno i zajrzał.



W pudełku siedziała szczelnie masywna puszką żelazna. Stary wydobyl ją, zważyl w rękę, potrząsnął, obracał na wszystkie strony, ale pieniądze nie dźwięczały, bulgotało tylko coś we wnętrzu cichuteńko, jak w zakorkowanej butelce. Pokrywa nie dawała się odkręcić. Puszką była grubo nasmarowana zaskrzepłą tłustością i tylko obracała się w rękę. Kiedy tak oglądał ją na wszystkie strony, nagle poraziła go, jak piorunem, pewna myśl — okropne podejrzenie — niezbita pewność!

Stary skamieniał ze zgrozy. Bał się poruszyć z miejsca, bał się położyć straszny przedmiot, a dreszczem przejmowało go jego zimne dotknięcie. Tak stał długo, aż dopóki ktoś nie wszedł do sklepu. Zebrał wszystkie siły, zmusił się i złożył puszkę na sianie w koszyku... Zlany zimnym potem stanął za ladą, nieprzytomnie patrząc przed siebie i dysząc ciężko.

— A co to panu? Chory?

Staremu latały przed oczami czarne płatki i nie od razu poznał, kto przed nim stał. Był to chłopak lat około dwudziestu, gołowąs, blady, o smutnym wejrzeniu w podsiniałych oczach. Pokierszowany kapelusz miał nasunięty głęboko, a szerokie palto było zapięte szczelnie, ale włożone tylko na jeden rękaw.

— Cóż to, febra pana trzęsie? A może pan na loterii wygrał główny los?

— Jeszcze ciebie tu, szczeniaku, brakowało! Wynos się, pókiś cały...

Chłopak spojrział nań zdumiony i w teże chwili oczy jego stały się złe, bezczelne i wyzywające.

— Powoli, stary, tylko aby nie za prędko... Szczeniakiem ci nie jestem, bom nie twój syn... Ze mną trza grzecznie, to i ja jestem grzeczny. A jak pan chcesz być burżujem, to pogadam z tobą, jak z burżujem... Stało się co? Gadaj pan po ludzku!

Staremu lzy rzuciły się do oczu. Z całą nierozważą rozpaczy wyjawiał chłopakowi niebezpieczną tajemnicę. Może dlatego, że jego pierwszego spotkał w tej najgorszej chwili. Gdyby tu do sklepu weszła znajoma kucharka, jaki dorożkarz po papierosy lub byle kto, pierwszy lepszy z ulicy, może by też powiedział wszystko. Stracił zupełnie głowę.

Chłopak natychmiast opanował sytuację, a jeszcze lepiej sklepikarza. Stary czynił wszystko, co mu kazano. Trząsł się ze strachu i z niezmierną ulgą widział, jak chłopak wsuwał pocisk do kieszeni paltota. Z niezmierną ulgą wyjął z kasy i dał mu pięć rubli, zdjął z haka, nie ważąc, krąg kielbasy, dodał całe ćwierć funta herbaty, wypakował mu kieszenie paczkami papierosów. Chłopak mógłby z nim zrobić w tej chwili, coby żywnie chciał; stary podpisałby weksel, przepisałby cały sklep na imię swego wybawiciela, usynowiłby go — za to, że chłopak zabrał tę straszną rzecz, a uczyniłby jeszcze nierównie więcej — gdyby poszedł sobie jak najprędzej i żeby już nigdy nie wracał.

Wreszcie stary został sam i złożył ręce, a oczy wznosił ku sufitowi. Gorące, dziękczynne westchnienie wypłynęło ze sklepiku i poszło w przestrzenie niebieskie. Radość starego była niezmierna i w pierwszej chwili graniczyła z obłądem. Tak trwało z godzinę, aż nagle wróciło opamiętanie, a rozpacz go porwała, gdy sobie uświadomił, jak śmiertelne głupstwo popełnił z tego śmiertelnego strachu. Oddał się bowiem w niewolę człowiekowi więcej niż niepewnemu, półbandycie, który zostanie lada dzień całkowitym bandytą. Związał się z jutrzejszym prowokatorem, który na niego pierwszego wskaże — jest i pozostanie na łasce i niełasce człowieka bez czci i wiary.

Staremu leciało wszystko z rąk. Patrzył nieprzytomnie, na pytania odpowiadał bez sensu. Spalił w piecu futerał po pocisku, koszyk synowca i nawet siano z koszyka, ale nie przyniosło mu to ulgi. Było mu coraz gorzej. Czuł, że pogrąża się coraz głębiej i tonie w okropnościach...

Tak „wpadł” mądry i szcwany znawca życia, uważny świadek i obserwator rewolucji, który ze swego sklepiku wszystko widział i wszystko rozumiał, który każdemu umiał dać rozumną radę i każdemu potrafił: „otworzyć oczy” i „zatkać gębę”.

---

Rewilak, wyszedłszy ze sklepu, szybko przepychał się przez tłumy przechodniów na ulicy Piwnej i, skręciwszy w bok, zagłębił się w wąskie uliczki starego miasta. Niepowstrzymana radość iskrzyła się w podsiniałych oczach chłopaka, na wymizerowanej twarzy jaśniał naiwny i głupowaty uśmiech szczęścia, jak u dziecka.

Było to bowiem prawdziwe szczęście. Takie szczęście może się przyśnić, do takiego można wzdychać — ale bez żadnej wiary, żeby się ono kiedykolwiek mogło sprawdzić...

A jednak jest ono prawdą. Chłopak czuł prawdę tego szczęścia całą duszą i pełną świadomością. Było ono namacalne i dosyć ciężkie. Nie ufając mocy swojej kieszeni, podtrzymywał bombę ręką i co chwila ścisnął ją mocno, jak gdyby się chciał upewnić, że ją ma.

Pogwizdywał sobie wesoło i szedł z dumnie zadartą głową, z fantazją i z radością w podsiniących oczach. Przestała mu nawet dolegać zraniona prawa ręka, w której ból wiercił bez ustanku już od paru miesięcy. Wszystko się odmieniło naraz. Podziela się gdzieś ze szczętem trawiąca złość na wszystko i na wszystkich, która zgrzytała w nim o każdej chwili. Nie było brzydkiego wstrętu do siebie, ani zawiści, ani rozpacz, ani tej diabelskiej pokusy, żeby zrobić nareszcie jakieś największe łajdactwo na złość sobie i całemu światu i na tym łajdactwie stanąć, jak na wysokiej wieży, i stamtąd plunąć na cały świat.

Było nareszcie dobrze! Tak — jak za tamtych czasów, kiedy był jeszcze porządnym towarzyszem i chodził ze swoją piątką na uczciwą robotę rewolucyjną — na rozkazanie partii. Tak jak gdyby wyszło z grobu stare matczyisko i ujęło go za tę biedną głowę: oj, Kaziak, oj, Kaziak — dziecko jedyne...

A czas już było na tę dobrą chwilę.

Kaziak Rewilak, inaczej tak zwany „Cichy”, a w partii znany pod imieniem „Kuroki”, a potem jako „Cyngiel”, miał, pomimo niespełna dwudziestu lat, długie dzieje doli i niedoli. Miał on swoje czasy szczęścia i chwały, i krzywdy, i utrapienia, i hańby. Złe zaczęło się rok temu, a jak się raz zaczęło, to gnębiło i spychało go coraz niżej. Rok temu wyrzucili go z bojówki. Za co? Za nic.

Spotkał raz w piwiarni na ulicy Smoczkiej towarzystwo pijanych andrusów, którzy sami z nim zaczęli. Jeden go skądścisł znał i od razu do niego: Ty hyclu partyjny! co ty na naszych po mieście polujesz? Pójdiesz na stryk, gałganduchu, pierwszemu salcesonowi cię wydam i na sądzie poprzysięgnę. Ty rzeźniku ludzi niewinnych! I tak dalej. „Kuroki” wyjął maszynę i tego urągającego położył na miejscu, dwu jeszcze poranił, do czwartego nie trafił i uciekł.

Z tego się zrobiła cała sprawa. Sądził go towarzysze i osądzili niesprawiedliwie, a do kogóż było apelować? Wyrzucili go z piątki i z bojówki, przygrozili, nastraszyli i kazali wracać do dzielnicy do zwyczajnej roboty, zapowiedziawszy jeszcze: Warto ci było w łeb strzelić, ale cię szkoda. Idź i zasługuj się partii — tylko żeby o tobie było cicho! Już my będziemy mieli na ciebie oko. Ale kiedy mu kazali oddać broń — nie usłuchał. Tego już mu było za nadto. Ze łzami w oczach prosił i tłumaczył. Jakże on może zostać bez broni? Był tam jeden srogi towarzysz, który agitował, żeby go ukarać na miejscu. Rewilak nie opierałby się temu i zupełnie lojalnie zgodziłby się na wszystko, ale broni oddać nie mógł, nie chciał i nie oddał. Udało mu się jakoś unieść cało głowę z tego sądu. Ale ogłoszono go po wszystkich dzielnicach, partia go się wyparła, dawni towarzysze patrzyli na niego spod oka, kiedy ich mijał na ulicy, i bardzo mało kto chciał się z nim zadawać. Nagromadziło mu się w duszy żalu i złości. Ręka, przestrelona kiedyś powyżej łokcia, nie chciała mu się goić, do żadnej roboty stanąć nie mógł. Zaczęła się niedola.

Z początku błąkał się luzem, a potem stowarzyszył się z jednym facetem, który się nazywał „Murzyn” i chodził na osobności, nie należąc do żadnej komuny bandyckiej. Przez niego poznał się z wytrawnym i starym bandytą „Michalskim”, człekiem tajemniczym, który mógłby być ojcem Rewilaka. Był to drab już szpakowaty, zawsze zły i milczący, a gotowy na wszystko. Ten z całej trójki najcelniej strzelał, ale dowodził wszystkimi „Murzyn”. Plątała się przy nich jeszcze Franka, „siostrzenica” Michalskiego, a w gruncie jego kochanka, dziewczyna sprytna do wszystkiego i ciekawa wszelkiego świństwa, z powołania łajdaczka, szczwana, bezczelna, choć miała nie więcej nad lat siedemnaście. Nie wiadomo, co trzymało w kupie kompanię, bo nie było tam żadnej przyjaźni, ani wzajemnego zaufania. Rewilak źle się czuł przy nich, ale zawsze z kimś musiał trzymać, bo jakże tak samemu? W istocie czuł on wstręt do robienia komuny nawet u najbogatszego burżuazji, ale żyć z czegoś musiał, więc znosił do czasu wszystko i chodził z nimi — to sobie tylko postanowiwszy, że zabijać nie będzie. Zresztą banda nie zabiła jeszcze nikogo, robotę załatwiano polubownie, najwyżej strzelano w sufit dla postrachu.

Mieszkali wszyscy razem w jednym drewniaku na Górczewskiej. Raz im się poszczęściło i przez dwa miesiące mieli z czego żyć i nie wychodzili całkiem na robotę. Rewilak chodził do szpitala na opatrunki, ręka go wciąż bolała — chcieli mu w kości dłużyć, bo mu się coś tam psuło, namawiał go doktor, żeby się położył na parę tygodni, ale chłopak nie chciał. Znosił ciągły ból, jakby zasłużoną karę za coś. Za co?

Nie wiedział tego dokumentnie, ale w duszy było brzydko. Strasznie dolegała pamięć dawnych czasów. Strasznie chciało mu się wierzyć, że tego innego czasu nie było zupełnie. Chciało mu się wierzyć we wszystko, co mu kładł do głowy „Murzyn”. — Ani Pana Boga nie ma, ani żadnej prawdy na świecie nie ma. Jest tylko to, co jeden człowiek temu drugiemu zębami wydrze. Jakby socjaliści dobrego chcieli, toby puścili robotnika na burżuizmo, a nie kazaliby mu w fabryce siedzieć. Kto mądry a śmiały, ten sam sobie socjalizm robi. Ja czasu nie mam na czekanie, a żyć jak bydlę też nie chcę, bom człowiek. Inszemu szczeniakowi się wydaje, że już jest coś, bo się tej śmierci nie boi. A ja się niczego nie boję. Rodzonego ojca bym zarznął, jakby mi na drodze stanął, z siostrą bym się rodzoną przespał, a jakbym córkę z nią miał i do kobiet był jeszcze ciekawy, tobym się też nie oglądał na głupie ludzkie prawo...

Nauk tych Rewilak słuchał zawsze z najwyższą ciekawością. Ogarniał go strach przed okropnym człowiekiem, brała go i żądza, żeby samemu się raz przerobić, raz odważyć, wyzbyć się wstydu i pamięci na wszystko dawniejsze, co w nim jeszcze żyło i mordowało, a dolegało gorzej, niż ból w zranionej ręce.

Imponował mu mądry, łajdacki uśmiech, z jakim o różnych rzeczach gadał stary Michalski, rozpałała go Franka diabelskimi swoimi pomysłami i bezczelnym bluźnierstwem przeciwko wszystkiemu, co tam zostało w nim jeszcze. Ale odważyć się jeszcze nie mógł. Brakowało jeno mały krok uczynić, żeby się z tamtymi zrównać, a nie mógł się jakoś przewyciężyć. Dopóki gadali — słuchał i przytakiwał we wszystkim, ale jak przychodziło do samej roboty — zapowiadał z góry, co zrobi, a czego nie zrobi. Toteż w kompanii mieli go za głupiego. Tego się wstydził, ale poprawić się było trudno. Bo choć na tym świecie najłatwiej o podłość, jednak nie wiedział tego ekstowarzysz „Cichy”, czyli „Kuroki”, jak to trudno stać się prawdziwym łajdakiem, bez czci i wiary.

Był popychadłem przy starych bandytach i słuchał ich, ale nie we wszystkim. Starzy cenili go za wierność i uczciwość, które w komunie bandyckiej, jak wszędzie, nie dają kariery, ale jak wszędzie są bardzo potrzebne i mają swoją cenę.

Po paru miesiącach komuna się rozpadła.

Któregoś wieczora stary Michalski, wróciwszy do domu niespodzianie wcześniej, złapał Frankę z Murzynem. Uczynił się rwetes, wrzask, ale Murzyn zdołał uciec. Rewilak wpadł na krzyki z bronią gotową, a widząc, że stary tarmosi dziewczynę po ziemi półnagą, myślał, że to zwyczajne bicie, jakie się France od wuja czasami obrywało.

— Kaziek, broń, rany boskie! — wrzeszczała dziewczyna, ale on się do takich rzeczy nigdy nie mieszał. Już miał wychodzić ze stacji, kiedy widzi, że stary wyciąga maszynę. — Oho — pomyślał sobie — trza będzie brać nogi za pas, zabije ją i policja na nas wsiądzie.

Ale widzi — stary nadeptał dziewczynie nogą na gardziel, aż ucichła w jednej chwili, potem roztworzył jej nogi i w ono grzeszne miejsce strzelił jej raz, strzelił drugi raz, trzeci, czwarty...

Ale na tym był koniec, bo Rewilak, sam nie wiedząc kiedy, wsadził mu dwa naboje w plecy. Po czym zabrał się i poszedł na ulicę, tak jak stał, bez czapki, tylko z tą maszyną w ręku, bo ludzie się już zbiegali, a patrole gęsto chodziły wtedy po ulicy Górczewskiej.

Ciężkie były jego koleje. Chodził po sklepach, chcąc się zgodzić na stałego „ochro-  
nę” od bandytów, jak to było wówczas we zwyczajach w Warszawie. Ale nikt nie chciał z nim gadać, bo sam wyglądał na bandytę i nie miał żadnego poręczenia. Pochodził po starych znajomych partyjnych, przedstawiając swoje oplakane położenie, ale dobrą sławę do reszty był już stracił, więc go wyrzucano za drzwi, albo też dawano cośkolwiek na odczepne z tego strachu, żeby nie być przez niego wydanym. Najstraszniejsze było dlań to posądzenie o zdradę. Rzewnymi łzami się zalał, kiedy mu ktoś o tym bąknął i o mało tego oszczercy na miejscu nie położył. Pisał listy do partii, ale mu nikt nie odpowiadał. Podejmował się dokonać różnych trudnych czynów, życie oddawał, byle go przywrócono do dawnych praw. Ale nikt z nim nie chciał nawet gadać, tylko go ostrzegano przez ludzi,

Upadek

żeby w oczy zanadto nie laźł, a najlepiej, żeby się gdzie podział, jeżeli chce życie zachować. Nie mogąc zaś głodu i poniewierki dłużej znosić, zaczął znowu wstępować chyłkiem do monopolów i sklepów — tak między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, na ustronnych uliczkach, wypatrzywszy, że w sklepie nie ma mężczyzny — wpadał, czynił gwałt, wołał na pomoc swoich kamratów, co to niby czekali w „sześciu” na ulicy, czasami strzelał w sufit i wynosił po parę rubli. Z zemsty za to i dla pocieszenia w strapieniach, a niejako jak gdyby za pokutę, strzelał po nocy do stójkowych, do żandarmów, do samotnie spotykanych oficerów. Prócz tego czynił na ulicy porządek: kiedy widział, że alfons szarpie się z kobietą, walił do niego, nie pytając, o co idzie. Raz zranił jakiegoś porządnego pana, przesładującego po nocy samotną panienkę. Jeżeli w swoich wędrówkach po mieście trafił na dwu bijących się andrusów, czekał spokojnie, aż jeden drugiego powali, i strzelał do tego, który był na wierzchu. Po knajpach robił znajomości i podejmował się różnych niebezpiecznych spraw. Podstrzeliwał nieludzkich majstrów, na których skarżyli się pijani robociarze, śledził podejrzanych o szpiclowanie nieszczęśników, z których niejeden padł z jego ręki. Żył Rewilak bez jutra, bez żadnych planów. Dolegały mu czarne myśli, bolała ręka — zapijał tedy sprawę monopolką i włóczył się po mieście z głową wiecznie zaczadziłą, ponury, na wpół obłąkany, siejąc po drodze śmierć i wyzywając tę śmierć na każdym kroku. Ale opóźniała się jakoś jego godzina.

Raz wieczorem spotkał się w piwiarni na Żelaznej z jednym starym towarzyszem. Dogadali się po niejakej chwili i towarzysz w wymownych słowach obrzydził mu bandycki proceder. Namawiał go, żeby się nareszcie ustatkował, żeby przystał do jego kompanii na pomocnika. Za każdą pewną informację obiecywał mu trzy ruble, za wydanie robociarza z dowodami — rubla, za inteligenta partyjnego — pięć, a za kogokolwiek z bojówki — piętnaście. Rewilak był dobrze pijany i przystał. Towarzysz postawił jeszcze gorącego krupniku, wypili i wyszli na ulicę.

— Ty, głupi, może jeszcze myślisz, że rząd chce źle dla robotników? Nieprawda — będzie robotnikowi dobrze i jeszcze jak, tylko porządek trza zaprowadzić, jak się patrzy. W żadnej partii nie ma prawdy. W każdej partii są Żydy, co tylko na swoją korzyść tym ciemnym robotnikiem obracają. Ja ci, Kazik, powiem, jak jestem katolik...

Tu runął na ziemię z rozsadzonym łbem, a Rewilak poszedł dalej, zataczając się, i z wielkim trudem rozmyślał nad tym, czy to wszystko prawda, czy sen, czy się co stało, czy nie?

W ostatnich czasach przystał do szewców, co walczyli z chałupnictwem. Napadał na sklepy, na hurtowników, wpadał do suteryn i piwniczek robotniczych, gdzie pracowali oporni i zatwardziali „chałupnicy”, oblewał kwasem siarczanym albo krajał towar wzięty do roboty przez łamistrąjków, a za to miewał kąt i miskę jedzenia u któregośkolwiek z organizatorów „terroru ekonomicznego”. W tych ostatnich czasach odżył duchowo, wiedział bowiem, że czyni rzecz pożyteczną i sprawiedliwą. Ale ciasno mu już się zrobiło w Warszawie.

Tropili go szpicle z ochrony i łapacze z wydziału śledczego, musiał się wystrzegać starych znajomych towarzyszy, którzy podejrzewali w nim prowokatora i prawdziwych prowokatorów, którzy wiedzieli, że kiedyś był w bojówce. Pozadzierał z grupami bandyckimi, poprzysięgali mu zemstę alfonsy i będące na ich usługach kobiety, musiał omijać sklepy, gdzie robił komunę. Nie było w mieście ulicy ani takiego kąta, gdzie by nie miał ciężkich porachunków. Już nie wiedział, gdzie się podziać, i cudem się jeszcze trzymał.

Jak wilk, zewsząd osaczony, przemykał się po zaułkach, zawracając i kołując, zawsze oglądając się na wszystkie strony i zawsze niepewny, czy nie wyrośnie przed nim na ulicy, czy to w knajpie, czy to gdziekolwiek, człowiek, który go zgubi. Czuł Rewilak, że zginie lada chwila i myślał sobie: byle prędeż.

W tych ostatnich czasach zadreęczały go złe myśli. Wiedział, że nic się już nie może odstać, że niczego już nie zdąży odrobić. Za daleko zabrnął. Albo go powieszają jako bandytę, albo go zabiją jako prowokatora, albo go kto zatłucze z zemsty, jak psa po nocy. Ani jedna dusza go nie pożałuje. Daleko została za nim partia, górami i lasami, i szerokimi rzekami odgradzona droga powrotna. Nie ukaże się jego imię i nazwisko w gazecie partyjnej w zaszczytnej czarnej ramce, jako tego, który padł za lud roboczy. Jedno jeszcze ludziło go, jako ostatni ratunek w tym grzęzawisku. Oto dokonać jakiegoś wielkiego czynu, głośnego na całe miasto i na cały kraj. Niechże się dowiedzą wszyscy, że ten, który

go dokonał i padł na miejscu — to Kaziak Rewilak, zwany „Cichy”, czyli „Kuroki”, czyli „Cyngiel”. Opętało go to marzenie, a choć było ono niepodobieństwem, uśmiechało się do niego zwodniczo właśnie w najgorszych chwilach.

Teraz wiedział, że tego czynu dokona. Teraz ma straszną broń, która mu cudem wpadła w ręce. Głośny, huczny będzie ten jego ostatni czyn. Wszyscy będą wiedzieli, jak gruchnie jego pocisk. Zginie tak, jak właśnie należało. Będzie miał przy sobie list w kopercie — o tym, kto jest, żeby w gazetach dobrze ogłosili, a prócz tego zostawi list osobny do partii, gdzie wyzna wszystkie swoje błędy i pożałuje tego, ale w końcu poprosi i zażąda, żeby jego pamięć oczyścić, przede wszystkim z nędznej potwarzy o zdradzie. Ten list trzeba będzie komu podyktować i wypisać w nim wszystkie rzeczy złe, ale i wszystkie dobre, których było też niemało, a które wszystkie co do jednego pamiętał.

Tym idealnym czynem był dla Rewilaka zamach na jakiego dygnitarza. Nie marzył o „samym” generał-gubernatorze, bo była to sprawa za trudna dla jednego człowieka, choć łatwą była dla jednego pocisku. Już dawno w godzinach marzeń przebierał sobie rozmaite rzeczy łatwiejsze. Ot, na przykład, oberpolicmajster? Też trudno, ale można ten zamiar bodaj rozważyć. Myślał, kombinował, chodził koło ratusza.

— Komisarza — myślał sobie — albo rewirowego zawsze można „zrobić”, ale z tego żadna sława, a i bomby na takiego szkoda. Czyn zaś jego musiał być większej miary i pożyteczny, i ładny, żeby mógł go przywrócić do dawnej dobrej sławy u ludzi partyjnych. Przez tę pierwszą wielką radość wydawało mu się wszystko łatwe.

W starym domu na Nowiniarskiej na poddaszu mieszkało małżeństwo, u którego Rewilak siedział kątem w ciągu ostatnich kilku tygodni. W przestronnej, ale niskiej i ciemnej izbie od wczesnego ranka do późnej nocy warczała maszyna do szycia. Tomasz Baćka, stary suchotnik, zgarbiony we dwoje od wysiadania nad maszyną, wraz z żoną szyli kamizelki do składu ubrań i, pracując od rana do nocy, a w ciągu sezonu dzień i noc, zarabiali na życie. Przez okno w dachu widać było wieże katedry, na ścianach były obrazy święte a nad oknem klatka z kanarkiem, którą tak genialnie zauważył poeta Starego Miasta<sup>66</sup>. Jednak w domu u Baćków brakło nastroju patriarchalnego zrównoważenia i cichej radości życia, którymi tchną postaci, wyczarowane przez poetę. Może tak i było kiedy — ale zburzyła to i zaprzepąściła na zawsze rewolucja, która dotarła i do starej twierdzy staromiejskiej. Obrazy święte wisiały po dawnemu na ścianie, ale Tomasz Baćka wraz z żoną już od dawna modlili się do innych bogów. I ci im nie pomogli...

Rewolucja się zbliżała, rozpędzała się i przejechała wreszcie z hukiem, gwałtem, zawieruchą. O tej porze była już gdzieś daleko. Każdy podczas tej burzy coś zarobił i każdy coś oberwał. Na trzy dni zyskał i, nie zdolawszy jeszcze przywyknąć do dobrego — tracił i to, co mu przybyło, i to, co miał przedtem. Inny więcej zachował, niż zagubił, innemu wszystkiego odebrać nie zdołali, czy nie zdążyli. Różnie bywało po ludziach, a w każdym fachu inaczej. A u krawców-chałupników wciąż była stara bieda.

Narobili człowiekowi apetytu, rozwydrzyli tego biednego człeka, strzelali, ciskali bomby, robili demonstracje, gadali na wiecach, kazali strajkować, trzymać się.

Baćka strajkował, trzymał się — ale wytrzymać było trudno krawcom-chałupnikom.

Były odezwy, było wiadomo, czego się domagać, wszyscy krawcy chcieli jednego, radzili, trzymali się, dawali się brać do kozy kupami, zastawiali się, głodem marli — ale zawsze ich przetrzymał ten hurtownik.

Walczył Tomasz Baćka w szeregach rozmaitych partii. Swojego czasu chciał niepodległości, a domagał się konstytuandy w Warszawie na tylu wiecach, aż wreszcie nauczył się nawet wymawiać to trudne słowo. Na wzmiankę o wyborach, wołał: Precz z hańbą! Precz z carską Dumą, łajdarką, kozacką! Ale te hasła nie przemogły hurtownika. Pierwszy strajk był przegrany, a zawiniła oczywiście partia. Porzucił ją tedy wraz z innymi krawcami, i, odrzucając terror i wszelką akcję bojową, zażądał republiki ogólnorosyjskiej i autonomii dla Polski. W wyborach do drugiej Dumy brał gorący udział. Wysłańcy postępowej demokracji odebrali mu na ulicy odezwy wyborcze, a po godzinie pod lokalem wybor-

<sup>66</sup>poeta *Starego Miasta* — Artur Oppman (1867–1931), poeta, publicysta i varsavianista, autor m.in. zbioru wierszy *Ze Starego Miasta* (1897). [przypis edytorski]

czym został obity przez agitatorów narodowych, za co go też na miejscu zaarrestowała policja. Swoją drogą nowy strajk też się nie udał. Nie lepiej się powiodło i polubownym pertraktacjom, które w imieniu krawców, mających już dość bratobójczej walki klasowej, prowadzili: ksiądz Oremus<sup>67</sup> i ksiądz Amen pod wezwaniem patrona krawców, a pod protekcją Królowej Polski.

Próbowali już krawcy wszystkiego, aż odeszła od ludzi i wszelka wiara, i wszelka ochota. Została tylko stara bieda i gorycz, a pomstowanie przeciwko caratowi, kapitalowi i socjalistom. Poznał Baćka, że carat jest jeszcze za mocny, żeby z nim zadzierać, że kapitał — to sam diabeł, że Boga na niebie nie ma, i że socjaliści to same oszusty, co wciągają w biedę niewinnego człowieka, co, jak im potrzeba, włączają drzwiami i oknami, ciągną za łeb do buntów i strajkowania, odgrażają się, gotowi są na wszystko, a jak już jest zupełnie źle, to żadnego nie ma.

— Niech no się tu który u mnie pokaże! — odgrażał się w ostatnich czasach Baćka.

— Pomyjami go za drzwi wyleję! — wykrzykiwała Baćkowa.

Ale i „socjały”, i „partyjni” kpili sobie z tych pogróżek, albowiem wszyscy siedzieli za kratą w zupełnym bezpieczeństwie przed zemstą zawiedzionego ludu.

Próbowali ludzie działać i pokorą, nie tą prawdziwą, która dwie matki ssie, ale tą obłudną, przymuszoną, pod którą tai się wściekły, niechrześcijański bunt. Poniżali się krawcy-chalupnicy, skamłali<sup>68</sup>, po nogach całowali swoich panów.

Pan Żołopowicz, właściciel wielkiego składu gotowych ubrań męskich, wiedział, że to nie ta prawdziwa pokora, co niebiosa przebija, i ustąpić nie mógł.

— Widzisz, mój panie Baćka, nie trzeba było robić rewolucji, nie trzeba było na łajdactwa się puszczać. Mówiłem, uprzedzałem, błagałem. Ale ty jeden z drugim wolałeś słuchać tego Żydka, co to go Żydzi hurtownicy podesłali na zgubę polskiej sprawy i polskiego przemysłu, niż mnie, twego przyjaciela i ojca. Katolik jesteś, panie Baćka?

— Katolik, panie, człowiek jest grzeszny, wielmożny panie.

— I ja jestem katolik. Czemużeś ze mną, ze sprawą polską nie trzymał?

— Już ja na wieki wieczne nauczony, wielmożny panie. Ale jak tego Pana Boga Kocham i jak Polski pragnę — nie można za tę cenę wyżyć. Jak pragnę szczęścia, nie można, żeby się człowiek na śmierć zamordował i w nocy nie spał, to nie można. Nie można i nie można. Dawniej my brali od kamizelki...

— Mój Baćka, nie gadajmy, co było dawniej. Dawniej był ład, był przemysł, był kredyt, człowiek był pewny życia i mienia. A tera co? Przewróciliście wszystko do góry nogami, zrujnowaliście przemysł, zrujnowaliście i mnie, a teraz chcesz dawną cenę za kamizelki. Nie mogę. Katolik jesteś?

— Katolik, wielmożny panie!

— I ja katolik. I serce mam, i litość w sercu mam, ale jak nie można, to nie można. Chcesz, żeby ubraniami handlowały w Warszawie same Żydy? Nie chcesz? Dobrze. To nie można obdzierać swojego. Spróbuj. Idź do Żyda — może ci będzie lepiej.

Był Baćka i u Żydów, ale i to mu nie pomogło. Sytuacja była przykra. Pan Żołopowicz nie mógł, ale i Baćka już nie mógł. Pan Żołopowicz był zacny majster, ale nie mógł, Baćka był strasznie pracowity krawiec, ale też już nie mógł żadną miarą. Pan Żołopowicz miał jedną tylko, ale niewzruszoną ideę: stworzyć potężny polski i katolicki handel gotowymi ubraniami. Baćka miał jedną, ale jeszcze niezłomniejszą ideę: żyć — byle jak, ale żyć. Sytuacja była trudna. Ale życie ze wszystkim sobie poradzi. Przejdzie po ludziach, narobi zamętu, przewróci wszystko do góry nogami — ale poradzi sobie jakoś.

Poradziło sobie życie i z trudną sprawą krawiecką. Domyślili się nareszcie krawcy, skąd pochodzi ich klęska. Późno przyszło uświadomienie, ale z rozpaczą a głodu i do rozumu dojść można. Zaczęły się odzywać głosy mądre.

— Pozawracały nam głowę inteligenty, partie, delikatne panny! Niech sam robotnik o sobie stanowi, nie jakiś Komitet Centralny! Precz z inteligentami!

Hasło to rozległo się wówczas, kiedy inteligentów już dawno zabrakło, i w istocie rzeczy za to też głównie im wymyślano. Bez inteligentów nie wiadomo było, co robić, ale przynajmniej już nikt nie przeszkadzał.

<sup>67</sup>Oremus — nazwisko znaczące, od łac. *oremus*: módlmy się. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>skamlać — dziś raczej: skomleć. [przypis edytorski]

Zaczął się wielki, żywiołowy strajk krawiecki. I Żydzi, i katolicy ratowali się, jak mogli, i robili, co tylko mogli. Psuto towar, prano majstrów na ulicy i po domach, prześladowano w najokrutniejszy sposób łamistraków, zaprowadzono terror niebywały. Pełne były gazety straszliwych opowieści, pełne zgrozy były dusze dobrze myślących obywateli i pełen Ratusz krawców...

Między innymi wybito wszystkie szyby w wielkim magazynie pana Żołopowicza. Uczynił to własnoręcznie Rewilak, który pomagał teraz krawcom, jak przedtem pomagał szewcom. Baćka sam go naprowadził i stał po drugiej stronie ulicy, patrząc z rozkoszą na szkodę tyрана. Rozjadł się nareszcie suchotnik i był niepohamowany w zemście. Żona się o niego bała i chwilami myślała, że zwariował. Gadał mowy, podburzał ludzi, raz nawet porwał się do niszczenia towaru u łamistrajka, co prawda winowajcy w domu nie zastał, ale łamistrajak miał tęgą babę. Terrorysta wrócił do domu sprany, przetrącony, podrapany na twarzy i płaczący ze wściekłości i wstydu. Musiał się położyć do łóżka na pociechę żony, która myślała sobie, jak to żona: Jak mamy wygrać, to wygramy i bez niego, a przynajmniej przeleży najgorszy czas i do kozy nie pójdzie!

Kiedy Rewilak powrócił do domu ze swoim szczęściem, majstrowi zrobiło się gorzej. Wyplatał w gorączce różne okropności i nie mogło być z nim żadnej rozmowy. Ciężko było samemu z tą dobrą nowiną. Należało się naradzić — trzeba się było wygadać. Majstrowej powiedzieć tego nie śmiał, boby go wyгнаła z domu.

Dopiero nazajutrz, kiedy gospodyni gdzieś wyszła, zwierzył się chłopak przed krawcem ze swojego szczęścia. Suchotnik długo oglądał bombę i westchnął:

— Żeby tak każdy z naszych krawców miał po jednej takiej sztuce, toby wnet nastąpił ład na świecie... Idzie ten człeczyna wymizerowany z gołymi rękami... Jeden stójkowy prowadzi do ratusza dwudziestu naszych, baba, jak się uda zażarta, sponiewiera naszego krawca, miotłą go wymiecie ze wszystkich schodów... Czuję, że idzie moja śmierć. Zjadły mnie kamizelki, ta diablica żelazkiem mnie uwalila prosto w piersi... Czas mi na Bródno<sup>69</sup>, czas...

— Czas i na mnie, towarzyszu. Po prawdzie, to żyć nie jest warto, żeby tak zanadto...

— Prawda to, chłopcze. Cieszę się, że tych dzieci nie zostawiam.

— A jak wy myślicie — warto na komisarza z tym pójść? To jest interes pewny, tylko czy warto?

— Jak iść, to tylko na tego z cyrkułu na Podwału. On głównie naszych wybierał, w cyrkule kazał żołdatom prac naszych. Na niego warto. Wszyscy krawcy będą ciebie wspominać.

— Nie jedni krawcy w Warszawie. Ja bym chciał, żeby wszyscy pamiętali...

— To trzeba chyba Skallona<sup>70</sup>. Podobno wyjeżdża na miasto?

— A kto go upilnuje, kto wywiad zrobi, kto na ulicy będzie wartował? Tu trza ludzi z dziesięciu i nie byle gapów... Trza mieć ubranie porządne, żeby szpikom w oczy nie leżać. Ale jest tu taki sobaczy główny generał od sądów wojennych. Mieszka prywatnie, piechotą teraz chodzi. Toby było ładne, co? Ilu to on naszych osądził? To nie jakiś komisarz?

Wieczorem, kiedy baba zesła do sklepiku na plotki, zaczął Rewilak układać swój list pośmiertny do partii. W wielkim wzruszeniu, chodząc po izbie, dyktował głośno, a krawiec gryzmołił, jak umiał, ołówkiem na papierze, rozłożonym na desce od prasowania. Doradzał, poprawiał, klócił się o słowa.

— List musi być piękny, żeby go mogli cały wydrukować.

— Takiej spowiedzi oni nie wydrukują, bo za dużo na mnie świństwa cięży. Mnie o co idzie? Niech mnie jeno wspomną uczciwie, w paru słowach — że to ja zrobiłem. Z imienia, nazwiska i wszystkich trzech pseudonimów, bo mnie ludzie rozmaicie znają. Niech napiszą: grzeszył, łajdak z niego był, ale żałował, poprawił się i życie za dobrą sprawę oddał. Przecie nawet ten klecha na spowiedzi rozgrzesza.

<sup>69</sup>Bródno — tu: cmentarz w Warszawie, położony w dzielnicy Praga Północ. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Skallon, właśc. *Georgij Antonowicz Skalon* (ros. Георгий Антонович Скалон, 1847–1914) — rosyjski wojskowy, generał kawalerii, generał-gubernator warszawski i głównodowodzący wojsk Warszawskiego Okręgu Wojskowego w latach 1905–1914. [przypis edytorski]

— Ludzi dużoś namordował?

Rewilak westchnął.

— Ludzi porządnych, jak się patrzy? Ja nie — ani jednego, ale jak przy mnie nieraz robili, tom nie przeszkadzał i za te zdobyte pieniądze żyłem — to jest prawda i to mój grzech.

— A tak szpicłów, salcesonów i inszych psubratów? Dużo tego było?

Rewilak znów westchnął.

— Widzicie, stary, niby się robiło, jak to w rewolucji. Zapowiedziałem sobie tak: wyrzucili mnie z partii, skrzywdzili, opublikowali, a ja pokażę, że i samemu można dużo dobrego zrobić. Ale mnie ciągnęło i do samego zabijania. Lubilem wygarnąć po nocy. Potem mi obrzydło i com robił, to z tego musu. Zeskapałem na szczęt w poniewierce i czasami wydaje mi się, że jakby wstały z grobu i odżyły te wszystkie carskie sługi, te alfonsy, te wszystkie nieznanome ludzie, pobite moją ręką, tobym był strasznie rad i wesół. Też głupstwo...

— Nic to innego, chłopcze, nie znaczy, tylko że prędko umrzesz. Przychodzi na człowieka przed śmiercią taki głupi żal. Mój nieboszczyk ojciec na wojnie tureckiej był. Jak chorował przed śmiercią, to ino tych Turków żałował. A to przecież była wojna — na rozkaz szedł!

— Dopókim w piątce był i szedł na rozkaz, to mnie o nic głowa nie bolała i niczego ja z tamtych czasów nie żałuję. Aż dopiero potem, jak się wszystko pomieszało i złe, i dobre, jak mnie ta samowola ogarnęła i łajdackie towarzysze...

Bačka zapalił się do tego listu i poprawiał go, a polerował w łóżku, żonie zaś powiedział, że pisze odezwę do wszystkich krawców wszelkich narodowości o pomoc i poparcie pieniężne i że to pisanie będzie wydrukowane aż w pięciu językach świata. Bačkowa aż gębę otworzyła ze zdumienia i tej dumy małżeńskiej.

Bomba stała tymczasem na stryszku, wystawiona na zewnątrz dymnika, niedostrzeżalna dla najściślejszej rewizji, i patrzyła z wysokiego dachu na miasto. Rewilak co dzień wychodził na długie rekonesanse w tej swojej ostatniej sprawie. Wesole to były dni. Uśmiechał się, patrząc na ludzi, kręcących się po ulicy koło swoich interesów. Uśmiechał się, widząc kogoś płaczącego, uśmiechał się, kiedy się kto śmiał, zabawnie mu było, kiedy spotkał patrol, prowadzący więźniów, i kiedy przyglądał się trupowi zabitego szpicla, rozciągniętemu na chodniku. Jednakowo patrzył na bogatego i na biednego. — Teraz już wszystko jedno — myślał sobie. Był nareszcie spokojny. Sama sprawa nie była jednak prosta. Chłopak był obdarty — szpicle, którzy włóczyli się pod domem owego generała, przyglądali mu się brzydtko, a nie miał za co sprawić sobie nic nowego. Najgorszy zaś był kapelusz — dziurawy, z obwisłymi brzegami, wytluszczony na glanc.

Zaszedł tedy do starego sklepikarza na Starym mieście. Musi dać — upewniał się: z biedy go wyciągnąłem. Jakby nie chciał, to mu powiem, że mu cały interes odniosę z powrotem. Ale sklep był zamknięty. Rewilak poszedł do bramy i zastukał do tylnych drzwi.

— A czego to? — spytał stróż.

— Czemu to sklep zamknięty? Mam interes do starego.

— To idź pan na Bródno! Dziś rano go tam zawieźli.

— Patrzajcie! I cóż mu się stało?

— Nic wielkiego. Powiesił się i tyle.

Rewilak zagwizdał i poszedł sobie. Nie przyszło mu nawet do głowy, że to on mógł być przyczyną tego nowego nieszczęścia. Myślał nad tym, skąd wydobyć trochę pieniędzy, choćby na kapelusz ma buty. Zastanawiał się, czyby to wypadało zrobić na taki cel jedną niewielką, już ostatnią w życiu „komunę”.

— Lepiej by było nie, ale jakże inaczej? Było to istotnie jedyne wyjście. Toteż, nie przesądając jeszcze sprawy, zagłębił się w dalsze uliczki i po drodze przystawał przed oknami sklepów i sklepików i badał sytuację. W jednym miejscu widzi, w sklepie mydlarskim siedzi za ladą sama jedna dziewczynina. W pokoju za sklepem pusto. A może by spróbować? Ten ostatni raz? Przecie to nie dla siebie...

Nagle poczuł w krzyżach przenikliwy ból, który w jednej sekundzie przeszył go na wskroś. Obrócił się w mgnieniu oka i stanął oko w oko z Wickiem-Wariatem z Woli,



z którym miał śmiertelne porachunki. Wicek patrzył na niego ironicznie, otrząsał nóż ze krwi i zabierał się do odwrotu.

— Kwit z tobą, „Kuroki”! Udryptałem się za tobą nieźle. Dobranoc, towarzyszu! No?! Jeszcze mi do nóg nie padasz? Czy cię mam poprawiać?

I jak gdyby Rewilak tylko czekał na ten rozkaz, pochylił się, nogi się pod nim ugięły... Lewa ręka usiłowała jeszcze niedołącznie sięgnąć do kieszeni, gdzie była niedostępna maszyna. Wreszcie padł twarzą do ziemi...

A Baćka zaniemógł ciężko. Z tydzień przeleżał w gorączce, nie wiedząc o świecie bożym. Kiedy się ocknął, poczuł gwałtowny napływ życia i sił. Mówił głośno, wymyślał żonie, odgrażał się.

Tymczasem strajk się zepsuł, ludzi mnóstwo pobrali, a reszta znowu skamlała u majstrów o robotę, zdając się na ich łaskę i niełaskę. Zażądał Baćka jeść po chorobie, ale w domu nic nie było.

— Czekałam, aż wstaniesz, to poduszkę się zaniesie. Będzie na parę dni.

— A nie robiłaś nic?

— Com miała robić? Trzy razy byłam u naszego. Wygnał za każdym razem: dla mnie teraz, powiada, sami nowi robią — dość ja już z wami miałem zgryzoty! Żeby jego morowe powietrze...

— A gdzie indziej?

— Wszędzie odganają. Śmieją się z człowieka i tyle. Koniec świata!

— U Żydów byłaś?

— U nich to samo. Powieśmy się, Tomek! Poduszkę się zastawi, kupmy wódki, wypijmy po flaszcze i niech nas wszyscy diabli...

— Głupia jesteś — ja tak na sucho z tego świata nie zejść.

— Jakaś mądry — to myśl...

Stara zanosła poduszkę do lombardu, a Baćka został i „myślał”. Rozmyślał nad tym, gdzie się też Kazik zawieruszył? Z gorączki czuł wielkie siły, ale ledwo nogami powłóczył. Umył się, ubrał się i ustawicznie mruczał coś do siebie. Chodził przez jakiś kwadrans po pokoju, przystawał, kaszląc ciężko. Przystawał i stał długo, patrząc przez okno na wieże katedry i na dachy. W oczach miał gorączkę i jakieś niewyraźne myśli. Wiedział, czego chce, ale nie wiedział jeszcze, co ma robić. Co chwila robiło mu się słabo. Spojrzał na swoje łóżko i chciało mu się położyć z powrotem, odwrócić się do ściany, zakryć się z głową i niech się dzieje, co chce... Wiedział jednak, że jak się teraz położy, to już nie wstanie nigdy. Śmierci się jeszcze bał, choć zarazem śmierci szczerze pragnął. Stanął przed rozbitym lustrem i podczesał sobie jeszcze raz siwe włosy. Potem dołał wody kanarkowi. Potem ukląkł przed obrazami, przeżegnał się i zaczął pacierz, ale, nie doszedłszy do Zdrowaś Maria, wstał i otworzył okno, bo go dusiło stęchłe powietrze. Potem miał zrobić jeszcze coś najważniejszego, o czym nie tyle zapomniał, ile wciąż jakoś odkładał. Ale przypomniał sobie, że żona może lada chwila nadejść, więc, śpiesząc się niezmiernie, wyszedł ze stancji.

Zgarbiony, blady jak cień, powłókł się ulicami. Przystawał, opierał się o mury i wyczytywał, dysząc ciężko. Zakaszlał się parę razy, że o mało co dusza z niego nie wyszła. Wreszcie doszedł do samego miejsca. W magazynie u pana Żołopowicza wstawiano właśnie nowe szyby. Szklarze dźwigali z trudem wielkie tafle, a naokoło gapili się ludzie. Baćka ostrożnie otworzył drzwi, pokornie zdjął czapczynę i stanął w progu, patrząc miłośniernie. Właściciel siedział za kantorkiem i pisał. Subiekci zaczęli wypędzać natręta, a pan Żołopowicz tylko spojrzął spod oka i pisał dalej. Baćka bronił się i z wielką pokorą prosił o przebaczenie i o robotę. Wreszcie pan majster spojrzął dobrotliwie i powiedział:

— Nie, mój Baćka. Teraz basta! Już ja mam was dosyć.

— Z głodu umieramy, panie...

— Cóż ja temu winien? Idź do socjalistów, niech ci dadzą robotę. Ruszaj, ruszaj z Bogiem!

Baćka stał, chcąc jeszcze coś powiedzieć. Należało koniecznie coś powiedzieć, bodaj trzy słowa. Coś takiego trza było teraz zawołać. Ale szczęki mu się zawarły i wielka słabość

zaczęła go ogarniać od stóp do głów. Szybko wyjął puszkę z kieszeni paltota, wpadł za ladę i, nic nie mówiąc, grzmotnął pociskiem pod same nogi majstrowi. Pan Żołopowicz podniósł rękę do góry, wrzasnął i spadł z wysokiego stołka, a Baćka z tego wysiłku i wzruszenia upadł też opodal, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Zemdlął.

Wyczerpała się cierpliwość martwego narzędzia. Nie obliczyli tego żyjący ludzie. Nie wiedział Tomasz Baćka o kolejach pocisku, nie wiedział jego starym tułactwie.

Broniła go od zimna, od wilgoci gruba żelazna skorupa, broniła go od wstrząśnienia zapobiegliwa ostrożność ludzka. Chowali go, chronili, by nie wpadł we wrogie ręce. Robili, co mogli.

Tego jednak ani wiedzieć, ani odrobić nie mogli wszechmogący ludzie, co się czyniło tam we środku, w tajemniczym wnętrzu, gdzie czaiła się piorunująca śmierć, gdzie na cienkim włosku zawieszono chytrze potworny wybuch, żeby groził o każdej chwili i zniszczył w pewnej godzinie to — co zawadzało człowiekowi na jego drodze. Nie wiedział Tomasz Baćka, co stanął za cały ukrzywdzony lud krawiecki, że wybrał się jeno jakby z kamieniem w ręku na mocnego wroga. Nie wiedział o tym i pobożny, prawy Polak, pan majster Żołopowicz, i niepotrzebnie stałował aż w samej katedrze solenną i drogą wotywę za cudowne zratowanie.

Nie było w tym cudu.

Skruszyło całą moc pocisku tajemnicze życie sił natury, które szło swoją koleją, aż dokonało swego. Szły swoją koleją losy ludzkie, pożerając czas, trawiąc dusze, niszcząc życie, rodząc życie. Konała rewolucja, konała w pocisku siła. Omdlewała moc w duszach, wysuwała się z ręki broń. Oto wszystko.

Zawieziono pobitego, okrwawionego Tomasza Baćkę do Ochrony na srogie badanie. Zabrano pocisk do specjalnego, opancerzonego furgonu i powieziono ostrożnie. W zakładach artyleryjskich na Pradze oglądali go rzeczoznawcy, oglądali go z ciekawości oficerowie.

Wszyscy byli radzi zajrzeć do tajemniczego wnętrza. Długo radzili, co czynić, żeby się jak najbezpieczniej o wszystkim przekonać. Kto to wie, czego się spodziewali. Czy chcieli wykraść i posiadać tajemnicę rewolucji? Czy zdawało im się, że w tej żelaznej skorupie zamknięta jest jakaś nadzwyczajna zagadka, przechodząca miarę wszystkiego, co już z tych czasów odgadli i co już zdołali zwyciężyć.

Nakazane było bombę zważyć, zmierzyć, otworzyć, rozebrać i opisać wszystko. Lekceważył tłum oficerski „krawiecką” robotę; śmiali się, kurząc papierosy wokoło pocisku, który zawiódł i nie wybuchł. To ośmieliło majstrów wojskowych. Wstawiono więc pocisk w śrubstak i z wolna zaczęto odkręcać pokrywę. Opierała się całą mocą, aż po wielu wysiłkach ustąpiła śruba. Obróciła się o mały włos pokrywa i w tejsze chwili wybiegli z wrzaskiem z warsztatu i majstry i dozorujący ich specjaliści i gapiący się na tę robotę oficerowie. Tłoczyli się i przewracali się we drzwiach.

Straszny, gryzący zapach wypełniał pracownię — zabójczy i nie do zniesienia okropny był ten pierwszy oddech piekielnej maszyny. Po wielu naradach i namysłach, oficer pognął znowu do roboty struchlałych ludzi.

Nie da się z niczym porównać delikatność, z jaką dotykali się złowrogiego narzędzia wystraszeni żołnierze. W maskach na twarzach, z wilgotnymi gąbkami na ustach, ponieśli pocisk w rękach krok za krokiem, wolniusieńko, przez pola, drogi, aż nad Wisłę. Tam złożono go na brzegu pod strażą czterech żołnierzy, rozstawionych szeroko w czworobok. Ciekawie patrzyli na to wszystko rybacy z miasta, siedzący na brzegu, przystawali ludzie na drodze i nie wiedział nikt, co by to znaczyło.

Aż przyjechał furgon z saperami i zaczęto pracę. Wypuszczono z furgonu długi i gruby drut w kauczukowej powłoce, omotano pocisk, przymocowano i na długiej żerdzi ostrożnie zapuszczono w głębokie miejsce. Odpędzono przez rybaków, odciągnięto furgon na sto kroków.

— Gotowo<sup>71</sup>?

— Gotowo!

<sup>71</sup>gotowo (ros. *готова*) — gotowe; z gotowością. [przypis edytorski]

Żołnierz w furgonie nacisnął guzik. W tejże chwili stanął nad powierzchnią wysoki słup wody. Wzburzyła się woda na szerokiej przestrzeni. Wywaliły się z głębin spienione kłęby i poszła fala po rzece.

Wyzionął z wody groźny, głęboki huk — zawisł nad rzeką, głucho, ciężko i długo odbijał się echem o wyniosłe wały i mury Cytadeli, stojącej na tamtym brzegu.

Podniósł się i przegrzmiał — jak salwa armatnia nad świeżą mogiłą wojownika, jak ostatni, daleki odgłos burzy, która już minęła.

Od huku zadźwięczały szyby w ślepych oknach więzienia — ocknął się ze swojej przedśmiertnej zadumy skazany więzień i nadłuchiwał długo.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strug-dzieje-jednego-pocisku>

Tekst opracowany na podstawie: Andrzej Strug, Dzieje jednego pocisku, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa 1917.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: [Stephanie Kroos@Flickr](mailto:Stephanie.Kroos@Flickr), CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-5582-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając [zbiórkę na stronie wolnelektury.pl](#).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).